



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

LIPIEC – WRZESIEŃ 3 (126) 2012

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



Fot. Adam Zadrzyński

4 lipca 2012 roku – Wrocław oddał hołd pamięci profesorów lwowskich rozstrzelanych na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie w 1941 roku.

Spis treści

Remigiusz Węgrzynowicz – „Zgodą wzrastają małe rzeczy, niezgodą największe upadają...”	1
Maria Rudnicka – <i>Młodość to skarb</i> – wiersz	2
Beata Młynarczyk – Wojciech Kilar	3
Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki – Okres dzieciństwa i dorastania we Lwowie (I). Fragment książki „Ze Lwowa na morza i oceany”	4
Maria Rudnicka – <i>Po prostu życie</i> – wiersz	17
Ks. Grzegorz Draus – Wszędzie widzę Zmartwychwstałego Chrystusa. 100 dni we Lwowie	18
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW	
Piotr Franków – Odbudowa Pałacu Metropolitów Kościoła Rzymskokatolickiego we Lwowie	19
Piotr Franków – XX jubileuszowa „Kresoviana 2012” w Gorzowie Wlkp.	20
Mieczysław Kostur – XVI Dzień Kultury Kresowej Świdwin 2012 r.	22
Bożena Policińska – Konkurs Powiatowy „Lwów – zawsze wierny”	23
Janusz Sekulski – Pamięci Pomordowanych	24
Stanisława Zięcik – Tydzień Kultury Kresowej w Bolesławcu	26
Witold Począjowiec – Wspominali Kresowiaczy	28
Leszek Mulka – 130. rocznica urodzin prof. Antoniego Cieszyńskiego	28
4 lipca 2012 roku we Wrocławiu	30
Mieczysław Kowal – Święto ułanów w Rzeszowie	33
Janusz Sekulski – Pamięci pomordowanych profesorów	34
Janusz Sekulski – Gloria Victis. Chwała Zwycięzcom	35
Józef Pieluszczyk – Lato w gorzowskim Towarzystwie Miłośników Lwowa	35
Janusz Sekulski – Zebranie sprawozdawczo-wyborcze oddziału w Gnieźnie	37
Jan Tomaszewski – Wspomnienia kresowe	37
Iwo Werschler – Henryk Sienkiewicz we Lwowie	38
Kazimierz Kulas – Święta Wielkanocne w wojsku	41
Kazimierz Kulas – Dźwinogród mojej pamięci... (VI)	42
Tomasz Cieszyński – Męczeńska śmierć profesorów medycyny we Lwowie na tle programu zagłady narodu polskiego	43
Bolesław Broś – Ofiary wśród profesorów Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie	45
Elżbieta Woszczyńska – Rajd Śladami Pamięci Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich	46
Elżbieta Woszczyńska – XVII Konkurs Wiedzy o Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich	47
Mieczysław Kowal – Stefan M. Żarów	48
Stefan M. Żarów – <i>Nie wiem jak ją nazwać</i> – wiersz	48
Stefan M. Żarów – <i>Dom Jana</i> – wiersz	49
Julian Ataman – Zofia Tołoczyska	49
Wiesław Żelisko – Polski Ruch Oporu w Nadwórnej w latach 1939–1945 (c.d.)	50
Stanisław Mościskowski – Wspomnienie o Gródeckiej ulicy we Lwowie	52
Tadeusz Skrzyp – „Pokłon złożyliśmy ludziom minionym”	53
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. Jerzy Fic (1928–2012)	59
Śp. Jadwiga Kaluscha (1927–2012)	59
Śp. Tadeusz Kyrz – wspomnienie	60
Śp. Anna Stefanowicz (1912–2012)	60
Lista Ofiarodawców	61

pismo współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Nakład: 1200 egzemplarzy

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
50-011 Wrocław, ul. Kościuszki 35/B/E, druga oficyna; tel./fax 71/344-88-93;
Nowe konto: PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631

Materiałów niezamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.

Remigiusz Węgrzynowicz

„Zgodą wzrastają małe rzeczy, niezgodą największe upadają...”

(„Concordia res parvae crescunt discordia vel maximae dilabuntur...” – Seneka)

*Od bratniej niezgody przy czerpaniu wody
Zachowaj nas Panie.*

Kornel Makuszyński

Od zarania dziejów ludzkości integracja lub separacja (izolacjonizm) towarzyszą ewolucji społeczeństw.

Wzrost globalizacji na świecie sprzyja zgodnej integracji narodów, której warunkiem trwałości są demokracja i stabilizacja.

Wybitny polityk H. Kissinger przypomina, że: „Ważną rolę w tych procesach spełniają organizacje pozarządowe”.

Demokratyzacja to proces biologiczny, elastycznie ewoluujący. Umiera i powstaje w nowej formie, zgodnie z „efektem motyla”, w którym „nawet trzepot skrzydeł może wywołać burzę w odległej miejscowości” (wg Lorenca).

Obecnie państwa wchodzą w fazę demokracji kontrolującej władzę przedstawicielską przez instytucje społeczeństwa obywatelskiego.

Unia Europejska jest najlepszą strukturą demokratyczną, jaka powstała w historii wieloetnicznego kontynentu, jednocząc narody oraz zwiększając wpływ na politykę pokojową, również pozaeuropejską. Korzystne zmiany jakie nastąpiły w naszym kraju w wyniku przynależności do UE ocenić może obiektywnie pokolenie, które miało ponad pół wieku „okazję przeżyć dobrowolnie-przymusowo” we wspólnocie państw socjalistycznych. Zmiany „oblicza” kraju (miast, miasteczek, wsi, dróg...) oraz poziomu życia są ewidentne.

UE wpływa korzystnie na: rozwój gospodarczy, współpracę międzynarodową oraz wzrost rangi politycznej wśród narodów świata. Świadczą o tym deklaracje „państw kandydackich” wyrażających wolę przynależności do UE. Wynika to z potrzeby stabilizacji oraz wyrównania poziomów życia wśród narodów europejskich.

Kandydatami na członkostwo w UE są m.in. Turcja i Ukraina. Państwa te posiadają niemałe znaczenie polityczne i gospodarcze dla Europy.

Turcja jest cennym partnerem szczególnie w perspektywie wzrastającej globalizacji na świecie i jej roli we współpracy Euro-Afro-Azjatyckiej.

Ukraina po odzyskaniu niepodległości jako duże terytorialnie państwo europejskie jest w fazie przekształcania z ustroju socjalistycznego do demokracji. Niestety (!) proces demokratyzacji w państwie nie posiadającym korzeni demokratycznych, w którym ustrój totalitarny przez wiele lat niszczył kapitał intelektu społeczne, wymaga dłuższego czasu!

Kresowiaczy, których podstawą kształtowania psychiki były korzenie w ziemi ojczystej, zbliżeni geograficznie i historycznie do państw Wschodniej Europy spełniając powinność statutową (TMLIKPW) uczestniczą aktywnie w procesie integracji.

Swoboda demokratyczna (jako podstawowy warunek trwałości integracji!) zbyt często przez naszych obywateli (a szczególnie polityków) jest nadużywana zakłócając psychosferę społeczną, a w konsekwencji również współpracę międzynarodową!

Przyczyną tego zjawiska jest brak wyobraźni społecznej, że wszystkie nasze czyny mają wpływ na strukturę społeczną.

Wśród licznych przejawów nadużywania swobody demokratycznej i naruszania dobrych obyczajów jest brak szacunku dla władzy, głoszony przez niektórych liderów partyjnych (!), m.in. „nieuznawanie prezydenta i premiera”! Zapominają oni znaną maksymę „Nemo regere potest nisi qui et regi”.

Z inicjatywy określonych grup partyjnych „statystycznie co dwa, trzy dni w Polsce powstaje kolejny pomnik lub tablica pamięci ku czci ofiar katastrofy w Smoleńsku” (podaje red. W. Cieśla w Newsweeku). Obecnie jest ich już (!) ponad 400 w kraju i na świecie! Nie było dotychczas w historii naszego kraju bohatera narodowego, którego czczono by taką ilością pomników i tablic... Wyjątek stanowi afekt kultu religijnego ku czci JP II.

Łączenie katastrofy lotniczej (jakich setki w każdym roku na świecie) z ludobójstwem na przebiegającej w niewoli kadrze oficerskiej w Katyniu jest konfabulacją historyczną. Narusza szacunek dla drogiej rodakom pamięci narodowej! Pp. redaktorzy M. Janicki, J. Podgórska i E. Wilk w „Polityce” określają taką działalność „... jako część politycznego instrumentarium, ponieważ inne wytłumaczenie katastrofy nie będzie godne, aby oddać cześć ofiarom i nadać ich śmierci odpowiednią rangę...”.

Dysponowanie miejscem uprzywilejowanym w Pantheonie Narodowym (na Wawelu) przez grupę polityków oraz przez sprawujących pieczę (!) bez wymaganej aprobaty społecznej (!) jest znacznym nadużyciem swobód demokratycznych.

Polemiki polityków (nie zawsze na poziomie parlamentarnym!) wynikają często z braku wiedzy o podstawowych prawach rządzących światem (!) i odniesieniem ich do praw rządzących własnym narodem.

Energia tych polemik (podobnie jak trzepot skrzydeł motyla) wywołuje zakłócenia psychosfery społecznej, której efektem jest naruszanie porządku publicznego, m.in. demonstracje uliczne (posługujące się symbolami religijnymi!), zakłócanie niewłaściwym zachowaniem pochodów, imprez sportowych, a nawet uroczystości ku czci poległych (na cmentarzu!).

Politycy często zapominają, że epoka analfabetyzmu władców odeszła do historii wraz z supranaturalizmem, kiedy człowiek lękał się zjawisk, których nie potrafił wytłumaczyć w sposób naturalny, a dotyk ręki królewskiej czynił cuda – przywracał zdrowie.

Wraz z rozwojem wiedzy wzrastają wymagania w stosunku do polityków, których obowiązkiem jest wykorzystanie zdobyczy wiedzy dla zabezpieczenia dobrostanu obywateli i ochrony przyjaznego środowiska naturalnego. Wiedza rządzących społeczeństwami powinna sięgać do praw przyrody. Prawa rządzące atomami w kamieniu i komórce ludzkiej pozwalają zrozumieć tajemnice złożonych zjawisk i zachowań społecznych, które są wynikiem podstawowych procesów w „mikro-świecie” na poziomie cząsteczek elementarnych – „cegiełek” wszystkich struktur nieożywionych i ożywionych.

Zgodnie z „teorią hipercykli” cząsteczki zdolne są do samoorganizacji niezbędnej, aby z materii nieożywionej powstało życie!

Matematyk Martin A. Nowak stosując matematykę do wyjaśniania problemów biologicznych stwierdził, że fundamentalną zasadą życia nie jest rywalizacja, lecz współpraca między organizmami. Współpraca to jeden z trzech (obok mutacji i doboru naturalnego) mechanizmów ewolucji.

Człowiek posiadał zdolność komunikowania się i kooperacji, której efekt przetrwania zależy od umiejętności dialogu i kultury. Empatia jest warunkiem wzajemnego porozumienia.

„Społeczeństwa obaliły władzę przeszłości...” (stwierdza filozof-socjolog Gelles Lipowetsky). „Tradycja nie ma wpływu na społeczeństwa zachodnie...”, natomiast: „pluralizm, konsumpcjonizm i moda sprzyjają demokracji” (stwierdza red. Justyna Kersler).

W obszarze Europy Wschodniej jesteśmy spadkobiercami: migracji, zmian granic, zwyczajów, tradycji,

podziałów etnicznych, językowych i religijnych. Brak jest wyraźnych granic naturalnych i narodowościowych. Zespół tych cech wydatnie występujących wśród narodów Wschodniej Europy jest pozytywnym w procesie aktualnej integracji.

W okresie II RP nie nastąpiły znaczące zmiany demograficzne, mimo że sprzyjało temu bliskie pokrewieństwo kultur, mentalności, wspólne korzenie wybitnych polityków, twórców kultury, nauki z narodami Wschodniej Europy...

Proces aktualnych przemian wymagał dojrzałości politycznej i społecznej jaka wynikała z doświadczenia drugiej wojny światowej.

Środowisko „Kultury Paryskiej” sformułowało pierwsze wektory współpracy Polski z Ukrainą (przypomina red. A. Krzemiński).

Pozytywnym zjawiskiem w procesie integracji była „Pomarańczowa Rewolucja Ukraińska”, w której odwoływano się do wzorów „Solidarności”.

TMLiKPW przez lat dwadzieścia utrwała dobrosąsiedzkie stosunki międzynarodowe bezkonfliktowo w przyjaznej współpracy w wielu dziedzinach życia społecznego i politycznego.

Contra spem... spero**, że uwolnimy (w wyborach) od trudu rządzenia polityków, którym nie udaje się pograć naród w smutku anarchii oraz z trudem ukrywać gorczy, kiedy świat chwali Polskę! □

* – Tylko ten umie rządzić, kto umie być posłuszny władzy.

** – Wbrew nadziei... mam nadzieję...

Maria Rudnicka

Młodość to skarb

Młodość seniora była trudna
lecz nie narzekał na los
Zrozumiał że była cudna
mimo zmartwień i trosk

Bo młody wówczas sercem
nie wiedział jak cenić ten skarb
Gdy włosy czas posrebrzył
uświadomił ile on był wart

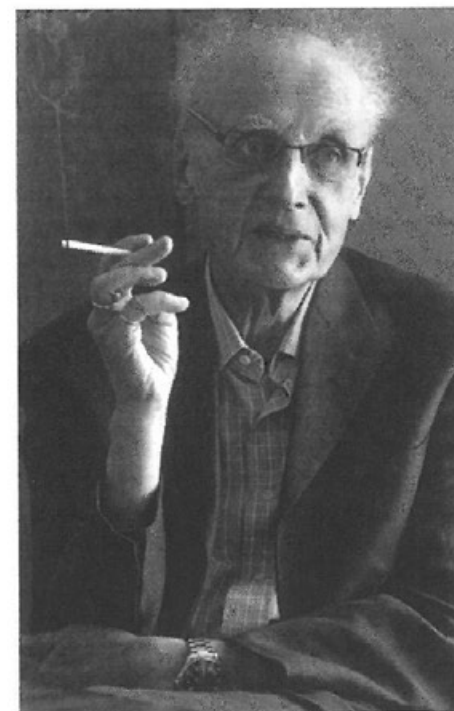
Choć włosy srebrem lśnią
jego bogactwem są wspomnienia
i bogate życiowe doświadczenia
które w jego sercu tkwią

Kariera sukcesy sława
rozgłos stroje zabawa
To wszystko znaczy nic
bo on chce znów młody być

Choć ma przyjaciół i bliskich
Rodzina i wnuki go kochają
Ma też poważanie u wszystkich
jednak marzenia się nie spełniają

Więc niech korzysta z tych lat
które los dał mu w darze
bo duchem jest młody o tak
Wiele może się jeszcze zdarzyć

Beata Młynarczyk Wojciech Kilar



Kompozytorska droga Wojciecha Kilara zaczęła się jeszcze w rodzinnym Lwowie, gdzie pobierał pierwsze lekcje gry na fortepianie – ponoć bez większego entuzjazmu. Po wojnie wysiedleni ze Lwowa Kilarowie zamieszkali w Rzeszowie. Tam młody muzyk kontynuował naukę i tam w roku 1947 miał miejsce jego debiut w roli pianisty i kompozytora nagrodzonych na konkursie Młodych Talentów *Miniatur dziecięcych*. Potem było krakowskie Liceum Muzyczne i pierwsze lekcje harmonii u Artura Malawskiego, a później studia pianistyczne u Władysława Markiewiczówny w Katowicach i prywatne lekcje kompozycji u Bolesława Woytowicza. Rok 1955 przyniósł kolejną kompozytorską nagrodę – za *Małą uwerturę*. W tym też roku Wojciech Kilar z wyróżnieniem skończył studia. Śladem wielu jemu podobnych młodych, ambitnych i utalentowanych polskich twórców wkrótce potem wyjechał na Zachód. Rok 1957 to udział w Wakacyjnych Kursach Nowej Muzyki w Darmstadt, a w roku 1959 – w ramach stypendium rządu francuskiego – trafił Wojciech Kilar do Paryża – mekki młodych kompozytorów europejskich. Studiował tam u legendarnej Nadii Boulanger – kompozytorki, dyrygentki, erudytki i wybitnego pedagoga. Kilar był już wówczas autorem dwóch symfonii, *Małej uwertury*, *Koncertu na dwa fortepiany i orkiestrę perkusyjną*, *Ody Bela Bartoka in memoriam* (za którą w 1960 roku otrzymał nagrodę bostońskiej fundacji im. Nadii Boulanger), kilku kompozycji kameralnych i wokalnych, a także muzyki do pierwszego w swej karierze filmu – *Narcisze* Natalii Brzozowskiej. W tych młodzieńczych kompozycjach odnajdujemy ślady fascynacji twórczością Igora Strawińskiego i Béli Bartoka, zamiłowanie do klasycznych form, wyrazistą rytmikę, inspiracje muzyką ludową. W paryskim salonie Nadii Boulanger, gdzie spotykali się, wzajemnie inspirowali i wymieniali do-

świadczenia neoklasycy i awangardysty, w atmosferze twórczego fermentu młody kompozytor z Polski dojrzał do zmian, do śmiałego eksperymentowania, odważnego szukania własnej drogi i własnego stylu.

Z początkiem lat sześćdziesiątych w muzyce Wojciecha Kilara pojawiają się nowatorskie rozwiązania, przede wszystkim w obszarze brzmienia utworów. Kompozytor sięgnął po ćwierćtony, niecodzienne sposoby wydobywania dźwięków (uderzanie strun metalowymi przedmiotami), bawił się możliwościami ludzkiego głosu, barwą głosek, sylab i wyrazów (*Diphtongos*), śmiało wprowadzał do swych partytur nietypowe „instrumenty”, na przykład zbiornik po benzynie w *Generique*. Dotąd neoklasycy, rzucił się w wartki nurt muzycznej awangardy. Podczas trzech kolejnych edycji Warszawskiej Jesieni nowatorskie kompozycje Kilara wywoływały entuzjazm publiczności i poruszenie wśród krytyków. W roku 1962 wykonano jazzujący *Riff 62*, w 1963 zaskakujące ostrością, a nawet agresywnością brzmienia *Generique*, rok później *Diphtongos* inspirowane egzotycznym brzmieniem piosenek z Wysp Trobriandzkich. Muzyczny język kompozytora stał się coraz bardziej rozpoznawalny i indywidualny. Krytycy wyróżniali w nim elementy sonoryzmu, techniki dodekafonicznej, webernowskiego punktualizmu. Sam kompozytor do tych odważnie awangardowych, tak istotnych dla rozwoju jego kariery utworów, wraca we wspomnieniach z uśmiechem lekkiego pobażania, niczym do grzechów młodości.

Przełom lat 60. i 70. przyniósł kolejną odmianę. W roku 1967 podczas Warszawskiej Jesieni wykonano *Solenne* na 67 wykonawców, cztery lata później *Upstairs-downstairs* na dwa chóry dziecięce i orkiestrę, a w 1972 – *Przygrywkę i kolędę*. W tych nowych kompozycjach widoczne było uspokojenie. Miejsce jaskrawych kontrastów zajęło ograniczanie materiału dźwiękowego i tendencja do powtarzalności. Wojciech Kilar wpisywał się tu w nurt nowej estetyki i cieszącego się coraz większą popularnością muzycznego minimalizmu, a tym samym znów znalazł się w awangardzie. Jednocześnie stał się coraz bardziej uznanym i cennym kompozytorem muzyki filmowej. W ciągu 10 lat – od roku 1958 do 1967 – skomponował muzykę do 37 filmów. Tylko w czterech, rekordowych latach 1968–71 było ich aż 28, w tym *Lalka*, *Sól ziemi czarnej*, *Przygody Pana Michała*, *Perła w koronie*, *Rejs*.

W połowie lat 70. kompozytor znajdował się w szczytowo twórczej formie. Sprawny warsztatowo, władający kompozytorskim rzemiosłem ze znanostwem i profesjonalizmem, coraz częściej uświadamiał sobie, że sama dźwiękowa materia, choć tak bogata, plastyczna i inspirująca, nie daje mu możliwości wypowiedzenia się do końca, bycia w pełni sobą. W poszukiwaniu pozamuzycznych inspiracji sięgnął po teksty i włączył do swych kompozycji elementy muzyki ludowej. *Krzesany* z 1974 roku otworzył poliptyk inspirowany umiłowanym Tatr i ich folklorem. Po nim przyszły *Kościółec* (1976), *Siwa mgła* (1979) i *Orawa* (1986). Głęboko przeżywana wiara i poruszenie wywołane przemianami społecznymi w Polsce zaowocowały dziełami o tematyce religijnej – *Bogurodzica* powstała w 1975 roku, *Victoria* w 1983, *Angelus* w roku 1984. Popularności muzyki Kilara towarzyszyły wówczas mieszane ko-

mentarze krytyków. Dalsze upraszczanie języka muzycznego, odwrót od awangardowości, koncentracja na duchowym przesłaniu dzieła wywoływały zarówno entuzjazm, jak i posądzania o schlebienie gustom publiczności. Tymczasem kompozytor, wiedziony twórczym instynktem, po raz kolejny trafił w czas. Otwarty i wrażliwy na otaczającą go rzeczywistość, reagował nań w najbardziej naturalny dla siebie sposób – muzyką. Coraz silniejsza świadomość głębokiej, humanistycznej wspólnoty z rodakami, współwyznawcami, muzyce tej nadawała uniwersalny, jednoczący wymiar. Być może w tym tkwi tajemnica ogromnej popularności utworów Kilara w latach 80. i 90. Dotyczyło to wtedy również jego twórczości w przestrzeni filmu. Rozwijała się wieloletnia współpraca z Krzysztofem Zanussi (Struktura kryształu, Góry o zmierzchu, Hipoteza, Bilans kwartalny, Barwy ochronne, Kontrakt, Cwał), Kazimierzem Kut- zem (Linia, Znikąd donikąd, Paciorki jednego różańca, Na straży swej stać będę), Andrzejem Wajdą (Kronika wypadków miłosnych, Korczak, Ziemia obiecana, Pan Tadeusz) czy Romanem Polańskim (Śmierć i dziewczyna, Dziewiąte wrota, Pianista). Do współpracy zapraszali Kilara twórcy francuskich i amerykańskich obrazów (Dracula Francisca Forda Coppoli, Portret damy Jane Campion). Z czasem kompozytor ograniczył ilość przyjmowanych propozycji, wybierając te najbardziej dla siebie interesujące artystycznie lub angażujące emocjonalnie, choćby poprzez osobistą relację z twórcami.

Pogłębiona duchowość, skupienie i prostota środków, charakterystyczne dla późnych dzieł Wojciecha Kilara, są odbiciem jego twórczej postawy, nacechowanej odpowiedzialnością i pokorą. Z biegiem czasu kompozytor tworzy mniej, „niczym drzewo owocujące raz w roku”. Każdy jednak kolejny owoc jego pracy i natchnienia – głęboko przeżyty, przemysłany i zakorzeniony w dojrzałej, szlachetnej osobowości kompozytora – tym bardziej zasługuje na uwagę i porusza. Kontem-

placyjna, modlitewna *Missa pro pace* (rok 2000), dedykowana Janowi Pawłowi II, przejmująca *September symphony* (2003), pisana z myślą o ofiarach zamachu na World Trade Center, *IV Symfonia de Motu* (2005), *V Symfonia Adwentowa* (2007), *Te Deum* i *Veni Creator* (2008) – to dzieła ważne i znaczące, bo pisane z głębokim przekonaniem, z potrzeby serca. Źródłem ich wartości jest ponadto niezachwiana pewność kompozytora, że każda muzyka – wielka msza i prosta piosenka – „musi być dobra”. Przeświadczenie to sprawia, że Wojciech Kilar z równym zaangażowaniem i profesjonalizmem, a zarazem z równym powodzeniem, pracuje nad oratorium, symfonią i ścieżką do filmu, udowadniając że nie ma w tym żadnej sprzeczności. Zresztą dziś, mając 80 lat, imponujący dorobek i zasłużony mir w muzycznym świecie, nie musi już niczego nikomu udowadniać. Po prostu – jest sobą.

Urodził się 17 lipca 1932 roku we Lwowie i mieszkał tam przy ulicy Leona Sapiehy.

Od czasu przymusowego opuszczenia miasta nigdy tam nie powracał.

Wśród wcześniejszych bardzo wielu nagród 8 maja 2011 roku otrzymał honorową nagrodę im. Lecha Kaczyńskiego podczas Światowego Kongresu Polonii „Polska – Wielki Projekt”.

Oficjalną inauguracją 22 Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” w bazylice jasnogórskiej był koncert na 80-lecie Kompozytora.

Obecnie na stałe mieszka w Katowicach.

Zarząd Główny TMLiKPW oraz redakcja czasopi- sma „Semper Fidelis” w imieniu Lwowian i Kresowian składa swemu Rodakowi wielce szanownemu Jubilatowi najserdeczniejsze życzenia zdrowia i dalszych sukcesów muzycznych na chwałę Bogu i Ojczyźnie.

Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki

Okres dzieciństwa i dorastania we Lwowie (I)

(Fragment książki „Ze Lwowa na morza i oceany”)

Lata 1930–1946

Ja, Tadeusz Zbigniew, urodziłem się 13 marca 1930 roku we Lwowie.

Urodziła mnie Stefania Nowogrodzka z domu Diaczyszyn. Ojciec mój to Ludwik Nowogrodzki. Kim byli, czym się zajmowali moi rodzice?

Matka pochodziła z rodziny robotniczej, a ojciec jej, Andrzej Diaczyszyn, wyznania greckokatolickiego Rusin, pracował w gazowni. Jego żona, Seroizka Maria, była wyznania rzymskokatolickiego i, jak to wówczas praktykowano w mieszanych małżeństwach polsko-ruskich, bracia mamy Andrzej i Józef, zostali ochrzczeni w cerkwi, a siostra Maria – w Kościele katolickim.

O Józku i o tym, co robił on jako młodzieniec, mało wiem. Wujek Andrzej, według opowiadań mamci, żeby

dostać się do polskiej podchorążówki, zmienił nazwisko na (prawdopodobnie) Wesółowski i – zaginął podczas obrony Lwowa (przed bolszewikami w 1920 roku).

Matka moja, Stefania, we wczesnym dzieciństwie osierocona przez swoją matkę, ukończyła zaledwie kilka klas szkoły podstawowej, co dało jej jedynie umiejętność czytania i pisanie. Chciano ją przyjąć na wieś do nieznanych mi krewniaków, ale – według słów mamy – nie chciała być „dziwką”, jak to mama określała prostą wiejską dziewczynę, a nie miało to nic wspólnego z dzisiejszym znaczeniem tego słowa; wołała być raczej służącą w mieście. Dziadek Diaczyszyn, którego nie znałem, po śmierci żony ożenił się ponownie. Umarł z powodu wścieklizny, w wyniku ugryzienia przez wła-

snego psa. Zostali więc – Stefania z rodzeństwem – pełnymi sierotami.

Ojciec mój, Ludwik, pochodził również z rodziny robotniczej. Dziadek Michał Nowogrodzki, jak go pamiętam, leżał sparaliżowany przez 16 lat, po ugryzieniu w głowę przez konia; wcześniej pracował w konnych tramwajach. Mieszkali, jak to się wtedy mówiło, w „hotelowcu”, w jednym pomieszczeniu o powierzchni ok. 10 m²: babcia Agnieszka z domu Wrzeszcz, ojciec mój Ludwik i jego rodzeństwo – brat Romek, siostra Michalina i druga siostra Ryszarda, która popełniła samobójstwo przez otrucie, na tle zawiedzionej miłości.

Tato w wieku 19 lat rozpoczął stałą pracę w miejskiej kolei elektrycznej (tramwaje w roku 1927, w charakterze torowego (przedtem jakiś czas pracował na pocztach). Zrządzeniem Boskim spotkali się Ludwik i Stefania, i w końcu wzięli ślub we Lwowie 29 września 1928 r., a młodożeniec pełnił w tym czasie zasadniczą służbę wojskową (od 2 września 1928 do 8 marca 1930 r.). Z pewnością mieli nadzieję, że wspólnie poprawią sobie warunki życiowe, a ja, jako owoc ich miłości, miałem osładzać im życie; na razie jednak, po moim narodzeniu, zamieszkali gdzieś w suterrenach (suterdeny to piwnice w kamienicach przystosowane do zamieszkania przez ludzi).

Ojciec pracował jako torowy w MKE, a matka zajęła się wychowaniem syna. Moje wspomnienia zaczynają się od momentu, gdyśmy mieszkali u kolejarzy Cwynarów ma Lewandówce. Tam biegałem boso po łąkach, zbierając kaczeńce. Ojciec w tym czasie „jeździł” skrobaczka po torach tramwajowych wybierając śmieci z rowków szyn i oczyszczając zwrotnice. Najwięcej zanieczyszczeń pochodziło z odchodów końskich, bo w tym czasie transport towarowy odbywał się za pomocą furmanek.

W roku 1934 urodził się mój brat Mieczysław; wtedy też ojciec awansował na stanowisko konduktora i zamieszkaliśmy jednym pomieszczeniem, w suterenie (po lwowsku w suterynie) na ulicy Reymonta 12. Była to willa państwa „Wesołuskich” (?), patriotów lwowskich. Pomieszczenie, w którym mieszkaliśmy, to izba o powierzchni nie więcej niż 16 m². Dwa okna, po przeciwnej stronie kuchnia węglowa. Przy jednej ścianie łóżko rodziców i kanapa, moje spanie. Po przeciwległej stronie łóżko Mietka i kufer na ubrania. Nad łóżkiem rodziców obraz ze Świętą Rodziną. Po przeciwnej stronie, w rogu przy oknie gipsowe popiersie Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Na środku stół z krzesłami i taboretami. Wieczorami izbę rozświetlała lampa naftowa.

W tychże suterynach, oprócz nas, mieszkali również w oddzielnych izbach – rodziny Gąsków i Kaweckich (ci ostatni po zmianie nazwiska). Suterena była głęboka, a schodziło się do niej po ciemnych schodach. Wspólna ubikacja służyła dla wszystkich mieszkańców. Nie mieliśmy światła elektrycznego ani gazu, a tylko kran z wodą na korytarzu. Tam toczyło się nasze wspólne życie i radość z domowego (jedna izba) „ogniska” – również dosłownie, gdyż wszystko było gotowane na kuchni węglowej.

Pamiętam, że byłem chorowitym dzieckiem, a ponadto wiem z opowiadań mamci, że jako dziecko byłem noszony na lampy kwarcowe z Lewandówki do Ubez-

pieczalni Społecznej w mieście, żeby leczyć początki krzywicy. Do tego dochodziła choroba uszu i leczenie poprzez zalewanie ciepłą wodą utlenioną. Zapamiętałem, że wiele razy woda była za gorąca i kończyło się płaczem. W tym czasie „złotym środkiem” na rozwój dzieci był tran wielorybi, a że mamcia chciała mieć zdrowe dzieci, więc nam nie „przepuszczała”, co niejednokrotnie kończyło się zwracaniem tego życiodajnego leku.



Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki w 1932 lub w 1933 r. we Lwowie na Lewandówce. To moje najwcześniejsze zdjęcie.

Prawdopodobnie od piątego roku życia uczęszczałem do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne. Pozostały zdjęcia w ubranku krakowiaka oraz wspomnienie częstych odwiedzin u mojego kolegi z ochronki, który mieszkał koło cytadeli w dużym domu z ogródkiem. W mojej ocenie jego rodzina to było „bogate państwo”, z czego też wynika, że ochronka nie służyła wyłącznie dla ubogich dzieci.

Jak w dalszym ciągu opiszę, rodzice nie tylko dbali o zdrowie, ale również troszczyli się o nasz rozwój intelektualny. Daleką miałem drogę do ochronki, bo pamiętam, jak pewnego razu podprowadzony przez mamcię i puszczony dalej sam po drodze „urząłem się” w portki i wróciłem do domu z płaczem. Rodziców cechowała godna podkreślenia dbałość o higienę. Ojciec wykonujący tak „podstawową” pracę zawsze był widziany w mundurze z czystym białym kołnierzykiem, w bucikach „wyglancowanych”, a mamcia, tak jak ją zwykle po lwowsku tytułowaliśmy, w miednicy szorowała nam kolana niemalże do krwi, uszy czyściła, paznokcie obcinała prawie „do mięsa”, ale teraz zdaję sobie sprawę, że to mnie wyróżniało pomiędzy rówieśnikami, co wcale im się nie podobało. Raz, gdy mamcia ubrała mnie w ładny mundur marynarski (czy już wówczas wrócono mi, że będę marynarzem?), to moi koledzy

Cześć i Władek namoczyli patyk w kale i po mundurku. Procentowało to jednak w ochronce, bo zapraszano mnie do zabawy w „dobrych domach”. Tak spędziłem dzieciństwo i przyszedł czas pójścia do szkoły.

Naukę rozpocząłem w 1937 roku w szkole powszechnej im. Św. Marii Magdaleny we Lwowie. Z nauczycieli zapamiętałem nazwisko wychowawcy naszej klasy – pan Ligęza. Pamiętam go jako nauczyciela, który starał się rozbudzić w nas, uczniach, szacunek i miłość do Ojczyzny. Stawiając nam za wzór Orłęta Lwowskie. Ojciec mój był w tym czasie szefem Związku Strzeleckiego w zajezdni tramwajowej na ulicy Gródeckiej. Często zabierał mnie ze sobą na strzelnicę, gdzie miałem okazję zapoznać się i oddawać strzały do tarczy z karabinu bojowego. Razem z ojcem uczestniczyłem w różnych uroczystościach patriotycznych, które często kończyły się „potańcówką”. Mamcia puszczała mnie razem z tatą, bo sama nie lubiła tych zabaw i chyba według jej rozumowania miałem służyć za „pryzwoitkę”. To znaczy mieć oko otwarte na przystojnego ojca. Niezbyt mi wychodziło to: otwarte oko”, bo wieczorem same zamykały mi się oczy do snu. Do dzisiaj pamiętam jak byłem układany do snu w magazynku z kocami, a tato jako gospodarz zabawy zajmował się gośćmi.

Wkrótce zostałem zapisany przez tatę do organizacji młodzieży Orłęta Lwowskie. Zbiórki odbywały się na Lewandówce. W szkole na uroczystościach patriotycznych deklamowałem wierszyki, między innymi:

*Jedenasty listopada słońce ładnie świeci
W naszej szkole się zebrały wszystkie polskie dzieci.*

Innym razem śpiewałem:

*Nasze małe żołnierzyki na placówkach stoją
I śpiewają bolszewikom, że się ich nie boją – nic a nic.*

16 maja 1938 roku. Pan prezydent miasta Lwowa zgodził się na przyznanie dodatku pieniężnego na dzieci.

Rok 1939 – mówi się o wojnie. W szkole odbywają się ćwiczenia przeciwlotnicze; również w tym roku przystępuję do Pierwszej Komunii. Ksiądz katecheta o nazwisku Kłos, zawsze wystrzyżony był „na pałę” i nas namawiał, żeby do pierwszej Komunii, na pokutę, ostrzyć włosy. Mało kto posłuchał, ale ja wymogłem na rodzicach, i mnie wystrzygli. Nie mam zdjęcia z pierwszej Komunii, bo ... tak biednie wyglądałem, według słów mamci. Oczywiście, po tej uroczystości czekał mnie jedynie – pączek na plebanii.

W lipcu byłem na obozie suchów gdzieś koło Sano-ka, jako dziewięciolatek, pierwszy raz tak daleko od rodziców.

Oczywiście, większość potrzebnych rzeczy była brana na raty u Żyda, który nas w domu odwiedzał, bo przecież ojciec był na posadzie państwowej, wówczas był konduktorem, zawsze czystutki, buty „na glans”.

Raz na miesiąc chodziłem do babci Agnieszki, w dniu przysyłania jej renty, abym mógł za nią podpisywać, za co dostawałem od babci „książeczkę” i szedłem do Żyda kupić sobie na raty „kanoldy” (irysy).

Przy okazji pisania tych wspomnień zastanawiałem się nad tym, że tak naprawdę, to myśmy w znacznym stopniu wychowywani byli przez ulicę. Gdy chodziłem do babci, miałem 8–9 lat, i jak to było wtedy iść same-mu przez miasto? Raz jednak babcia miała silne prze-

życie przeze mnie. Nie wiem dlaczego, być może, jak mama była w szpitalu, babcia poszła na wywiadówkę do mojej klasy, i jak wspominała, ze strachem słuchała wychowawcy, pana Ligęzy, który grzmiał na „paniusie”, że ich synowie mają słabe wyniki i są niegrzeczni, a potem, jak wyczytał moje nazwisko – babcia omal nie zemdlała ze strachu (była bardzo niskiego wzrostu). Wychowawca jednak zaczął mnie chwalić, stawiając za wzór, i wtedy babcia rozplakała się na głos. Tak już w młodości się starałem.

W sierpniu atmosfera stawała się już coraz bardziej wojenna. W Miejskiej Kolei Elektrycznej otrzymaliśmy suchy prowiant na przetrwanie pierwszego okresu wojny, a więc słoninę, cukier, mąkę, kaszę.

Nadszedł dzień **1 września 1939 roku**. Zamiast uczyć się w ławkach szkolnych poznawaliśmy, co to jest nalot niemieckich samolotów, ryk syren, karetki pogotowia, dym od strony dworca kolejowego. Pobiegłem z kolegami przyjrzeć się temu z bliska. Niedaleko kościoła św. Elżbiety była ulica Krótka, i tam został trafiony przez bombę dom, a wyglądało to tak, jakby ktoś nagle odciął ścianę i odsłonił mieszkanie, gdzie jeszcze kilka godzin temu toczyło się normalne życie. Dla nas „gówniarzy” widok ten był niezwykły.

Z tych pierwszych dni wojny pozostało mi w pamięci budowanie barykady na skrzyżowaniu ulicy „naszej” z ulicą Potockiego. Wokół nas „starszych” kręcił się mój młodszy brat i – jak się później okazało – wszystkie porzucone granaty i pistolety schował on sobie ... pod łóżkiem rodziców.

Wkrótce Niemcy byli już pod Lwowem. Nie ma mowy o poddaniu się miasta. Na szyby naklejamy paski papieru, żeby szkło nie kaleczyło czasie wybuchu, a w celu zabezpieczenia się przed gazem uszczelnialiśmy drzwi, i w ten sposób nasz korytarz w suterrenach stał się schronem. Ojciec w napięciu czekał na kartę mobilizacyjną, ale w końcu nie wytrzymał nerwowo, pożegnał się z nami i poszedł na ochotnika bronić Lwowa, jednak po kilku dniach wrócił rozczulony – nie było dla niego ani broni, ani amunicji.

Polski kontratak odrzuca Niemców spod Lwowa i wtedy też dochodzą wiadomości, że Rosjanie przekroczyli granicę Polski. Naszą rodzinę dotyka bolesny cios – ginie Mietek, syn cioci Nusi, zastrzelony przez Niemców na rogatkach Lwowa. Oto pierwsza w rodzinie, śmiertelna ofiara wojny. Ojciec mój wraz z bratem Romkiem, który był pocztowcem i jeździł w składzie pociągu pasażerskiego, próbują ucieczki do Rumunii – za późno. Jak się okazało, przejście graniczne było już w rękach Rosjan, wraca więc ojciec do Lwowa.

22 września o godzinie 14:00 oddziały Armii Czerwonej wkroczyły do Lwowa. Na ulicach Lwowa Czuby-ryki, pojawiły się plakaty opluwające Polskę burżuazyjną anegdota „pod Tońka i Szczepka” mówi: *patrz Tońku, z naszego Lwowa zrobili Betlejem – gwiazda świeci, a na ulicach pastuchy*. Choć z opóźnieniem, w szkołach uczniowie rozpoczęli naukę. Powoli kończą się produkty otrzymane na czas planowanej krótkiej wojny, a to oznaczało codzienne zmagania o żywność.

Wracając do okresu bombardowań, trzeba podkreślić, że w tym czasie wszystkie większe sklepy zostały porozbijane i splądrowane, a my, dzieci, również biegaliśmy po nich, zbierając zabawki. Pewnego dnia z pał-

cej się wytwórni wódek Baczewskiego przyniósł ojciec duży „butel” spirytusu, co pozwoliło nam przeżyć zimę 39/40, bo wódka była najlepszą monetą płatniczą.

Jako dzieci, śpiewaliśmy „Rano wstajesz kuszat’ niemo w oczeredi nada stat’ jak nie staniesz na peredi, granda budiet sachar brat’”. Co do mnie, to nawet lubiłem to zdobywanie bochenka chleba czy pół kilograma cukru, bo stało się w kolejce, która była krótka za to „z dużym łbem” przed wejściem do sklepu i przy każdym otwieraniu drzwi sklepowych, żeby wpuścić kilka osób, robiło się wielkie zamieszanie – ci, którzy stali długo, mogli zostać wypchnięci całkowicie, a inni „na grandę” wpadali do środka, a więc była to świetna zabawa dla nas 10-latków, a do tego, jeśli stało się w ścisłości między dziewczynami, można się było poprzytulać, zwałając na łok. Jak widać, najwyraźniej nie byłem dopieszczony w domu. Rodzice oraz rodzina mamci czasami przez całą noc oczekiwali w kolejce w odległości 100 metrów od sklepu tekstylnego, gdyż na stanie tuż przy drzwiach nie pozwalała milicja „bo przecież u nich jest wszystkiego mnogo”. Rano, jak otwierano sklep i wpuszczano po 10 osób, stojąca z dala w kolejce odpowiednia grupa obejmowała się, i tak ludzie ci – w zwar- tym szyku – podchodzili, pilnując, by nikt spoza kolejki, nie wtargnął do wnętrza sklepu. A tam można było kupić z góry określoną ilość perkalu na sukienki, z którym jechało się na wieś, by zamienić go na żywność.

W szkołach wprowadzono reorganizację. Po pierwsze, siedzimy teraz w ławkach razem z dziewczętami, bo przedtem klasy były osobne dla chłopców i osobne dla dziewcząt. Drugie posunięcie władz szkolnych wywoływało w nas mocne przeżycie – cofnięto wszystkich o jedną klasę wstecz, gdyż, rzekomo, poziom w polskich szkołach był niższy od poziomu szkół radzieckich. W gronie nauczycielskim pojawiają się zwolennicy Nowej Władzy. Nasza wychowawczyni zapisuje nas wszystkich „na ochotnika” do pionierów, i pamiętam, jak założyli nam chusty czerwone i wysłali do domu – idąc ulicą, płakałem ze wstydu. Na szczęście, chusty te pościągali rodzice dzieciom i jedynie pod strachem represji zakładaliśmy je, wychodząc na zajęcia kulturalne do pałacu kultury – dawnej siedziby hrabiów Potockich.

W okolicy, gdzie mieszkaliśmy, przebywali oficerowie radzieccy z rodzinami, a więc, byli tam i chłopcy. Rozpoczęliśmy regularną, codzienną bitwę na kamienie i kije, które rzucaliśmy na siebie, atakując raz my, raz oni z przewagą, nie bacząc na przechodniów czy tramwaje.

Któregoś razu, podczas zaciętych walk ktoś chwycił mnie za ramię. To moja mamcia krzyknęła:

Tadzik do domu! Odpowiedziałem: Co mamcia chce, żebym wojnę przegrał? Chwila nieuwagi wystarczyła, żeby Rosjanie aż do mieszkań nas pogonili. Po pewnym czasie znaleźliśmy puszkę z oliwianymi plombami. Porobiliśmy katapultki i podczas walk w okopach zasypaliśmy przeciwnika gradem świszczących pocisków i z okrzykiem „hura”! pogoniliśmy ich do domu. Za to oni wkrótce w odwecie zaczęli strzelać do nas (okazało się, że z korkowców). I tak, z czasem znudziły nam się walki i zapanował rozejm. Trzeba przyznać, że żaden z ich mundurowych rodziców nie interweniował.

Po jakimś roku czasu sklepy zostały zapełnione wódką, śledziami i herbatnikami. Moi najbliżsi koledzy wprawiali się w okradaniu sklepów spożywczych. Kradli

herbatniki i śledzie, które wrzucali dla swej radości w otwarte przypadkowe okna. Brat mój Mietek podczas takiej akcji w sklepie tak się nachylił do beczki, że aż się w nią zanurzył. Tak to się zabawialiśmy. Nie pamiętam, czy piliśmy wódkę, ale na jej kradzież był dobry sposób. Wódka stała przed sklepem w skrzynkach, więc wyciągało się butelkę i wchodziło do sklepu, gdzie zawsze byli ludzie i tam się ją chowało za pazuchę, a dla obserwatora z ulicy wyglądało, że wchodziło się, aby zapłacić. Mama tymczasem wyprzedawała swoje ubiory. Towarem poszukiwanym przez zamożniejsze Rosjanki były halki i koszule nocne, jak opowiadano, spacerowały w nich jak w sukienkach po ulicach.

Przygoda mamy: Rosjanka chce kupić halkę, ale chce przymierzyć i powiada, że jest dyrektorką kina. Idą razem, na drzwiach jest napisane „dyrektor”. Kobieta po wejściu poprosiła mamę, żeby ta usiadła, po czym ściągnęła z siebie sukienkę i ukazała się pani dyrektor całkiem goła, przymierzyła, zapłaciła, a mamcia, oszołomiona zachowaniem kobiety, dookoła w rodzinie opowiadała o swojej przygodzie.

Pragnę w tym miejscu, czytającemu moje wspomnienia, wyjaśnić: byliśmy rodziną czteroosobową, nie posiadaliśmy zgromadzonych jakichkolwiek dóbr i po kilku miesiącach okupacji bolszewickiej kończyły się zapasy żywności, a nic nie posiadaliśmy na wymianę. Rozpoczął się dla nas trudny okres walki o przetrwanie, zwłaszcza że zbliżała się zima. My, dzieci, pomagaliśmy rodzicom jak tylko potrafiliśmy. Dlatego też większość dnia spędzaliśmy na ulicy lwowskiej. W tych okolicznościach mogłem zaobserwować wiele zdarzeń okupacyjnych, którymi podzielię się na stronach następnych.

Wujek Józek przez czas jakiś spał u nas. Przypominam sobie jego przyzwyczajenie: na noc mama kładła mu przy łóżku chleb ze smalcem i cebulą, a on w nocy budził się i to zjadał. Po jakimś czasie zniknął i dopiero później dotarła do nas wiadomość, że został aresztowany i wywieziony do Rosji. Być może, iż w owym czasie ukrywał się u nas.

Gdy nadszedł czas masowej wywózki Polaków do Rosji, dni i noce zamieniły się w prawdziwy koszmar; pamiętam te nocne czuwania, wsłuchiwanie się w jeżdżące ciężarówki, którym z rur wydechowych coraz to wydobywał się huk – jakby ktoś strzelił...

Nikt nie był pewny, że go nie wywozą. Jak zaczęto zabierać dzieci ze szkoły w czasie nauki, rozdzielając ich zarazem od rodziców, to przestaliśmy chodzić do szkoły, żeby, jeżeli przyjdzie na nas kolej, być razem z rodzicami. Pomimo faktu, że ojciec należał do Związku Strzeleckiego, naszą rodzinę zostawili w spokoju; być może dlatego, że gdy przed wojną nastąpiło rozbitcie związku na dwa ugrupowania, ojciec poszedł do lewicowego.

Rodzice również zdobywali żywność w ten sposób, że chodzili za miasto niby na spacer, a z pół, w zależności od pór roku, coś przynieśli, to jakieś jarzyny, to kłosy pszenicy, które w domu były luskane i mielone w młynku ręcznym i jedliśmy placki. Pamiętam, jak pewnego razu, gdy było już ciemno, ojciec pożyczyl gdzieś taczkę i przywieźli z pola kapustę. Nie mogę sobie wyobrazić, skąd oni to przywieźli, bo od miejsca zamieszkania do pół było na pewno więcej niż 5 km.

My młodzi również radziliśmy sobie, chodząc „na skok” do pobliskich domków willowych, gdzie ludzie uprawiali co się dało, a że były tam również drzewa owocowe, to nasze „zbiory” rozpoczynaliśmy już od wiosny, a kończyliśmy jesienią. Wkrótce staliśmy się na tyle bezkarni, że gdy uciekaliśmy z pomidorami przed goniącym nas właścicielem ogrodu, to nie kto inny, lecz okradziony przez nas został zatrzymany przez milicjanta, który omal nie aresztował go za to, że straszy dzieci, największy skarb Kraju Rad; wyszło na to, że on, właściciel posiadłości, burżuj, chce nam krzywdę zrobić! Oczywiście, wieść o tym, rozniosła się, jak również wzrosła nasza bezkarność – „na skok” po pomidory braliśmy ze sobą sól, bo bez soli niesmaczne. Dowiedzieliśmy się przy tym, że dzieci bić nie wolno, co zaraz wykorzystywał mój bratczek i gdy mama chciała go postraszyć trzepaczką, to narobił takiego krzyku, wołając na pomoc milicję, że mamcia szybko zaniechała wymierzania sprawiedliwości.

Jakimi to drogami chodziliśmy przez ten świat? W roku 1978, płynąc na Antarktydę statkiem MS „A. Garnuszewski”, zaprzyjaźniłem się z miłym panem Włodzimierzem Puchalskim, który płynął filmować faunę na Antarktydzie; z rozmowy wynikało, że to również do niego, na ulicę Nabelaka, chodziliśmy „na skok”.

22 czerwca 1941 roku – wybuch wojny niemiecko-bolszewickiej. Miałem 11 lat. W kilka dni przeżyliśmy tak wiele!

Ojciec został powołany do wojska. Przypominam sobie, jak gdzieś na ulicy Zielonej byłem z matką i rozmawialiśmy z ojcem przez płot stalowy. Rozpoczęły się niemieckie naloty bombowe. Pamiętam, że stojąc w grupie mieszkańców, nieopodal miejsca zamieszkania, obserwowaliśmy jak strzela artyleria i w pewnym momencie odezwałem się – Na pewno ich trafią, bo mój ojciec jest w artylerii. Na to odezwała się Ukrainka, nowa właścicielka domu – Ne daj Boh! Dopiero później uświadomiłem sobie, że oni czekali na Niemców, bo Hitler obiecał „samostijną Ukrainę”. Podczas bombardowań zostały uszkodzone wodociągi, tak więc nasz wspólny kran w korytarzu stał się bezużyteczny. Ustawiały się zatem długie kolejki do ręcznej pompy, na ulicy, jakiś 50 m od naszej bramy, ale podczas bombardowania i rozrywających się pocisków przeciwnolotnych – pompa czasem stała samotnie. Razu pewnego mamcia pobiegła do pompy. Nabrała wody i biegła z powrotem, i wtedy posypały się koło mamy odłamki. Jeden z nich był wielkości pięści, więc mamcia przyniosła wodę do bramy i wróciła po ten odłamek – na pamiątkę! Długo był on przechowywany w naszym domu.

W ciągu kilku dni obserwowaliśmy, jak Rosjanie uciekali z rodzinami na samochodach ciężarowych. Dowództwo uciekło, a ojciec nasz wrócił do domu, nie przywdziewając munduru.

Gruchnęła wiadomość, że na Łackiego, w więzieniu NKWD, zamordowano wszystkich więźniów. Ojciec mój poszedł tam i zobaczył ten koszmar – w celach masakrowali grantami! Wracając spostrzegł, że ludzie rozbili magazyn z żywnością dla NKWD-stów, i stamtąd przyniósł herbatniki nasiąknięte zapachem trupim wraz z chlorem (do końca życia ten zapach będzie szedł za mną). W tym czasie pojawiły się jeszcze samochody

ciężarowe z żołnierzami gotowymi do strzału – na wypadek, bo z okien strzelano do nich.

Niemcy wkroczyli do Lwowa 30 czerwca 1941 roku – godzina 5.00. Pobiegłem wraz z innymi chłopcami zobaczyć palące się więzienie na Kazimierzowskiej oraz na Wałach Hetmańskich płonące pomniki Stalina. W ciągu tych kilku dni, w rozgardiaszu pożarów, przyniosłem do domu z palącej się wytwórni, taką ilość gilz i bibulek do papierosów, że jeszcze przez rok robiliśmy papierosy i sprzedawaliśmy je na ulicach i na targu. Znowu było bieganie w śródmieściu po rozbitych sklepach, ale, oprócz opakowań, nic nie znajdowaliśmy. Przed nami byli ci, którzy rozbijali sklepy podczas bombardowania. Penetrowaliśmy również koszary wojskowe, gdzie udało nam się znaleźć maski gazowe, i później robiliśmy z nich okulary do kąpieli.

Przejeżdżając tramwajem koło więzienia na Łackiego, trzeba było zatykać nos i usta chusteczką – taki ział odór trupi. Byłem świadkiem takiej oto sceny:

Na ulicy Kopernika prowadzącej do więzienia stali ludzie na chodnikach, a między nimi byłem ja, 11-latek. Środkiem jezdni pędzono Żydów do mycia i sprzątania trupów w więzieniu, bo rzekomo Żydzi najbardziej przyczynili się do aresztowań Polaków. Patrzyłem rozszereżonymi oczami na tych pędzonych, często pokrwawionych ludzi. Spojrzałem na niebo, patrzyli też inni ludzie – słońce patrzyło zza lekkiej mgły i dookoła miało halo – był to sądny dzień dla rodzin pomordowanych Żydów.

Od nowego roku szkolnego, teraz już Niemcy, na odwrót, przesunęli nas o jedną klasę do przodu. Rozpoczęła się okupacja, a z nią, oczywiście, brak żywności i opału. O jedzenie generalnie starali się rodzice, a my dzieci „jeździliśmy na kółkach od wózków” tzn. takie kółko popychało się przed sobą za pomocą specjalnie wygiętego drutu, samemu zaś biegło za nim, aż za miasto, do lasu, z 10 km, a tam w tę obręcz nakładaliśmy suche gałęzie, patyki i nieśliśmy na plecach do domu, gdzie ojciec rąbał to na kawałeczki, do palenia pod kuchnią. Czasem w drodze powrotnej na rogatce Stryjskiej napadali na nas starsi chłopcy i zabierali ładunek drzewa, a my szczęśliwi – gdy nie pobici – wracaliśmy „na pusto” do domu.

Nadeszła sroga zima i patyczki do palenia nie wystarczały. Rozpoczęło się więc, nocami, rozbieranie płotów drewnianych. Pamiętam, jak z ojcem wyrwaliśmy deski z ogrodzenia sadu owocowego. Wyciągane z gwoździ – zgrzytały, a my baliśmy się jakiegoś patrolu niemieckiego, bo właściciel, jeżeli nawet jeszcze mieszkał, to na pewno bał się nosa z domu wystawić. Lwów pogrążony był w zaciemnieniu.

Podczas okupacji niemieckiej – w okresie Bożego Narodzenia – chodziliśmy z szopką kołędować. Każda ulica miała swoich kołędników. Wejście w cudzy rejon groziło utratą szopki lub gwiazdy, na Nowy Rok. Musieliśmy wiedzieć, gdzie mieszkają Polacy, a gdzie Ukraińcy. Najbardziej korzystne były kołedy na Trzech Króli, bo Polakom śpiewaliśmy „Mędrcy świata monarchowie”, zaś Ukraińcom, mającym akurat Wigilię – „Boh predwycznyj narodyłsa...” Zdarzało się również, że natrafialiśmy na Niemców i im także musieliśmy śpiewać. Po zakończeniu kołedy na ogół czekaliśmy przed drzwiami na upominki. Czasem, jak długo nic nie dostawaliśmy, to głośno prosiliśmy: *Dajcie, dajcie jak*

macie dać, bo nie mamy czasu stać! Jeżeli i to nie pomagało, to wykrzykiwaliśmy życzenia: *Ile kątów w chałupie tyle czyraków na dupie!* Po czym szybko ulatniał się.

W tym czasie wielu z nas miało na ciele bolesne czyraki z niedożywienia. Co tydzień uczęszczaliśmy do publicznej łaźni, a później niewłaściwie ubrani, zimą przemarznięci wracaliśmy do domu. Potem musieliśmy znosić bolesne tego wszystkiego skutki.

Ze względu na rozporządzenie władz okupacyjnych nakazujące zdawać duże narty dla wojsk niemieckich, lwowiacy zaczęli uprawiać narciarski sport na uciętých deskach. Wiązanie mocowało się zaraz za szpicami. Nie pamiętam, jak zdobyłem taką parę nart, ale od 12 roku życia z wielką pasją uprawiałem ten sport w ogrodzie owocowym oraz na Wzgórzach Wuleckich. Nigdy nie zapomnę, jak cieszyliśmy się, że księżyc świeci i na pewno do Wielkiej Nocy będzie śnieg. Miała się ta mamcia z nami – naprzód wołanie *Tadziu, Tadziu!*, a później suszenie rozpadających się butów.

Przyszła wiosna i opanował nas szal hulajnogi. Nie wiadomo skąd zdobywaliśmy łóżyska kulkowe, a mając już łóżyska – jeszcze tylko dwie deski, gwoździe na zawias i jazda przez Lwów, bo przecież we Lwowie tu pagórek, tu dolina (jak mówiono do rymu – będzie w dupie Ukraina). Nie bardzo się to okolicznym mieszkańcom podobało, ze względu na duży hałas. Trzeba tutaj wspomnieć, jak mocno przeżywaliśmy zawsze miesiąc maj, bo to majowe nabożeństwa, a przed nimi – szorowanie kolan przez mamę i, oczywiście, czyste ubranie. Zawsze chodziłem do kościoła doskonale „wypolerowany”, a uczęszczaliśmy – to do Marii Magdaleny, to na Wólkę do kaplicy, to do zakonnic. Wybór miejsc naszych nabożeństw na ogół zależał od tego, jakie dziewczęta tam chodziły.

Powoli kończył się dla nas czas zabawy, i **rozpoczęła się walka o przetrwanie**. Jak wspominałem, mieliśmy zapas „tutek” do papierosów, rozpoczęliśmy więc produkcję. Surowiec – to trochę zakupionego przez ojca tytoniu, a reszta to zbieranie petów po przystankach, przed niemieckimi kantynami i kinami. Po wymieszaniu i nabiciu tutek biegaliśmy po ulicach sprzedając papierosy. Czasami ktoś zapytał, czy nie są one z petów, ale my, oczywiście, stanowczo zaprzeczaliśmy. Raz sprzedawałem przy przystanku tramwajowym, zapewniając kupującego o najwyższej jakości towaru. W tym momencie podbiegł Mietek: *Patrz Tadzik, jaki duży pet leży!* Musieliśmy co sił uciekać od klienta, on dziwieńcio-, a ja trzynastolatek.

Od 1943 roku rozpocząłem bujne życie handlowe. Pamiętam te „wycieczki” pociągiem w okolice Złoczowa – po jajka i cielęcinę. Pewnego razu szczęśliwie przeżyłem spotkanie z patrolem ukraińskim, prawdopodobnie z UPA*. Było to w nocy, niedaleko Złoczowa. W naszej grupie „handlarzy” byli nasi sąsiedzi, Rusini. Oni to prowadzili rozmowy z „patrolem”. Ja i towarzysząca mi siostra cioteczna Dziunia w strachu milczeliśmy.

Sprzedaż jaj na placu Unii Brzeskiej. Krzyczałem: *U mnie babraj, gmeraj, wybieraj!* Kupujący wybierali do ostatniego, a ja, zadowolony, wracałem do domu. Wyciągałem również, zza siatki na drucie, ziemniaki z Instytutu Weigla, i za rogiem – „na pniu” sprzedawałem kobietom. Na placu Krakowskim, czyli tzw. „Krakida-

łach”, także sprzedawałem – naprzód sacharynę. Trzeba było uważać na patrole niemieckie; na ogół szli oni w trójkę, w hełmach, a ludzie ostrzegali się mówiąc półgłosem „bomba, bomba”. I mnie się to podobało, więc również ostrzegałem „bomba, bomba”, lecz nie spostrzegłem drugiego patrolu. Od jednego Niemca usłyszałem: *Was is das bomba, bomba?* I dostałem „bombę” w łeb. Na szczęście on zarechotał śmiechem i na tym się skończyło.

Trwały **publiczne egzekucje Polaków**. Niemcy otaczali ludzi na targu, spędzali koło ściany domu i tam rozstrzelali przywiezionych zakładników. Pierwszy raz w życiu widziałem tam powieszzonego „Polnische Bandite z Krakowa”. Trupy zabierano i życie na placu powracało do okupacyjnej normy.

Przy naszym mieszkaniu na Reymonta, od strony podwórka można się było dostać do Instytutu Weigla, gdzie produkowano szczepionki przeciwko tyfusowi.

W czasie wojny gmach Gimnazjum Królowej Jadwigi był Instytutem Weigla (okupacja niemiecka), a za drugiej okupacji, bolszewickiej, był szpitalem wojennym.

Ojciec zaznajomił się ze stróżem, nie pamiętam – Polakiem czy Ukraińcem – i rozpoczął szmugiel karmy dla ptaków oraz fleki (drobne odcinki skór do naprawy obuwia). To wszystko nosiłem na Krakidały i sprzedawałem, wołając „flecki, gryz, fleki”. Kiedyś ojciec wpadł na pomysł, że w dni targowe można chłopom, na ogół Rusinom, sprzedawać mydło kamienne, bo w sklepie nikt tego nie kupował, a miało ono ładne opakowanie, więc stawałem na skrzynce i nawoływałem „*kupujcie mydło Schichta****”. Miałem wiadro z wodą i myłem ręce tym mydłem, demonstrując jego skuteczność; trzeba przyznać, że „nawet” się pieniło, a ojciec z pobliskiego sklepu nosił kolejne skrzynki z mydłem.

Latem 1943 roku pojechaliśmy za Lublin do Firleja – całą rodziną – pooddychać świeżym powietrzem i przywieźć trochę tytoniu i kaszy jaglanej (trzeba przypomnieć, że za najmniejszy handel tytoniem groziła kara śmierci). Gdy wracaliśmy do domu, unikając szczęśliwie łapanek dworcowych, już na naszej ulicy natknęliśmy się na śpiących na chodniku ukraińskich policjantów, ale nasz płacz – mamy i dzieci – spowodował, że nic nam nie zabrali i pozwolili przejść tych 100 metrów do domu. Nie pamiętam dlaczego, ale kiedyś sam wybrałem się do Firleja, za Lublinem. Ostatnią stacją kolejową na mojej trasie był Lubartów, skąd furmanką dojechałem do pierwszych zabudowań nad **jeziorem Firlej**. Otrzymałem tam specjalnie uszyty podwójny worek, w którego wnętrzu było około kilograma tytoniu, a na zewnątrz – około 5 kg ziemniaków. Gdy znalazłem się na stacji w Lubartowie, natrafiłem na „kocioł” – wszystkie torby z bagażem odbierali. W pierwszej chwili ze strachu rzuciłem ją na stos innych, ale żał mi się zrobiło i zwróciłem się do jednego z Niemców *Herr bitte Kartoffle*. Usłyszałem *Raus!*, lecz wskazał mi, że mogę zabrać torbę. Z radością ruszyłem z workiem do wagonu i szczęśliwie dojechałem do Lublina, a tutaj znowu, żeby przesiąść się do pociągu lwowskiego, trzeba było przejść przez ściśle strzeżone wyjście z dworca. Ze strachem trzymałem swój kartoflany worek z nadziejką tytoniową, patrząc jak obmacuje ją Niemiec, tym bardziej, że przede mną aresztowali mężczyznę. Znowu *Raus!* I szczęśliwie, bez dal-

szych przygód, dotarłem do Lwowa. Po drodze nalykałem się dymu z „pracujących” krematoriów w Bełżcu.

Ojciec w dalszym ciągu „robił skoki” na Instytut Weigla i ja sprzedawałem wymienione już produkty na Krakidałach.

Zaczęła się likwidacja getta. Byłem świadkiem takiej sceny: jedzie tramwaj ciągnący platformę, a na niej stojących Żydów, których wieźli na tzw. Piaski; w pewnym momencie jeden mężczyzna zeskoczył z platformy i zaczął biec w kierunku tłumu na targu. Niemiec goniący za nim krzychał *Halt! Halt!*, lecz nie zaczął strzelać i w momencie, gdy uciekinier był tuż, tuż przy tłumie i widział już zapewne wolność, wtedy stojący przy mnie mężczyzna podłożył mu nogę. Dopadł go uzbrojony oprawca i zaciągnął z powrotem na platformę, i tramwaj ruszył. Życie potoczyło się dalej. Piszę ten życiorys-wspomnienia, będąc na morzu – bez możliwości uzupełnienia dat oraz po upływie ponad 50 lat – mam świadomość, że chronologia wydarzeń może nie być zachowana (da Bóg, może kiedyś wszystko uzupełnię).

Mecz w piłce nożnej „Polska – Niemcy”, może to nie był mecz pod takim szyldem, ale w kolejowej reprezentacji kolejarzy niemieckich grało kilku reprezentantów Niemiec, a drużyna polska występowała pod nazwą „Jedynastka Lwowa”. W drużynie polskiej było kilku reprezentantów Pogoni Lwowskiej, na bramce stał Albański. Nie zapomnę nigdy tego szalu radości, gdy nasi zaczęli wygrywać! Niemiecka drużyna nazywała się „Kona”, my gówniarze wrzeszczeliśmy *Kona skona!* Pełne trybuny z żołnierzami niemieckimi zapewne na początku nie mogli zrozumieć naszego dopingu, ale jak piłkarze niemieccy przegrywali, a my dalej Kona skona! Dopiero wtedy Wehrmacht zrozumiał w czym rzecz i posypały się na nas uderzenia. Ja dostałem szpicrutą od oficera niemieckiego za ucho! Po zakończeniu meczu byłem w grupie ludzi, którzy nieśli na rękach naszych graczy dziękując im za zwycięstwo, a oni prosili żeby się uspokoić. Wkrótce wszyscy Polacy ulotnili się ze stadionu.

Trochę wspomnień o nauce. Pamiętam jak rozpoczęło się na Wołyniu masowe mordowanie Polaków – przez ukraińskich nacjonalistów. Lwów napelnił się wtedy uciekinierami i nasza szkoła została przekazana na kwatery. Siódma klasa, do której uczęszczałem, miała lekcje w dużym pomieszczeniu mieszkalnym lub... może był tam niegdyś sklep (przy ulicy nieopodal naszej szkoły). Wychowawcą naszym był starszy pan – siwiutki, bardzo patriotycznie nastawiony. Uczył nas śpiewu, pieśni patriotycznych, między innymi *Miałeś chacie złoty róg*, itd. Nie wiedzieliśmy skąd chacie miał złoty róg i dlaczego ostał mu się ino sznur, ale im bardziej prosił nas „profesor” żeby śpiewać cicho, to my wydzielaliśmy się na cały głos – bo to polskie i patriotyczne!

Wiadomo, że władze okupacyjne zabroniły nauki historii i geografii. Nam przecież – jako przyszłym niewolnikom *Herren Volku* – miała wystarczyć tylko umiejętność czytania. Nie znałem szczegółów, ale gdy byłem w siódmej klasie, a więc w roku 1943/44, na propozycję naszego wychowawcy chodziłem do niego na tajne nauczanie przygotowujące do gimnazjum. Uczyliśmy się historii, języka polskiego, geografii oraz łaciny z notatek Pana Profesora. Dziś podziwiam rodziców, raz – za chęć kształcenia syna i w tych warunkach po-

syłanie mnie na naukę, a z drugiej strony – czy mieli świadomość, że narażali nas wszystkich na straszne konsekwencje w razie wpadki? Ojciec był w tym czasie w Armii Krajowej na terenie Lwowa. U Pana Profesora dowiedzieliśmy się o tym, że Polacy zdobyli Monte Cassino (maj 1944 r.); wstając cichutko odśpiewaliśmy *Jeszcze Polska nie zginęła*. Grupa, o której wiedziałem, była zaledwie kilkusobowa, chodziłem na lekcje gdzieś na ulicy Zielonej.

Wracam jeszcze do roku 1943. Likwidacja Getta... I tam mnie poniosło. Wraz z moją starszą kuzynką Dziunią poszliśmy zobaczyć dawne mieszkanie jej rodziny. Bramy już pootwierano, ale na balkonach kamienic wisieli jeszcze policjanci żydowscy – tak, jak oddali ducha! Zapamiętałem ich komendanta powieszzonego na wyższym piętrze; to drwina oprawców. Staliśmy chwilę przed pierwszym wisielcem z poderżniętym gardłem, po czym biegaliśmy po opustoszałych mieszkaniach. Wszędzie poniewierało się jedynie pierze z rozprutych pierzyn, kołder, poduszek... Byli już przed nami tacy, którzy szukali skarbów. Zewsząd patrzyły na nas portrety i zdjęcia na podłogach. Wybiegliśmy na podwórko, gdzie znów zatrzymaliśmy się na widok leżącej, zastrzelonej kobiety – jedynie w koszuli i... w wysokiej ciąży. W pośpiechu uciekliśmy stamtąd na naszą ulicę. Ulicą Potockiego (nie chodnikiem) ukraińscy policjanci prowadzili Żydówkę z dziewczynką około 6 lat, która bardzo płakała. Matka ją pocieszała: *Nie płacz kochanie, zaraz cała nasza bieda się skończy*. Wprowadzili je do pobliskiego ukraińskiego komisariatu i tam, z pewnością, cierpienia ich zakończyły się. Komisariat znajdował się na ulicy Potockiego naprzeciw Instytutu Weigla.

W tym czasie zaginęła ciocia Misia (Michalina, siostra ojca). Wyszła z domu i nie wróciła. Wyszła bez dokumentów, z pewnością Niemcy wzięli ją za Żydówkę, bo miała ciemne włosy, i czym miała udowodnić, że ona, to Polka-Aryjka! Razu pewnego, gdy szliśmy ulicą, niemiecki patrol chwycił pod rękę naszego kolegę i wciągnął do bramy, a tam stwierdzono, że nie jest obrezany, więc go puścili. A kobieta, jak miała udowodnić, że jest Aryjką?

Tak się rozszerza mój życiorys, że powstaje z niego pamiętnik; będę więc „streszczał się” w opisie przeżyć „drobnych”, jak na ówczesną miarę.

11 listopada: słońce ładnie świeci, w naszej szkole zebrały się wszystkie polskie dzieci. Zdarzało mi się recytować w szkole przed rozpoczęciem wojny, ale w 1943 tego dnia wybrałem się do cioci Nusi. Ciemno, śnieg, przyświecam sobie latarką pod nogi i widzę – leży ulotka, a na niej „11 listopada”. Podniosłem, przeczytałem fragment patriotycznej odezwy i słysząc, że zbliża się tramwaj, zacząłem biec i wtedy usłyszałem... zauważyłem żołnierza niemieckiego biegnącego za mną. Wskoczyłem do przyczepki, Niemiec mnie minął i na przystanku wsiadł przy motorniczym do przedziału *NUR FÜR DEUTSCHE*. Ulotkę szczęśliwie dowiozłem do cioci i powędrowała ona dalej – taka kolporterska przygoda.

Kilka słów o tramwajach: Nie były one wyposażone w zamykane drzwi. Wiatr hulał sobie w czasie jazdy na wszystkie strony, po przeciwnej stronie od wejścia była jedynie niska bramka jedynie po to, żeby przy ścis-

pasażerów ktoś nie został wypchnięty. Podczas jazdy ulicą pod górę wyskakiwało się lub wskakiwało według potrzeb. Motorowy siedział jedynie na przenośnym siedelku „rowerowym”. Tramwajarze mieli dla całej rodziny bezpłatne przejazdy, tak zwane „karty swoje” (od słowa swój).

Przyszła czas na pierwsze miłości. Naprzeciw naszego domu był ogród owocowy, ale że płot został rozebrany na opał, a właściciel gdzieś zniknął, był to nasz plac zabaw – mój, Ceśka i Władka Chojnackich, Zbyszka Grząski, Kazika Piszczynskiego spod 14, Zdzicha Motyki, Staszka Jeziorskiego i Duśka Olejnika. Tutaj również bawiły się dziewczęta, co to miały 13–15 lat. Gra w dwa ognie, odbijanie piłki o mur, i po jakimś czasie stałem się obiektem zainteresowania Ali, córki sklepikarza, a za nią – zaczęły wdzięczyć się pozostałe dziewczęta (Ewa, Irka). Niestety, dość szybko to zainteresowanie moją osobą minęło, bo okazało się, że jeszcze nie dorosłem do amatorów i nawet jak wygrałem w jakiś fant całusa to odstępowałem kolegom.

Tutaj, na podwórku, spotkało mnie również nie-szczęście. Podczas zabawy na gąsienicowej platformie, krótko mówiąc – podczas zabawy, zostały mi uszkodzone dwa palce lewej ręki; jeden został zmiażdżony przy końcu, drugi – jedynie częściowo rozerwany. Natychmiast znalazłem się na ulicy Potockiego, nazwijmy to, w pogotowiu, a tak chirurg Ukrainiec mówi – Treba rezaty. Uciekłem do mamy i razem udaliśmy się do miasta, do miejsca, które zdaje się nosiło nazwę Kasa Chorych. Zajął się mną polski lekarz i dzięki niemu oraz Panu Bogu nie zostałem kaleką i nawet później – różne komisje Szkoły Morskiej na następnych badaniach nie zauważyły tego uszkodzenia.

Zaczęło się nam lepiej powodzić. Ojciec pracował jako konduktor w tramwaju, a pasażerowie na ogół, płacąc nie chcieli biletów. Dochodziło do tego, że, jak opowiadał, część biletów musiał niszczyć na końcowych przystankach. Oczywiście, trzeba było odpalić „dołę” motorniczemu, żeby pilnował, czy nie widać trefnego kontrolera biletów, bo „swój” kontroler to tylko wpisywał do ceduły kontrolę, brał swoje i wysiadał. Drugim poważnym źródłem dochodów były bony towarowe, takie, które chłopcy otrzymywali od władz niemieckich za przymusowe dostawy. Powstała taka sytuacja, że we Lwowie brakowało towaru, a w Krakowie był ich nadmiar, a mało bonów – i już sytuacja do wykorzystania. Chce podkreślić, że dzięki temu zmieniła się radykalnie nasza sytuacja finansowa; ojciec skupował pod sklepem bony i sprzedawał je hurtowo przyjeżdżającym do Lwowa „Krakusom”. Trwało tak do czasu wkroczenia Rosjan, w następstwie czego nastąpiła wymiana pieniędzy. Pamiętam jak pyszny był chleb ze sztucznym miodem, jak wyszedłem z kromką posmarowaną „masłomiodem”, a koledzy wołali „daj sztika”. Trzeba było pozwoli nagryzać, uważając żeby nie za dużo, bo inni też chcieli. Pamiętam też cotygodniowe odwiedziny cioci Nusi, kiedy to, oczywiście, często na stole stała wódka – po lwowsku zwana „ćmaga”, a ojciec grał na harmonii i śpiewaliśmy: – *Przysliśmy tu z Gródeckiego, by za-śpiwać coś klawego...*, a na zakończenie: *Jak długo na Wawelu grzmi Zygmuntowski Dzwon...*

Czuje się zobowiązany wyjaśnić młodemu czytelnikowi wspomnienia moje, że wódka w czasie wojny była artykułem „pierwszej potrzeby”. Służyła ona nie tylko

dla polepszenia humoru, lecz również jako „waluta” wymienna, lekarstwo na bóle żołądka, który musiał trawić byle co, także przeciw przeziębieniu, do nacierania i picia. Podczas bombardowań nasz tata wlewał nam po szklaneczce ratafii i po chwili nie były nam już straszne bomby, a że niektórzy popadali w nałóg pijactwa to okupantom było „na rękę”.

W tym czasie ojciec załatwił mi lekcje grania na harmonii. Wszyscy mieliśmy wykonane na zamówienie wysokie buty oficerskie, zwane „anglikami”, bo taka była moda na przekór Niemcom, którzy chcieli, żeby Polacy chodzili w drewniakach (chodziłem w drewniakach przez kilka lat – jak fajno jeździło się w zimę na Wólce, z górki!). Śpiewaliśmy: – *Jedzie Niemiec z drewniakami, widzi ciocię z anglikami. Chodź no ciociu, chodź do bramy, damy ci drewniaki, damy*.

Trafiała się nam, chłopcom, okazja: chodziliśmy raz na tydzień do centrali wynajmu filmów i dostawaliśmy skrzynie z filmami, by roznieść je po kinach. Nie pamiętam, ile za to otrzymywaliśmy pieniędzy, ale najważniejsze było to, że mogliśmy oglądać filmy przez okienko operatora. Przed każdym filmem oglądałem Niemiecką Kronikę Wojenną. Pewnego dnia zobaczyłem rozkopywanie ziemi w lesie, z dołów wyjmowano zwłoki Polskich Oficerów, którym odebrano życie strzałem w tył głowy. Na zakończenie Kroniki słyszałem wezwanie: *PAMIĘTAJ O ZBRODNI W LASU POD KATY-NIEM*. Oglądaliśmy wszystkie filmy przedwojenne, również te o miłości, co rozbudziło w nas namiętność, czemu dawaliśmy upust między innymi w taki sposób, że do naszych uczt budyniowych (jedzenie budyniu na wodzie) na schodach klatki schodowej zapraszaliśmy koleżankę Irkę, która coraz to przez kogoś była łapana za kolano lub podszczypywana.

Miałem nową sympatię – Dzidzię Karaś, a ponadto wszyscy rozkochiwaliśmy się w młodej Rosjance, której matka żyła razem z Niemcem i z nim też uciekła przed Rosjanami. Utkwiła mi w pamięci jej ładna spódnica zrobiona z dwóch onuc wojskowych.

Po wcześniejszym zakończeniu roku szkolnego ukończyłem siódmą klasę i rozpocząłem pracę w fabryce złotniczej na terenie byłego getta. Uczylem się na złotnika, zaopatrując kolegów w srebrne pierścionki z orzełkiem, w zamian za jedną srebrną łyżkę do przetopu. Po krótkim przeszkoleniu potrafiłem opiliować pierścionki srebrne po odlewie. W wieku 14 lat zacząłem otrzymywać regularną zapłatę.

Rok 1943. Rosjanie pchają się do przodu. W kościele w czasie świąt my młodzi zamiast – *Dzisiaj w Betlejem* – śpiewamy: – *Dzisiaj w Londynie, dzisiaj w Londynie, wesola nowina. Tysiąc bombowców, tysiąc bombowców leci do Berlina. Berlin się pali, Hamburg się wali, Hitler się wścieka, wojsko ucieka, Moskale się pchają, Polacy śpiewają, cuda, cuda ogłaszają*. Obserwuję defiladę wojsk SS Galizien – „naszych” Ukraińców, którzy jadą na front powstrzymać Rosjan. Swój chrzest bojowy przeszli pod Brodami. W brodzkim kotle zginęło 6–7 tys. Ukraińskich wojaków, ponad 5 tys. wyrwało się z okrążenia, ponad 2 tys. wstąpiło do UPA, niektórzy zmykali do domu. Tych niechybnie czekały sowieckie łagry.

Powyższe dane zostały zaczerpnięte z książki Edwarda Prusa pt. „SS-GALIZIEN – Patrioci czy

zbrodniarze?", wydawnictwo „NORTOM”, Wrocław, str. 182.

Nauczyłem się wiersza:

*W Peremyślu je parada, udział bere wsia hromada
A na wiatło Ukrainy zebrali si wsi Rusyny.
Taj ditoczki taki male szo, sze wczoraj w portki srały.
Wsi śmiejujsa, wsi kryczat nasze panny aż pierdziat,
Bo z nich budut oficery ukraiński gernadiery.*

Lwowska ulica zawsze tworzyła okolicznościowe piosenki lub wiersze. W tym przypadku powyższy tekst jest parodią ukraińskiej dumki pod tytułem: „W Bereżanach je parada”, która zaczyna się od słów: W Bereżanach je parada, udział bere wsia hromada. Radist chwyta jak rycyna, bo wżde budy Ukraina.

Święta Wielkanocne 9 kwietnia 1944 roku. Odprawialiśmy ciocię Nusię – siostrę mamci i Kazika Turko (wówczas już małżeństwo). Pamiętam jak śpiewała: – *Kamień na kamieniu, na kamieniu woda, dawaj frajer piwa bo ja Nusia Sioda* (Sioda – to nazwisko po pierwszym, zmarłym mężu). Pożegnaliśmy się na ulicy, wracamy do domu, a tu... zaczyna grzmieć artyleria i padają bomby, z początku daleko od nas, gdzieś na dworcu oraz w pobliżu dzielnicy niemieckiej. Jesteśmy na korytarzu naszych suterren, co to niby miał być nasz schron, ojciec gra na harmonii, ludzie ze strachu się modlą, a ojciec zapewnia, że nie ma się co bać, bo bombardują jedynie obiekty wojskowe. Od tego dnia, codziennie od godziny 21:00 pojawiają się naloty rosyjskie. Pewnej nocy Rosjanie wzięli się za naszą dzielnicę; bomba wpadła na nasze podwórko, wszystkie szyby wyleciały, słysząc było tylko gwizd padających wokół bomb, ja wpadłem w panikę i modliłem się na głos: *Boziu, nie daj mi zginąć, ja chcę jeszcze żyć*. Pamiętam, jak ojciec otoczył ramieniem mamcię, Mietka i mnie, i wydawało mi się, że nas ochroni, my – czarni jak diabli od podmuchów i sady z wyczystek kominowych znajdujących się w piwnicy – zdecydowaliśmy się uciekać z naszego jednopiętrowego domku do sąsiedniego, chyba czteropiętrowego. Jak wybiegaliśmy na ulicę, było jasno jak w dzień. Na spadochronach świeciły sztuczne pochodnie. Biegając, wydawało się nam, że zaraz nas z samolotów zobaczą i ostrzelają. Wpadliśmy do piwnic pod 14-kę, mając nadzieję, że stare mury wytrzymają. Kilka metrów od tych murów padła bomba.

Ulica lwowska śpiewa – *Achtung, alarm, już dziewiąta, zięć teściową ściągą z kąta. A teściowa zaraz mdleje, a zięć na nią wodę leje* (być może coś pomyliłem, ale najważniejsze, to – jak dokładnie o 21:00 rozpoczęła się bombardowanie Lwowa).

Po zorientowaniu się, że Rosjanie uczepili się jedynie naszych okolic, w pobliżu niemieckiej dzielnicy, każdego następnego wieczoru udawaliśmy się do cioci Nusi i stamtąd obserwowaliśmy wybuchy w naszej dzielnicy. Po kilku dniach zapanował spokój lotniczy.

Rankiem 22 lipca 1944 roku czołgi rosyjskie na ul. Zielonej – Rosjanie są już na przedmieściach Lwowa. Zaczynają się walki, strzela artyleria, czołgi.

Pewnego dnia zrobiło się koło nas spokojnie, więc pobiegłem na podwórko, żeby dać królikom jeść i gdy stałem przed drzewem owocowym (stara jablonka), za moimi plecami padł pocisk, chyba z czołgu. Rozległ się

okropny huk, następnie podmuch gorącego powietrza i gwizd odłamków nad głową. Gałęzie drzewa powyżej mojej wysokości zostały ścięte, a ja – jedynie prochem ceglanym zostałem obsypany. Po chwili wbiegłem do naszej suterreny-schronu, a tam ... dostałem w łeb od mamy. Innym razem, na ulicy Nabelaka – jak granaty zaczęły pękać obok nas – jakiś mężczyzna powalił mnie na ziemię, przykrywając własnym ciałem. W pewnym momencie razem z ojcem stwierdziliśmy, że nie ma Mietka. Pobiegliśmy na „Świtez” (kąpielisko), chowając się przed strzelającymi samolotami, a mój braciśzek, lat dziewięć, spokojnie łowił sobie ryby.

Znowu pali się dworzec i okolice. Do naszego schronu wpada kolega „Kwiś” i namawia mnie, byśmy poszli „na skok” do magazynów dworcowych. Na moje zdziwienie i pytanie: – *Czy teraz? Bo tam właśnie bombardują!!!* – odpowiedział: *No właśnie teraz, bo strażnicy siedzą w schronach!* „Kwiś”, zapewne starszy od nas o 2–3 lata – oprócz zdobywania „dóbr” pomagał najeźdźcom nawzajem się uśmiercać. Gdy na górze, z daleka widział zbliżających się Rosjan, informował o tym żołnierzy niemieckich. Po wkroczeniu Rosjan do naszej dzielnicy wyszukiwał resztki zgrupowań niemieckich, kierując na nich bolszewików. Chwalił się tym, uzasadniając swoje postępowanie słowami: *Jedni i drudzy to okupanci – trzeba im pomóc, żeby się pozabijali*. Stosował więc politykę „dwóch wrogów”, a wkrótce ślad po nim zaginął.

Niemcy już uciekli, bronią jedynie katedry św. Jura i Teatru Wielkiego! Widzę, jak ojciec przychodzi do domu z karabinem, granatami i opaską białą-czerwoną na rękę. Opowiada, jak usiłował zdobyć katedrę. Sztab Armii Krajowej mieści się na Politechnice. My, czternasto- i piętnastoletki, zbieramy tytoń w dzielnicy niemieckiej i wieziemy na wózek na Politechnikę, a kolega Lubko straszy Ukraińców karabinem. Później penetrujemy koszarę: zbieramy onuce, gaz, maski, pociski przeciwlotnicze, które później – za pomocą prochu z naboju karabinowych – zapalamy, rzucając do wody i głuszac ryby na Świtezi, gdzie podczas zimy jeździliśmy na łyżwach.

Rosjanie, po wkroczeniu, rozwiązują AK i „robją zapisy” do Wojska Polskiego. Ogarnia nas entuzjazm, planujemy wyruszyć na front – tato, mama i ja, a brat ma zostać u babci. Kończy się tym, że pierwszy transport ochotników, zamiast na zachód – został skierowany na wschód. Byłem świadkiem, jak przybiegł do ojca kolega i mówił: – *Ludwik, wycofaj papiery, bo wywożą do Rosji zamiast do Wojska Polskiego*. Ojciec wycofał papiery.

Za naszym plotem, w Instytucie Weigla, Rosjanie założyli szpital, a willę, w której mieszkaliśmy, zajęli, dając nam w zastępstwie mieszkanie przy ul. Nabajki nr 15 – dwa pokoje z kuchnią, łazienką i ubikacją osobno. Pierwszy raz w życiu, w wieku lat 14 kąpałem się w wannie! I to, biorąc prysznic w domu, a nie raz na tydzień w łaźni miejskiej. Z suterren wzniesiliśmy się na czwarte piętro.

Na ulicach Lwowa pojawiało się coraz więcej „pensionariuszy” szpitala wojskowego. Ubrani jedynie w koszule i kalesony, nieraz z narzuconymi na ramiona szlafrokami, czując się bohaterami, którzy przelali krew za ojczyznę, sądzili, że wszystko im się należy. W tych

swoich „chałatach” zajmowali najlepsze miejsca w kinach, nie płacąc za bilety. W tym czasie lwowskie kina wyświetlały komedie amerykańskie, najczęściej z Charlie Chaplinem. Wkrótce na placu targowym Unii Burskiej pojawili się kalecy bez nóg i rąk. Wymuszali oni od handlarzy produkty żywnościowe. W obronie handlarzy stawała milicja, za co jeden z milicjantów został ugodzony w szyję ostrym narzędziem i poniósł śmierć. Byłem na pogrzebie. Samochód z otwartą trumną i nieboszczykiem środkiem zatrzymał się w miejscu, gdzie został on śmiertelnie ugodzony. Samochód został uderzony przez handlarzy wieńcami. Gdy rozpoczęły się mowy pożegnalne Wołodii w języku polskim, samochód z trumną ruszył. Usłyszałem jeszcze wypowiedziane na głos słowa kobiety idącej za trumną: – *Teraz, Wołodia, za obronę obcych ludzi spoczniesz w obcej ziemi*.

Jesienią 1944 roku otrzymałem wezwanie na komisję lekarską, która zakwalifikowała mnie do nauki w zmilitaryzowanej szkole kolejowej zwanej „Żeliezno-Dorożne Ucziliszcze – ŻDU” we Lwowie. Umundurowali nas, z czapek, oczywiście, pozdejnowaliśmy czerwone gwiazdy, pozostawiając jedynie emblemat kolejowy. W szkole była większość Polaków i mniejszość ukraińsko-rosyjska. Językiem wykładowym wkrótce stał się rosyjski. Nauka odbywała się w szkolnym warsztacie, a praktyka – w parowozowni. Stołówka i internat oddalone były o prawie 30 minut drogi (my miejscowi na noc chodziliśmy do domu). Maszerując w kolumnie na posiłki, musieliśmy śpiewać wojskowe, wojenne piosenki rosyjskie, a ja, wkrótce po zapisaniu się do „Ansambła Pieśni i Plaski” (zespół pieśni i tańca), zostałem „zapiewajło” w marszu: ja zwrotek, a pozostali dośpiewywali refren. Wyśpiewywaliśmy więc, jak to: *W kolchozie chleba pełne spichrze, Artilerysty, Stalin dał przykaz* – i temu podobne. Jako skład zespołu koncertowaliśmy w szpitalach polowych. W repertuarze mieliśmy również polskie piosenki, między innymi: *Góralu, czy ci nie żal* – co nasz dyrygent zapowiadał: *Polska narodowa pieśń Góralu, czy ci nie...* Oficer polityczny, tak zwany pom.-polit. – kobieta, opiekunka szkoły, zauroczona polskimi piosenkami, raz na próbie zespołu zaproponowała, byśmy zaśpiewali Hymn Polski. W trakcie śpiewania weszło na salę kilku mundurowych Rosjan, więc przestaliśmy śpiewać. Na drugi dzień ukradkiem, podczas maszerowania, poprosiła mnie, żebym przetłumaczył słowa hymnu. Gdy doszedłem do słów: *Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy*, powiedziała: *Oj, nie haraszo!*

Nie było papieru na zeszyty, więc robiło się je z gazet, pisząc kredkami w poprzek czcionek drukarskich. Raz nawet wykładowca pokazał klasie mój „zeszyt” z oceną „otliczny” (wzorowy).

Z jedzeniem w stołówce szkolnej czasem było krucha. Przypominam sobie takie spotkanie „pompolita” z nami. Rosjanie przebywający w internacie korzystali jedynie z posiłków szkolnych, byli więc głodni. My zawsze w domu dostawaliśmy coś do jedzenia, więc oni zaczęli straszyć dyrektora szkoły, że mu gardło poderżną, więc „pompolit” próbował nam wyjaśnić przy okazji braku śniadania, pytając: *Riebiata, wczera wy żarli? Nu, da* – odpowiadają Rosjanie. *A przedwczora żarli? Da, żarli. I siewodnia żrać chatitie, kak wam nie wstyd-*

no? Idiot wojna narodnaja – podsumował „pompolit”; lecz od tego czasu, choć mizerne, posiłki zawsze były.

Nie wiem dlaczego, ale ojciec pracował w charakterze stolarza i to w jakimś urzędzie rosyjskim. Mówił mi, że tam gdzie замуrował swoje dokumenty dotyczące AK.

Śmierć w czasie wojny – z naszej bliższej i dalszej rodziny – pochłonęła jedynie dwie ofiary, a w mieszkaniu o mały włos, a byłibyśmy zatruci czadem z pieca kaflowego. A było to tak. Mamcia po napaleniu w piecu, gdy wyglądało na to, że już się wypaliło, zamknęła „szyber” – kłapę na odlocie i ułożyliśmy się w trójkę do snu. Ojciec wrócił z pracy w nocy. Obudził mnie ruch w mieszkaniu i głos ojca, który usiłował obudzić mamę. Ja wstałem, poszedłem siusiu, i w ubikacji straciłem przytomność. Wywaliłem sobą drzwi i upadłem pod nogi ojcu, który niósł mamę do kuchni. Według jego słów, tata dopiero wtedy zorientował się, że zostaliśmy zaczadzeni. Wystarczyło otwarcie okien, byśmy wrócili do przytomności. Baliśmy się bomb i wojny, a tu – w tak spokojny sposób rodzina nasza przestała istnieć!

Nadszedł pamiętny dla naszej rodziny dzień **5 stycznia 1945 roku – Wigilia Trzech Króli, aresztowanie ojca** (między 3 a 8 stycznia aresztowano około 17 300 osób). Było to wieczorem, wszyscy siedzieliśmy w kuchni. Oczywiście NKWD-yści spokojnie powiedzieli ojcu, że zabierają go dla sprawdzenia dokumentów i za dzień – dwa, wróci. Ojciec spytał, czy może wysłać mnie po papierosy, na to oni: – *Jak chcesz, to dobrze, ale to naprawdę niepotrzebne*. Pobiegłem po papierosy. Ojciec pożegnał się z nami, przykazując mi, że zostanę najstarszym mężczyzną w rodzinie i mam się nią opiekować.

W tym miejscu nasuwa się refleksja okupacyjna: Niemcy wszystko robili z wrzaskiem, biciem, a Rosjanie – spokojnie, przy czym stosowali powiedzenie: – *Niczewo nie budiet – stawaj pod stieniu, strielat’ budiem, niczewo nie zdiełas, przykaz*.

Ojciec wyszedł z domu. „Prowierka” dokumentów trwała trzynaście miesięcy na Łąckiego, w Charkowie oraz w kopalni węgla na Donbasie (dowiedzieliśmy się coś niecoś o losach ojca dopiero po jego powrocie do Lwowa, Rosjanie nie udzielali żadnych informacji).

Według opowiadania taty, jak wchodził do więzienia na ul. Łąckiego, przypomniał sobie pomordowanych przez bolszewików wszystkich więźniów w 1941 r. Odwrócił się w kierunku widocznego budynku kościoła pod wezwaniem Marii Magdaleny i przeżegnał się. Usłyszał od konwojenta: nic ci nie pomoże, Boga nie ma.

Zostaliśmy sami – bez środków do życia. Rozpoczął się okres mojego wędrowania, wraz z kumplami, pociągami po Ukrainie – za handlem, a więc można było zrywać się ze szkoły i – wykorzystując mundur kolejowy – „wędrować towarowymi pociągami. Przedtem jednak mieszkanie nasze otrzymał z przydziału pracownik NKWD Mita Gołub, Ukrainiec znad Dniepru, były żołnierz, który dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł, po czym działał w partyzantce, dostał nawet odznaczenia, ale według prawa był to „izmiennik rodyny” (zdrajca ojczyzny). W tej sytuacji jedynie zgoda na pracę w NKWD pozwoliła mu uniknąć represji.

Wprowadził się do nas typowo: na pierwszej wizycie zapowiedział, że w związku z aresztowaniem ojca „zajmuje nasze mieszkanie z dobytkiem”, pokazując odpo-

wiedni dokument. Powiedział, że jest kawalerem i możemy w dalszym ciągu mieszkać – do czasu wyjazdu do Polski. Swoje rzeczy osobiste miał przynieść wieczorem. Mama w tym czasie pracowała jako stróż nocny, więc ja miałem go wpuścić do mieszkania. Jak to z małolatami bywa, mama wyszła do pracy, a ja mieszkanie zamknąłem, również dodatkowe wejście na balkon (przez które wchodziło się do mieszkania) i wyru-



Ja tutejszy chłopaka co po lwowsku bałaka.
Lwów, park Kościuszki w 1945 r.
Przed wyruszeniem z „przemytem” do Krakowa.

zyłem z bratem na handel przy dworcu głównym. Po powrocie zastaje mnie niespodzianka – nie mogę otworzyć uszkodzonej kłódki. Od sąsiadów dowiaduję się, że widzieli dwóch mundurowych, nietrzeźwych, jeden strzelał do kłódki. Nasz nowy „właściciel” pojawił się dopiero po kilku dniach, przepaszając mamę za incydent. Skrucha czy strach przed konsekwencjami?

Zamieszkaliśmy w jednym pokoju. Naszemu współlokatorowi władza zainstalowała telefon. Zawsze informował nas, kiedy wróci z pracy. Pamiętam, że pracował na różne zmiany, w gmachu NKGB (Narodnyj Komisar Gosudarstwienny Bezopasnosti) przy ulicy Pełczyńskiej. Bywało, że nie było go przez kilka dni, mówił, że pracuje w dziale łączności. Z czasem nawiązały się, powstały, nici pewnego rodzaju przyjaźni. Mamcia, oprócz nocnego stróżowania, wypiekała naleśniki z mięsem, które mój brat Mietek sprzedawał wprost z garnka na dworcu głównym. Najwięcej tym rosyjskim cywilom, którzy na pociągach towarowych wracali z przymusowych robót w Niemczech. Ja zaopatrywałem ich w papierosy, które dostarczały nam Zosia i Tosia – dwie miłe Rosjanki, a „żuliki”, czyli rosyjscy złodzieje „uwalniali” tych ludzi z nadmiaru bagażu – szczęśliwych, że wracają do domu. Że dobrze im czynią w ten sposób; wiedzieli oni, że i tak, powracający zostaną skierowani do obozów przejściowych dla

sprawdzenia, dlaczego znaleźli się w Niemczech. Kto miał więcej bagażu, tym bardziej był podejrzany. My, koledzy ze szkoły kolejowej, również dokonywaliśmy aktu „sprawiedliwości”. We Lwowie nie było węgla, a przez dworzec przejeżdżały pociągi z węglem jadące ze Śląska. Przecież to był nasz polski surowiec, więc wskakiwaliśmy na wagony i podczas jazdy przez Lwów, w odpowiednim miejscu zrzucaliśmy bryły węgla. Tam już czekali ludzie, od których otrzymywaliśmy drobne wynagrodzenie.

Zbliżał się upragniony koniec wojny, lecz istniała obawa, że Hitler w rozpaczy rozpocznie wojnę gazową. W zakładach pracy Lwowa rozdawano maski gazowe. My, uczniowie szkoły zmilitaryzowanej, otrzymaliśmy również gaz-maski. Na Walach Hetmańskich odbyła się wielka manifestacja w gaz-maskach, mająca na celu pokazać Hitlerowi, żeby nie śmiał rozpętać wojny gazowej, bo naród radziecki jest zabezpieczony.

W nocy 9 maja 1945 roku zostałem z Mietkiem obudzony przez Gołuba, który z radością wykrzykiwał: *Kaniec wojnie, my pobiedili!* Huk wystrzałów z różnego rodzaju broni rozbrzmiewał dookoła. Gołub, po oddaniu kilku serii z pepeszy, podał mi broń, z której „wystrzelałem” moje inicjały na kominie sąsiedniego budynku mieszkalnego. Mamcia była w pracy na nocnym stróżowaniu. Rozpoczęło się poszukiwanie alkoholu. Znaleźliśmy za szafą butelkę bimbru buraczanego. Przy toastach „za pabiedu” i za powrót ojca z Rosji – szybko opróżniliśmy butelkę. Rezultat był taki, że jedenastoletni Mietek leżał w ubikacji, a ja w pobliskim parku leżąc w trawie do południa, „czyściłem żołądek”. Może to i dobrze, że zajmowałem pozycję leżącą, bo kule świstwały ze wszystkich stron; teraz na wiwat strzelano nie tylko do góry. W niektórych przypadkach był to nie tylko koniec wojny, ale i życia.

Pewnego dnia ze zdumieniem zobaczyłem u nas w domu Dziunię. Przecież ona z mamą i Kazikiem Turko, mężem cioci, wyjechali do Polski! Opowiedziała, jak mieszkają w Krakowie, a także, jak to wiele razy przekraczała granicę Medyce ze szmugłem (towary przemycane to herbata, nici, soda kaustyczna do wyrobu mydła; które z nich i w którą stronę szły – dziś już nie pamiętam). Postanowiłem i ja na własną rękę pojechać do Krakowa. Dziunia pouczyła mnie, że jak mnie znajdą w tłumie ludzi, którzy z dokumentami przekraczają granicę dowolną stronę, to na pytanie, gdzie planuję jechać – mam podać odwrotny kierunek i wtedy odeślą mnie „rzekomo” z powrotem (później już notowali i ta sztuczka się nie udawała). Załadowałem się na rampie towarowej na dworcu kolejowym we Lwowie, do wagonu z repatriantami, sąsiadami. Schowałem się do niewysokiej szafy i tak doczekałem kontroli granicznej w Rawie Ruskiej (miejsce urodzenia przyszłej mojej żony). Wszyscy z wagonu musieli wysiąść. Weszło kilku pograniczników i przeszukiwali zakamarki pomiędzy meblami i tobołami. Prawie nie oddychałem, wydawało mi się, że już dłużej „w kucki” nie wytrzymam. Gdy tylko usłyszałem, że żołnierze opuścili wagon, uniósłem się i mój wzrok spotkał się ze wzrokiem innego „blindziarza” – z ulgą uśmiechnęliśmy się do siebie. Po kilku dniach podróży przybyliśmy do Krakowa. Zapukałem do drzwi przy ulicy Chocimskiej, otworzyła mi ciocia Nusia – osłupiała z wrażenia.

Kraków – miasto oświetlone – nie zostało zniszczone przez wojnę, podczas gdy we Lwowie oświetlenie miejskie było nieczynne. Weszło tu, ale trzeba było wracać do domu. Zaopatrzyłem się w swój przemyt, który mieścił się w torbie po gaz-masce, pożegnałem ciocię Nusię i w Krakowie–Płaszowie wskoczyłem w pociąg towarowy jadący na wschód. Szczęśliwie dojechałem do Przemyśla. Z daleka obserwowałem pociągi, których lokomotywy, gotowe do odjazdu, skierowane były na wschód. Jeden z pociągów z węglem ciężko ruszał, więc wskoczyłem na stopień pomiędzy dwa wagony. Na jednym stopniu siedział ruski żołdat i zapytał: – *Ty kuda?* – *Do Lwowa* – odpowiedziałem. – *A putiowku imiesz?* Putiowka to dokument zezwalający na podróż, zapewne od słowa put’ – droga. Powiedziałem – *niet*. – *Nu, pomagaj cię* – pouczył mnie – *jak pociąg się zatrzyma, to ja ci dam menażkę na wodę i ty idź powoli na stację. Nie zwracaj uwagi na pograniczników. Oni będą sprawdzać ludzi na wagonach. Jak pociąg ruszy, to ja zawołam, żeby dał mi wodę, to wskocz na stopień przy mnie*. Prosty plan. Tylko piętnastolatek mógł być pewien jego realizacji.

Pociąg zatrzymał się, zeskakuję ze stopnia, spod stojących obok wagonów wylazi dwóch pograniczników i szybko maszerują w moim kierunku. Spostrzegłem, że patrzą poza mnie i jeden krzyknął: *Stój, stój!* Obróciłem się i zauważyłem uciekające dwie dziewczyny. Gdy się zbliżyli, grzecznie poprosiłem, by mnie puścili, pokazując menażkę. Nie zainteresowali się mną. Poszedłem na stację, do kranu z wodą, lecz była tam krótka kolejka, a na dodatek wszystkie pociągi ruszyły i został jedynie „mój”. Po nabraniu wody spostrzegłem w odległości kilku kroków pastucha, który wypasał krowy. Przystałem obok niego rozpoczynając rozmowę. Zwrócił na mnie uwagę pogranicznik i pyta, czego nie idę do pociągu, który zaraz rusza. Odpowiedziałem co mi przyszło do głowy: *Ja nigdzie nie jadę. Czekam na rodziców, którzy z transportem mają przyjechać ze Lwowa*. W tej chwili rozległ się głos „mojego” żołdaty: *pacan, dawaj wodę!* Podbiegłem do jadącego pociągu podając, niby, wodę. Żołdat podał mi rękę, wciągając na stopień. Usłyszałem za sobą wrzaski: – *Stój! Stój!* Parowóz ciężko sapał, zagłuszając okrzyki. Usłyszałem od żołdaty – *maładiec*, odpowiedziałem – *spasiba*, i skryłem się między bryłami węgla. Jeszcze trochę strachu było, jak zbliżyliśmy się do kilku stacji, a ja odczytywałem na tablicach słowo „granica”. Uspokoilem się, gdy zdałem sobie sprawę, że oznacza to granicę stacji. Oto już stacja towarowa Lwów, pociąg jedynie zwalnia, wyskakuję i wpadam w objęcia żołnierza, który pyta, czy pociąg jedzie w kierunku Tarnopola. *Oczywiście, tak* – odpowiedziałem. Wskoczył na stopień pociągu i zniknął, a ja szczęśliwie zameldowałem się u mamy.

Więcej już nie bawiłem się w samotnego przemytnika. Wolałem podróże z kolegami „za handlem”: po terenach dawnej Polski, a obecnie – zachodniej Ukrainy. Zapamiętane przeze mnie miejscowości to: Złoczów, Tarnopol, Podwołoczyska, Wołoczyska (już Ukraina radziecka), Równe, Zdobunów, Kiwierce, Gródek, Brody, Proskierów, Sądowa Wisznia. Nasz sposób podróżowania to pociągi towarowe, czasem osobowe czy wojskowe, na schodkach pomiędzy wagonami lub na dachu. Nie przeszkadzały nam mrozy ani upały. Podróże

te trwały zwykle po kilka dni. Nie zapamiętałem, co wtedy jeśmy jedli i gdzie spali. Na Wołyń woziliśmy drożdże dla pędzących bimber, a do Lwowa przywoziliśmy produkty żywnościowe – cielęcinę, kury (nawet żywe), jajka, masło itp. W podróży tych nie tylko poznawaliśmy nowe miejscowości, ale również komisarjaty milicji kolejowej. Jako przykład: W Gródku Jagiellońskim, z rękami podniesionymi w górę, przez peron do pociągu osobowego zdążającego do Lwowa prowadziła nas milicja pod gotowymi do strzału automatami. Tam mieli nas przekazać do wyjaśnienia. Przed stacją Lwów Główny pociąg zwolnił, a my w biegu powyskakiwaliśmy!

W miasteczku Brody na Wołyniu zgarnęła nas milicja, bo nie podobały im się nasze „putiowki”. Oczywiście, dokumenty mieliśmy celowo pomięte, żeby nie można było stwierdzić, że są podrabiane. Kilku z nas puszczono, a zatrzymano (na kilka godzin) jedynie Z. Motykę, który miał legalny dokument, ale ze słabo widoczną pieczęcią, bo posłużyła do ostemplowania naszych falsyfikatów.

Jeżeli nawet nie wyruszaliśmy pociągami, to włóczyliśmy się lwowskimi tramwajami.

W Wielki Piątek jeździliśmy obowiązkowo zwiedzać Boże groby po kościołach, a 1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych odwiedzaliśmy cmentarz, w tym Cmentarz Obrońców Lwowa. Było to chyba w 1944 roku, gdy zbliżyłem się w mroku do kwater orłat lwowskich, usłyszałem śpiewaną „Międzynarodówkę” ze słowami: – *Bój to jest nasz ostatni, krwawy skończy się trud, gdy moskal ostatni opuści polski Lwów*. Po zakończeniu pieśni tłum się szybko rozszedł pomiędzy mogiły cmentarza.

Dla ścisłości muszę przypomnieć, że przed wojną to Dzień Zaduszny, tzn. dzień 2 listopada był dniem odwiedzin grobów zmarłych. Nasi najbliżsi zmarli spoczywali na cmentarzu Janowskim. To cmentarz dla „Batiarów lwowskich”, dla tych, którzy tworzyli tzw. „folklor” Lwowa. Tam również spoczywa na własne życzenie Święty arcybiskup Lwowa Józef Bilczewski, chciał spoczywać na wieki ze swoim ludem. Na ten właśnie cmentarz chodziliśmy z rodziną w Dzień Zaduszny.

W tym czasie na murach lwowskich kamienic pojawiły się propagandowe plakaty z napisem w języku ukraińskim głoszące: *Lwów był, jest i będzie radzieckim!* Wymyślaliśmy różne sposoby, żeby je pozrywać. Zapamiętałem, jak na ulicy 3 Maja, niby to goniąc mojego młodszego brata Mietka, po drodze, gdzie się dało, rozrywaliśmy te plakaty na ulicy zapelnionej przechodniami. Staraliśmy się stworzyć wrażenie, że była to tylko zabawa.

W kościele pod wezwaniem Marii Magdaleny, po zakończeniu mszy świętej i wyjściu księdza do zakrystii, jeden z naszych kolegów wielokrotnie intonował – *Boże coś Polskę...*, a parafianie podejmowali pieśń.

Po zakończeniu roku szkolnego 1944/45 zdałem egzamin ze ślusarstwa ogólnego (miałem wtedy 15 lat). Ze względu na to, że dużo uczniów wyjeżdżało do Polski, szkoła postawiła warunek: kto chce dalej się uczyć, musi podpisać zobowiązanie, że pozostanie we Lwowie. Oczekiwaliśmy na powrót taty z Rosji, więc ja takie zobowiązanie podpisałem (oczywiście, byliśmy z mamcią i Mietkiem zapisani na transport do Polski już 2 czerwca 1945 roku).

Z nowym rokiem szkolnym rozpocząłem naukę w klasie o specjalności „ślesar po remonte parowozów” – ślusarz od remontów parowozów. W szkole pozostała tylko garść Polaków, a reszta to Rosjanie i Ukraińcy. Na lekcjach obowiązywał język rosyjski, również kolejowe umundurowanie rosyjskie – obowiązkowe. Jeżeli dobrze pamiętam, to jesienią 1945 r. zaczęli do Lwowa wracać aresztowani i wywiezieni w styczniu 1945 roku. Codziennie rodziny oczekiwały na pociąg z Kijowa, licząc na łut szczęścia lub – być może – na wiadomość od powracających o losie swoich bliskich.

Kiedyś przypadkowo, wraz z kolegami, wróciliśmy do Lwowa z naszej podróży handlowej właśnie tym pociągiem i gdy zobaczyła mnie mamcia, krzyknęła – *Tadzio!* Zbliżając się do mnie, pociągnęła za sobą wiele osób, które zaczęły zasypywać mnie nazwiskami swoich bliskich, pytając, czy coś wiem o ich losie. Trudno było wyjść z tego tłumu.

Na zakończenie moich krótkich opisów podróży handlowych powinienem powiedzieć, jak to oceniam po latach. Były to podróże kilku włóczęgów, których pędziła w świat chęć przeżycia przygody; zawsze musiałem długo przekonywać mamcię, żeby wyraziła zgodę na podróż, tłumacząc usilnie, że tym razem na pewno zarobię. Jak w ten sposób „zastępowałem” tatę, to wiedziała jedynie mamcia. Nie mając wiadomości od ojca, mama zwróciła się z prośbą do naszego NKWD-sty z nadzieją, że może on się czegoś dowie. Po pewnym czasie Mitia powiedział mamie o przebiegu jego starań o ustalenie miejsca pobytu ojca. Według jego słów. Zwrócił się do jakiegoś towarzysza z zapytaniem: *czy to prawda, że aresztanci wracają do domu? Ja mam przydział na jego mieszkanie z dobytkiem.* I podał nazwisko ojca. Po kilku dniach towarzysz powiedział mu: *wszystko sprzedaj, bo on wkrótce wróci.* Wzrosła nadzieja na powrót taty. I tak też się stało!

Dnia 14 stycznia 1946 roku ojciec mój został zwolniony z więzienia w Dniepropietrowsku. „ZAŁ” – zwolniony wskutek umorzenia sprawy. Na pytanie ojca, czy dostanie odszkodowanie za więzienie i pracę w donbaskiej kopalni, usłyszał radę od funkcjonariusza, który wręczał mu dokumenty zwolnienia: *przestań gadać o odszkodowaniu. Jedź do Lwowa, a stamtąd jak najszybciej wyjeżdżaj do Polski.* Ojciec rady posłuchał. Po powrocie do Lwowa (był tak chudy i słaby, że w pewnym momencie, nie pamiętam dlaczego, ale wziąłem ojca jak małe dziecko na ręce).

Poszedłem z ojcem do zajezdni tramwajowej na ulicy Gródeckiej. Po drodze tato udzielił mi kilku rad na życie. Po pierwsze, cieszył się, że jestem ślusarzem, mam zawód, a gdy zechcę uczyć się dalej, to bardzo dobrze – „bida” już mi nic nie robi. Po drugie, to żebym nie palił papierosów, bo opowiadał, jak to nałogowi palacze, w czasie pobytu w rosyjskim łagrze, ostatnią kromkę chleba wymieniali na papierosa, a „nie wiadomo, jaki cię spotka los w życiu” (posłuchałem ojca i dzięki temu później nie cierpiełem z tego powodu w więzieniu).

Tato radził mi, żebym nie palił papierosów, bo to okropny nałóg – a sam palił. Przez kilka lat kolejnych „odstawiał” palenie na okres Wielkiego Postu. Opowiadał mi, że corocznie składa takie przyrzeczenie w kościele i choć trudno mu było wytrzymać bez papierosa,

to bał się kary Boskiej, gdyby złamał przyrzeczenie. Cekał na moment poranka Zmartwychwstania Pańskiego, żeby móc się zaciągnąć dymkiem z papierosa! Po kilku latach takiej próby zapomniał o tym, że to już po świętach i że może już sobie zapalić. Pan Bóg go wynagrodził, pozbawił go nałogu. Ja, idąc przykładem



Przed 1939 rokiem. Lwów, końcowy przystanek na Wysokim Zamku. Z torbą konduktorską to mój tato – Ludwik Nowogrodzki.

taty, po wielu latach w okresie Adwentu i Wielkiego Postu nie sięgałem po najmniejszą nawet dawkę alkoholu.

Po trzecie, żebym nie wstępował do żadnej organizacji. Tego nie rozumiałem, czy miał na uwadze komunistyczne czy nielegalne, być może był rozgoryczony śledztwem w więzieniu i pracą w kopalni w Dobasie.

Po kilku dniach, posłuchawszy rady funkcjonariusza, wyjechał tato do Polski do Krakowa i tam miał czekać na nasz przyjazd w transporcie ewakuacyjnym. Zbliżał się czas opuszczenia kochanego Lwowa. Choć miałem wtedy już prawie szesnaście lat, nie zdawałem sobie sprawy, że do końca życia będę w snach i na jawie wspominał chwile dzieciństwa spędzonego w murach i na ulicach tego niepowtarzalnego miasta. Wówczas to było najważniejsze, że wyjeżdżamy do Polski. Mieliśmy nadzieję, że „jeszcze jedna bomba atomowa i wracamy znów do Lwowa” (powiedzenie powstało po rzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki).

Dnia 25 stycznia 1946 roku został podstawiony przed kamienicę samochód ciężarowy, do którego zapakowaliśmy część niezbędnych mebli i ubrań oraz przedmiotów gospodarstwa domowego. Resztę pozostawiliśmy Mitii Gołubowi. Z tego dnia, kiedy opuszczaliśmy – mamcia, Mietek i ja – nasze ostatnie mieszkanie we Lwowie, pozostał w mojej pamięci taki obraz: ciężarówka w nami rusza, siedzę wśród bagaży, babcia macha do nas na pożegnanie, stoją na chodniku. Jeszcze dostrzegłem jak nasza babcia Jagusia Nowogrodzka rękawem otarła łzy, odwróciła się i poszła do swojej samotni. Był to ostatni raz, gdy ją widziałem.

Po latach dopiero wczułem się w sytuację babci. Pozostała we Lwowie sama, a przecież miała córki – Rysia tragicznie zmarła, syn Roman zatruł się śmiertelnie grzybami, Michalina wyszła z domu i zaginęła oraz mąż Michał, którym się przez szesnaście lat opiekowała. Pozostał jej najmłodszy syn Ludwik, który musiał

szybko opuścić Lwów i wyjechać do Krakowa. Dlaczego pozostała samotnie? Czy naprawdę wierzyła, że my, lada moment wrócimy? Nie doczekała się już nas. Zmarła w samotności. Jeszcze we Lwowie, na Krzywczycach, pozostała z rodziną ciocia Stefania Korzeniowska, kuzynka mojego ojca. Żał jej było pozostawić własny dom z sadem (to miejsce częstych moich zabaw). Jednak po pewnym czasie, również Korzeniowscy osiedlili się w kamienicy wrocławskiej.

26 stycznia 1946 roku rusza nasz transport kolejowy w kierunku zachodnim. Śpiewamy ze smutkiem – „*może uda się, że powrócę zdrów i zobaczę miasto Lwów*”. Nie pamiętam, po kilku dniach przyjechaliśmy na dworzec towarowy Kraków Płaszów. Cekał tam na nas tato. Nikt nie informował, dokąd ten pociąg pojedzie. Ojciec, po wieściach od maszynisty, że pociąg jeszcze postoi, postanowił, że zostajemy w Krakowie i zatrzymamy się u cioci Nusi. Po wypakowaniu z wagonu bagażu podręcznego i rozpoczęciu wynoszenia pozostałych mebli, pociąg ruszył, a z nim przeważająca część naszego dobytku.

Tak rozparcelowano nasz rodzinny dobytek. Część pozostała we Lwowie, a druga pojechał w nieznane. My zaś, z tym co pozostało, wprowadziliśmy się na ul. Chocimską 13 do cioci Nusi. Tato po kilku dniach pobytu z nami w Krakowie, wyruszył – w poszukiwaniu dla nas mieszkania do zajęcia we Wrocławiu – na ziemię odzyskaną. Według opowiadania taty, zwrócił się on do urzędu repatriacyjnego we Wrocławiu, prosząc o przydział mieszkania dla naszej rodziny. Dalszy ciąg wyglądał następująco: pracownik urzędu wraz z milicjantem udali się na ulicę Reutera (teraz E. Orzeszkowej) i powiedziano ojcu, żeby wybrał sobie coś z wykazu nieruchomości. Ojciec wskazał na nr 84 (m. 6), po czym weszli do domu zamieszkanego przez rodzinę

niemiecką, której nakazali opuścić mieszkanie. Tamci mogli zabrać z sobą jedynie niezbędne rzeczy.

W ten sposób naród niemiecki doświadczył tych samych metod, jakie Niemcy sami stosowali jako okupanci w Polsce. To przez ich wodza, który chciał z nich zrobić „panów świata”, my zostaliśmy w konsekwencji rozpętanej wojny zmuszeni do opuszczenia Lwowa. Teraz, jak widzą idącego chodnikiem Polaka, kłaniają się i zdejmują nakrycia głowy. A jeszcze nie tak dawno, jak do Żydów krzyczeli – *myce ap!*

Dnia 13 lutego 1946 roku ojciec otrzymuje przydział mieszkaniowy. Sprowadziliśmy się do Wrocławia jedynie z bagażem podręcznym. Jeszcze przez kilka dni przychodziła do nas Niemka, poprzednia lokatorka, prosząc o jakieś przedmioty. Gdy przyszła prosić o ostatnią poduszkę, ojciec się zdenerwował i powiedział, że on nie ma na czym spać, i kazał jej wyjść.

Wtedy mamcia zwróciła się do taty: *Ludwiś, daj jej tę poduszkę, krzywda ludzka nie przynosi szczęścia.* Ojciec otworzył okno, krzyknął na oddalającą się Niemkę i wyrzucił za nią tę „nieszczęsną poduszkę”.

Nie pamiętam już kiedy to było, gdy sprzątałem piwnicę, znalazłem zdjęcia kościołów lwowskich i na ich tle żołnierza niemieckiego. On – okupant Lwowa, a teraz my – wysiedliliśmy jego rodzinę z mieszkania we Wrocławiu. Zachowałem te zdjęcia.

* – UPA – to tak zwana Ukraińska Powstańcza Armia. Głównym jej zadaniem było „oczyszczanie” z elementów obcych z terenów południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej. „Obcy” to Polacy, Żydzi, a na końcu Rosjanie. Nacjonalizm ukraiński doprowadził do krwawego ludobójstwa ludności polskiej, w wyniku czego straciło w okrutny sposób życie od 120 tys. do ok. 200 tys. osób.

** – Schicht – nazwa znanej we Lwowie firmy produkującej mydło.

(c.d.n.)

Maria Rudnicka

Po prostu życie

*Minęła młodość szalona
Teraz jesień życia
trzyma mnie w ramionach
jej wyzwania i przeżycia*

*Cieszę się swoim życiem
Cenię każdy powszedni dzień
każdą cudowną chwilę
i interesującą życia jesień*

*Upaja mnie urok wiosny
lato słoneczne gorące
barwna złota jesień
także zachodzące słońce*

*Podziwiam scenerię zimową
puch kryjący cały świat
kryształki zwisające z drzew
na szybko wyrysowany kwiat*

*Tak szybko płynie czas
każda pora roku jak chwila
wciąż ucieka co tu kryć
Tak też nasze życie mija*

Ks. Grzegorz Draus

Wszędzie widzę Zmartwychwstałego Chrystusa.

100 dni we Lwowie

Minęło 100 dni mojego pobytu we Lwowie. Jestem tu na zaproszenie arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego (był sekretarzem Jana Pawła II). Mam organizować od podstaw duszpasterstwo wśród służb mundurowych (wojsko, milicja, straż pożarna) oraz – co najważniejsze i najtrudniejsze – tworzyć nową parafię. Trudno było przyjąć to wyzwanie, jest to dzieło niełatwe, szczególnie dzisiaj. Ale trzeba. Biskupowi się nie odmawia, zwłaszcza że za jego osobą stoi błogosławiony Jan Paweł II, któremu służył, był przy Jego śmierci. Dlatego podjąłem to płynące, jak byłem przekonany, od samego Boga powołanie.

Dlatego wierzę, że Bóg będzie z nami w tej misji. Piszę – „z nami”, bo jest oczywiste, że nie pełnię tej misji sam. Cała rodzina, bliscy, przyjaciele... „Ktokolwiek wierzy, nigdy nie jest sam” – powiedział papież Benedykt XVI. Dlatego – wspaniale, nie jestem sam!

Widzę działanie Pana Boga od początku mojego pobytu we Lwowie. Otrzymaliśmy wspaniały Boży podarunek. Jest nim możliwość korzystania z kaplicy i innych pomieszczeń w budynku Ukraińskiego Katolickiego Uniwersytetu. Życzliwość okazał ojciec duchowny uczelni o. Igor Peciuha, jest on greckokatolickim księdzem, wychowankiem lubelskiego seminarium (jesteśmy z jednego kursu) oraz sam rektor o. Borys Gudziak, który dawno pragnął obecności „łaciników” w uniwersytecie. Możemy korzystać z kaplicy i innych pomieszczeń w miarę potrzeb, tak długo, aż nie będziemy mieli własnego kościoła. Na tym prawdziwie katolickim Uniwersytecie (z greckiego znaczy „powszechny”) widać obecność Jana Pawła II nie tylko na przepięknym fresku w kaplicy, ale i w duchu tu panującym. Nie spotkałem się jeszcze – a jestem na Ukrainie już dwunasty rok – z jakimkolwiek oznakami negatywnymi. Wprost przeciwnie, co dowodzi chociażby fakt, że wspólnota parafialna ma się gdzie gromadzić.

Ukraińskie Boże Narodzenie w Rzymie – Rzymskie Boże Narodzenie na Ukrainie

W tym roku choinka z Ukrainy cieszyła oczy całego świata z placu św. Piotra w Rzymie. Dlatego otwarte dla wszystkich świętowanie Bożego Narodzenia – Wigilia, Pasterka – odbyło się właśnie pod tym hasłem. Do auli Uniwersytetu przybyło więcej jak 150 osób: studenci (w tym i Afrykańczycy!), profesorowie, seminarzyści i oczywiście nasi parafianie i przyjaciele. Było to pierwsze wydarzenie naszej wspólnoty i cieszymy się, że takie udane. Dobrze kojarzymy się w tutejszej społeczności.

Tyłu apostołów, co wiernych

Tak opisywano Kościół pierwszych wieków. I widać, że tak jest obecnie. Cieszy, że grupa parafian dzięki animatorom z grupy „Klawis” z mojej poprzedniej rolniejskiej parafii formowani przez lubelskie Stowarzyszenie „Klanza” przeprowadziła wspólnie kilka warsztatów

świątecznych i obecnie już samodzielnie prowadzi aktywizujące akcje dla dzieci według zasad pedagogiki. Mówiono mi wcześniej: „We Lwowie są zdolni ludzie, to miasto artystów i twórców”. Mamy już trójkę katechetów prowadzących zajęcia dla dzieci.

Na razie odprawiamy Msze święte dwa razy w tygodniu, raz jest katecheza dla dorosłych i raz dla dzieci. Na tę ostatnią przychodzi pięcioro dzieci, najmłodsze ma... rok i osiem miesięcy!

Musimy stawiać małe kroki, by to małe, rodzące się dziecko, jakim jest wspólnota parafialna, dobrze nakarmić, a nie zmęczyć. Wspólnota parafialna obejmuje około trzydziestu osób.

Bóg obdarowuje hojnie: czworo odpowiada za śpiewy i grę na nabożeństwach, są wspomniani katecheci, inne osoby są odpowiedzialne za przygotowania kaplicy i wyposażenie liturgiczne.

Katechezy nowej ewangelizacji, prowadzone przez katechetów Drogi Neokatechumenalnej, które, jak widzę, będą fundamentem zaistnienia i rozwoju parafii, rozpoczęły się po Wielkanocy – 23 kwietnia. To dzień św. Wojciecha, wielkiego misjonarza. Niechaj wspiera nas z Nieba, razem z błogosławionym Janem Pawłem, któremu, jak wspominają świadkowie, bardzo leżała na sercu sprawa katechez we Lwowie i dopytywał się o nie. Teraz spełnia się jego marzenie.

Nie zapomniałem o więzieniach. Więzienia są otwarte dla głoszenia Chrystusa. W styczniu kapelani z kilku krajów zebrał się we Lwowie na konferencji. 27 marca w ramach jubileuszu przeniesienia stolicy archidiecezji do Lwowa arcybiskup Mieczysław Mokrzycki odwiedził więzienie. Grupa wolontariuszy, od lat przychodząca do tego zakładu, poprowadziła drogę krzyżową, a dwóch więźniów złożyło świadectwo o dziełach Boga w ich historii. Dyrektor jednego z zakładów poprosił o zbudowanie kaplicy. Dziękuję Bogu za to wszystko.

Dzielnica, w której ma być tworzona parafia, była poświęcona obecnością Jana Pawła II w czerwcu 2001 roku. Jest szansa, że odzyskany będzie kościół, który – opuszczony i częściowo zrujnowany – znajduje się na terenie fabryki autobusów. Właściciel jest gotowy go odstąpić, musi pokonać rząd przeszkód. Proszę modlić się, by świątynia ta mogła powrócić do kultu.

Proszę o modlitwę za parafialne sprawy. Na dziś bardzo ważną intencją jest sprawa odzyskania wspomnianego kościoła Matki Bożej z góry Karmel. Jest on tak zapomniany, że nie tylko wielu lwowian nie wie o nim, ale i w literaturze rzadko widnieje. Trzeba modlitwy by był oddany.

Modlitwa: Prosimy Cię Boże o cud oddania kościoła we Lwowie. Dla Ciebie wszystko jest możliwe! Już dosyć gorzkich owoców pohańbienia i prześladowania wiary! Natchnij tych, od których zależy, by świątynia powróciła do kultu. Niech w niej rozbrzmiewa Twoje Słowo, które ratuje rodziny, leczy rany i nadaje sens

życiu. Niech stąd niesie się Ewangelia na krańce świata! Prosimy Cię za wstawiennictwem Maryi – *Ślicznej Gwiazdy Miasta Lwowa* i błogosławionego Jana Pawła II, który tak bardzo kochał to miasto zawsze wierne. Amen.

Do zobaczenia we Lwowie! Życzę spotkania ze Zmartwychwstałym!

Dziękuję za pomoc, od której zależy rozpoczęcie prac nad remontem – miejmy wiarę – odzyskanego kościoła albo budowę nowego.

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Piotr Franków

Odbudowa Pałacu Metropolitów Kościoła Rzymskokatolickiego we Lwowie

Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w odpowiedzi na apel ks. abpa Mieczysława Mokrzyckiego, metropolity lwowskiego, w sprawie odbudowy Pałacu Biskupiego we Lwowie postanowił włączyć się do akcji pomocy w ratowaniu od zagłady tego symbolu kultury łacińskiej i bytności Polaków na ziemiach, które po II wojnie światowej zostały Polsce zabrane.

Dzięki wizycie Ojca Świętego Jana Pawła II na Ukrainie w 2001 r. władze państwowe, reprezentowane przez ówczesnego prezydenta Leonida Kuczmę, obiecały, że do 2004 r. dawna rezydencja metropolitów lwowskich obrządku rzymskokatolickiego zostanie zwrócona archidiecezji lwowskiej. Z pewnym poślizgiem czasowym słowa te zostały dotzymane.

Przekazany Kościołowi rzymskokatolickiemu Pałac Biskupi był bardzo zdewastowany, znajdował się niemal w stanie ruiny.

Dewastacja budynku rozpoczęła się od chwili zajęcia Lwowa w 1939 r. przez Armię Czerwoną i była kontynuowana po 1945 r. w czasie stacjonowania we Lwowie oddziałów armii sowieckiej. Zniszczono wówczas niemal cały wystrój Pałacu, uszkodzono piękne mozaikowe posadzki, rozbito gzymsy i ozdobne wykusze, porąbano drewniane meble, podłogi, drzwi i okna.

W 1946 r. władze sowieckie zmusiły do opuszczenia Lwowa ks. abpa Eugeniusza Baziaka. Metropolita lwowski dotarł do Krakowa. Tam konsekrował na biskupa pomocniczego ks. Karola Wojtyłę, późniejszego Metropolity Krakowskiego i przyszłego Papieża.

Przed wizytą na Ukrainie Ojciec Święty wyraził wolę odwiedzenia byłej siedziby Metropolity Lwowskiego.

Ks. abp Mieczysław Mokrzycki, obecny Metropolita Lwowski, będący obok biskupa Stanisława Dziwisza sekretarzem Ojca Świętego, podjął się ogromnego wyzwania – odbudowy historycznej siedziby Kurii Arcybiskupiej Lwowskiej Archidiecezji.

Od trzech lat trwa odbudowa tej perły architektury zbudowanej 170 lat temu w stylu austriackiego klasycyzmu.

Gorzowski Oddział TMLiKPW w 2011 r. przeprowadził zbiórkę pieniężną na rzecz odbudowy Pałacu Biskupiego we Lwowie.

ks. Grzegorz Draus
www.welwowie.com
mail: draus@ukr.net
Ukraina, 79491 Lwów-Brzuchowice,
ul. Lvivska 62, tel. (0038) 097 517 06 42

PKO BP SA Oddział 4 w Lublinie.
Nr rachunku: 63 1020 3176 0000 5102 0085 0008.

Akcją tą kierowała Jadwiga Walocha (z domu Karpnik), znana od wielu lat z działalności charytatywnej. Dzięki swojej ofiarności i poświęceniu pozyskała środki finansowe od członków naszego Towarzystwa, najbliższej rodziny swoich córek w Poznaniu, członków innych towarzystw kresowych, Związku Sybiraków, jak również ludzi dobrej woli z Gorzowa Wlkp., a nawet z Inowrocławia. Zebrała łącznie 2540 zł, które przekazała na konto bankowe Archidiecezji Lwowskiej w Lubaczowie.

Jadwiga Walocha otacza również opieką kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w swoich rodzinnych Winnikach (obecnie w granicach Lwowa).

Wielokrotnie dostarczała tam sprzęt liturgiczny, tkaninę na obrusy, komże i różne dewocjonalia. W 2011 r. przekazała kwotę w wysokości 1430 zł.

Członkowie Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW podczas corocznych wycieczek do Lwowa i na Kresy Południowo-Wschodnie odwiedzając kościoły rzymskokatolickie, przekazują im datki pieniężne.

Zdajemy sobie sprawę, że koszty odbudowy i remontu świątyń są bardzo wysokie.

Archidiecezja lwowska jest bardzo uboga. Na dofinansowanie władz ukraińskich nie można liczyć.

APELUJEMY do polskich władz, Sejmu, Senatu, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, kresowiaków w Polsce i rozsiadanych po całym świecie, przedsiębiorstw prywatnych, oddziałów TMLiKPW, do pozostałych towarzystw kresowych, ludzi dobrej woli, by pomóc ks. abpowi Mieczysławowi Mokrzyckiemu w odbudowie symbolu polskości we Lwowie.

Pieniądze można wpłacać na konto:

MIECZYSLAW MOKRZYCKI
Bank PKO SA I oddział w Lubaczowie
ul. Legionów 4
37-400 Lubaczów
IBAN PL PKO PPLPW
73 1240 2584 1111 0010 1628 1580.

Pamiętajmy, że Kościół rzymskokatolicki był i jest oparciem dla polskiej społeczności we Lwowie. □

Piotr Franków

XX jubileuszowa „Kresoviana 2012” w Gorzowie Wlkp.

Tegoroczne Regionalne Spotkania Wykonawców Piosenki Kresowej „Kresoviana 2012” odbyło się w zmienionej formule. Ze względu na dużą ilość zgłoszeń organizatorzy imprezy Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południkowo-Wschodnich oraz Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. postanowili przeprowadzić „Kresovianę 2012” w dwóch etapach. 28 kwietnia zorganizowano eliminacje, z których wyłoniono zespoły do występu w dniu 12 maja br.

W obu dniach konkursu wystąpiło około 500 uczestników. Stanowili je soliści, duety, chóry, zespoły śpiewacze, zespoły wokalo-instrumentalne i kapela w 44 jedenastkach. Obok zespołów z województwa lubuskiego wystąpiły także zespoły z województwa zachodniopomorskiego i dolnośląskiego.

Występy były oceniane przez Jury pod przewodnictwem muzyka Czesława Gandy oraz Beatę Gramzę śpiewaczkę operową, Leszka Bończuka i Bogdana Zalewskiego – muzyków i Annę Makowską-Cieleń działaczkę kultury, która pełniła funkcję sekretarza Jury.

W obu dniach funkcję konferansjerów imprezy pełnili: Bożena Pomykała Kukorowska – aktorka Teatru im. J. Osterwy i Michał Słupczyński – pracownik Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta.

Nad sprawnym przebiegiem prezentacji wszystkich zespołów czuwała Władysława Staryszak – członek Zarządu Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

W drugim etapie konkursu, który odbywał się 12 maja 2012 r. w sali widowiskowej Miejskiego Centrum Kultury komisja wysłuchiwała 17 zespołów i solistów.

Jury oceniało prezentacje konkursowe biorąc pod uwagę walory głosowe, intonację, muzykalność, dobór repertuaru, interpretację oraz ogólny wyraz artystyczny.

Werdykt Jury był następujący:

– Puchar Wojewody Lubuskiego oraz nagrodę pieniężną w wysokości 7000 zł ufundowaną przez Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. otrzymał Zespół śpiewaczy „Drzewiczanie” z Kostrzyńskiego Centrum Kultury w Kostrzynie n/O.

– Puchar Marszałka Województwa Lubuskiego oraz nagrodę pieniężną w wysokości 3500 zł ufundowaną przez Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. otrzymał Zespół śpiewaczy „Retro” Ochotniczej Straży Pożarnej w Barlinku;

– Puchar Marszałka Województwa Lubuskiego oraz nagrodę pieniężną w wysokości 3000 zł ufundowaną przez Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. otrzymał Chór „Łęczanie” z Miejskiego Domu Kultury w Ośnie Lubuskim;

– Puchar Lubuskiego Kuratora Oświaty oraz nagrodę pieniężną w wysokości 1500 zł ufundowaną przez Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. otrzymał Chór szkolny „Jedynka” z Zespołu Szkół nr 1 w Szprotawie;

– Puchar Lubuskiego Kuratora Oświaty oraz nagrodę pieniężną w wysokości 1000 zł ufundowaną przez Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp. otrzymał

Zespół wokalny „OK” z Gimnazjum nr 21 im. Orłąt Lwowskich w Gorzowie Wlkp.;

– Puchar Marszałka Województwa Lubuskiego oraz słownik wydarzeń, pojęć i legend XX w. otrzymała Kapela podwórkowa „Niedźwiadki” z Mieszkowic;

– Puchar Wojewody Lubuskiego i obraz ufundowany przez Radę Miasta Gorzowa Wlkp. otrzymała solistka Jadwiga Szymańska-Dudek z TMLiKPW z Zielonej Góry;

– Puchar Lubuskiego Kuratora Oświaty oraz leksykon lektur i wierszy Lubuskiego Kuratora Oświaty otrzymał Zespół wokalny „Jedna Trzecia” z Lubniewic;



Solistka Jadwiga Szymańska-Dudek z TMLiKPW w Zielonej Górze

– Wyróżnienia w postaci obrazów ufundowanych przez Radę Miasta Gorzowa Wlkp. otrzymali:

– Chór „Dnia Jednego” z Prochowic,
– Zespół śpiewaczy „Sonata” z Barlinka,
– Solistka Bogusława Rogulska z Gorzowa Wlkp.

Zgodnie z sugestią Jury i fundatora nagrody pieniężne winny być przeznaczone na doskonalenie warsztatu wykonawczego.

W końcowej części swojego protokołu Jury stwierdza wysoki poziom prezentacji wykonawców i wyraża zadowolenie z uczestnictwa zespołów szkolnych, wyrażając nadzieję na liczniejszy ich udział w przyszłości.

Zdecydowana większość uczestników „Kresoviany” wykazała się trafnym i interesującym doбором repertuaru, realizując główny cel „Kresoviany”. Z uznaniem Jury zauważyło dbałość o wizerunek sceniczny wykonawców.

Jednocześnie Jury serdecznie podziękowało organizatorom – MCK w Gorzowie Wlkp. i Gorzowskiemu Oddziałowi TMLiKPW za przygotowanie i organizację XX Jubileuszowych Regionalnych Spotkań Wykonawców Piosenki Kresowej.

W tym samym dniu w godzinach wieczornych organizatorzy „Kresoviany 2012” przygotowali koncert galowy, w którym wystąpili zdobywcy głównych nagród: Zespół śpiewaczy „Drzewiczanie” z Kostrzyna n/O., Zespół śpiewaczy „Retro” z Barlinka. Chór „Łęczanie” z Ośna Lubuskiego, Chór „Dnia Jednego” z Prochowic,



Chór „Łęczanie” z Ośna Lubuskiego pod kierownictwem Danuty Major-Senyszyn

Chór szkolny „Jedynka” ze Szprotawy i Kapela podwórkowa „Niedźwiadki” z Mieszkowic oraz gwiazda spotkania Kapela Folkloru Miejskiego „Fidelis” z Przemysła.

Gości honorowych i wieloletnich sympatyków Kresów Wschodnich powitali: Dorota Janczewska – dyrektor MCK i Piotr Franków – prezes Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW.

Powitano:

Jana Świrepo – Wicewojewodę Lubuskiego,

Jana Kaczanowskiego – Wiceprzewodniczącego Rady Miasta Gorzowa Wlkp., przedstawicieli organizacji i towarzystw kresowych, przedstawicieli przedsiębiorstw wspierających organizację „Kresoviany”, lokalne media, wszystkie zespoły artystyczne i licznych miłośników muzyki i piosenek kresowych.

Po powitaniu uczestników imprezy wystąpił Przewodniczący Jury Czesław Ganda, który ogłosił wyniki „Kresoviany 2012”. Nagrody i wyróżnienia wręczali: Jan Świrepo – Wicewojewoda Lubuski, Jan Kaczanowski – Wiceprzewodniczący Rady Miasta oraz organizatorzy „Kresoviany” – Dorota Janczewska i Piotr Franków.

Po uhonorowaniu najlepszych zespołów wystąpili: Jan Świrepo i Jan Kaczanowski składając składając wyrazy uznania i gratulacje organizatorom za przygotowanie „Kresoviany 2012”, ucztę i święta piosenki kresowej.

Konferansjerzy prowadzący imprezę: Bożena Pomykała-Kukorowska i Michał Słupczyński odczytali listy gratulacyjne od Krystyny Sibińskiej – Posła na Sejm RP i Jerzego Sobolewskiego – Przewodniczącego Rady Miasta Gorzowa Wlkp.

Ponadto pisma z gratulacjami do organizatorów „Kresoviany” skierowali: Edward Jaworski – Dyrektor WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Stanisław Kozłowski – Burmistrz Ośna Lubuskiego, Stanisław Czak – Prezes Stowarzyszenia Kresowian z Sulęcina, Ewa Józefowicz – Dyrektor ZS nr 21 im. Orłąt Lwowskich z Gorzowa Wlkp. oraz Izabela Grochowska-Gajos ze Stowarzyszenia Śpiewaczego z Prochowic.

Występy laureatów „Kresoviany 2012” rozpoczął Zespół śpiewaczy „Drzewiczanie” z Kostrzyna n/O. wykonując utwory: „Pada deszcz” (słowa i muzyka Jan Piski) i „Pognam ci ja” (pieśń ludowa z okolic Pińska).

Swoje najlepsze utwory prezentowali: Chór szkolny „Jedynka” ze Szprotawy, Chór „Łęczanie” z Ośna Lubuskiego, Zespół śpiewaczy „Retro” z Barlinka, Chór „Dnia Jednego” z Prochowic, Zespół wokalny „OK” z Gorzowa Wlkp. i Kapela podwórkowa „Niedźwiadki” z Mieszkowic.

Wszystkie zespoły zaprezentowały bardzo wysoki poziom artystyczny. Zostały nagrodzone przez publiczność gromkimi brawami.

Występ Kapeli Folkloru Miejskiego „Fidelis” z Przemysła był wspaniałą ucztą dla miłośników piosenek lwowskich i o Lwowie, a także piosenek z Polesia i Wilna.

Koncert artystów z Przemysła trwający ponad 1,5 godziny z pięknie wykonanymi piosenkami, m.in. „Moje serce zostało we Lwowie”, „Każdy ma coś drogiego”, „Jestem szac chłopaka”, „Już mi raz zabrali Wilno”, „Tylko we Lwowie”, „O mamó otrzyj łzy” i wiele innych.

Koszty sprowadzenia kapeli „Fidelis” na „Kresovianę 2012” pokryło Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp.

Gala „Kresoviany 2012” została zakończona występem finałowym w wykonaniu wszystkich zespołów piosenki „Tylko we Lwowie”. Do śpiewu przyłączyli się także uczestnicy imprezy i tym spontanicznym śpiewem zakończono piękne spotkanie z piosenką kresową.

Udział w organizacji „Kresoviany” wzięli:

– prowadzenie koncertu: Bożena Pomykała-Kukorowska i Michał Słupczyński,
– scenografia – Dariusz Sapkowski,
– realizacja dźwięku – Rafał Szafranski,
– realizacja oświetlenia – Paweł Szafranski,
– kierownictwo organizacyjne – Dorota Janczewska, Władysława Staryszak, Piotr Franków,
– scenariusz i reżyseria – Czesław Ganda,
– organizatorzy: Miejskie Centrum Kultury w Gorzowie Wlkp., Gorzowski Oddział Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Po zakończeniu gali piosenki kresowej wielu uczestników imprezy mogło zaopatrzyć się w płyty CD z piosenkami kapeli „Fidelis” z Przemysła.

Sympatycy piosenki kresowej żegnali się słowami „Do zobaczenia w 2013 roku”. □

Mieczysław Kostur

XVI Dzień Kultury Kresowej Świdwin 2012 r.

Ocalić Kresy od zapomnienia

Organizatorami wspaniałej imprezy kresowej były świdwińskie Towarzystwa Kresowe: Lwowa – prezes Mieczysław Kostur, Wilna – prezes Anna Teresińska, dyrektor Świdwińskiego Ośrodka Kultury – Bolesław Kurek, kierownik Miejskiej Biblioteki Publicznej – Teresa Ludwikowska.

W dniu 23 maja o godz. 17.00 w Sali Rycerskiej Zamku odbyło się spotkanie z p. Jerzym Lewickim z Kołobrzegu nt. „Wspomnienia o losach Polaków na Syberii”. Towarzyszył mu b. Senator RP p. Andrzej Niski z Koszalina, obecnie wiceprezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oddział Koszalin. Przed spotkaniem prezes Anna Teresińska wręczyła laureatom i wyróżnionym upominki z przeprowadzonej XIV edycji konkursu „Tradycje wileńskie w naszym regionie – obyczaje i tradycje Wileńszczyzny”.



Otwarcie imprezy. Od lewej: R. Kozubek, D. Malitowska, J. Owsiak, H. Klamana, K. Wojnicka, M. Kostur, Z. Pawelec, B. Wachowiak, B. Kurek

Na spotkaniu w gronie około 100 osób: kresowików, sybiraków i przewodniczącej Rady Powiatu Danuty Malitowskiej oraz kierownika Wydziału Oświaty Bogdana Wachowiaka, Jerzy Lewicki – członek Zarządu Głównego Związku Sybiraków w Warszawie przedstawił los Polaków na Syberii. W lutym 1940 roku jako 4-letni chłopiec wraz z rodzicami i wieloma rodzinami zostali z Zaleszczyk wywiezieni na Sybir. Tam wraz z grupą 140 dzieci został skierowany do Domu Dziecka w Miłusinsku, w którym przebywali do 1946 roku. Po 66 latach własnym nakładem wybudował na dalekiej Syberii w Miłusinsku pomnik „Matce Polce i Dzieciom Pochowanym w Tej Ziemi”. Spotkanie było bardzo wzruszające i fascynujące.

Dokonano też otwarcia wystawy „Lwów i Kresy w fotografii barwnej” autorstwa Tadeusza Zawadzkiego z Koszalina – prezesa TMLIKPW O/Koszalin przez p. Andrzeja Niskiego, Mieczysława Kostura i Annę Teresińską. Zebrani na spotkaniu podziwiali tę wystawę.

27 maja o godz. 10.30 w kościele MBNP ks. Dziekan Ryszard Kizielewicz celebrował Mszę św. W inten-

cji Polaków na Wschodzie i Kresowian na Ziemi Świdwińskiej z oprawą kresową i darami ołtarza, i z udziałem Świdwińskiego Chóru Kameralnego „Sonores” pod batutą Bolesława Kurka. Po Mszy w. odbył się koncert Męskiego Zespołu Wokalnego „KAİROS” z Lublina, który wykonał pieśni złożone z utworów liturgicznych greckich, ormiańskich, gruzińskich oraz rosyjskich. Dyry-



Od lewej: J. Lewicki, A. Niski na tle otwartej wystawy

gentem i dyrektorem chóru jest charyzmatyczny Borys Somereschaf. Występ spotkał się z wielkim aplauzem społeczności, która na stojąco nagrodziła artystów rzęsy oklaskami, a osobiście w ich imieniu wyraził podziękowania złożyli: proboszcz Ryszard Kizielewicz i dyrektor ŚOK Bolesław Kurek. Program tego zespołu został wykonany na wysokim poziomie artystycznym i wokalem, a akustyka naszej świdwińskiej świątyni sprzyjała temu gatunkowi muzyki.

Następnie o godz. 14.00 na dziedzińcu zamkowym dokonano otwarcia „XVI Dnia Kultury Kresowej Świdwin 2012”. Dokonał tego patron imprezy pan Jan Owsiak – Burmistrz Miasta z udziałem władz samorządowych: Danuty Malitowskiej – przewodniczącej Rady Powiatu, Romana Kozubka – wicestarosty, Henryka Klamana – przewodniczącego Rady Miasta, Zdzisława Pawelca – wójta Gminy Świdwin, Jerzego Anielskiego – wójta Gminy Brzeźno, Edwarda Romańskiego – sekretarza Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Koszalinie, a także Krystyny Wojnickiej – radnej Rady Powiatu i Bogdana Wachowiaka kier. Wydziału Oświaty UM.

Pan Burmistrz Jan Owsiak pogratulował organizatorom przygotowania wspaniałej imprezy oraz podkreślił znaczącą rolę Towarzystw Kresowych Lwowa i Wilna w życiu społecznym i kulturalnym miasta.

Następnie do godz. 20.00 prezentowany był bogaty kresowy program artystyczny w wykonaniu zespołów śpiewających: „Dąbrowiaczy” i „Barwinok” z Rusinowa, „Leszczyna” z Pęczeryna, młodzieżowego zespołu romskiego „Młode Gwiazdki” działającego przy Szkole Podstawowej nr 2 w Świdwinie, „Jarzębiny” z Jelenia, „Swojacy” z Mirosławca, „Swojacy” z Sitna, zespoły z Koszalina: „Bałtyk”, „Sztorm”, „Śródmieście”, „Złote

Nutki”, „Zgoda” z Wyszewa, a Czesław Kaszubiak, aktor teatru „Dialog” z Koszalina prezentował poezję lwowską. Na zakończenie maratonu śpiewów kresowych wystąpiła kapela „Przylesianie” z Koszalina porwijając mieszkańców naszego grodu do tańca i wspólnego śpiewania słynnych przebojów lwowskich piosenek. Zespoły miały należytą oprawę scenograficzną i właściwie dobrane stroje. Większość prezentowanego programu miała koloryt kresowy, a publiczność przyjmowała to z ogromnym aplauzem. Ogółem wystąpiło 13 zespołów i 2 chóry – łącznie 185 wykonawców.



Chór KAİROS, z lewej dyrygent Borys Somereschaf

Bożena Policińska

Konkurs Powiatowy „Lwów – zawsze wierny”

W dniu 29.05.2012 r. w częstochowskim Gimnazjum nr 21 im. Orłąt Lwowskich odbyła się IV Edycja Konkursu Powiatowego „Lwów – zawsze wierny” pod honorowym patronatem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kre-



Uczestnicy 7 gimnazjów powiatu częstochowskiego na sali konkursu. W głębi prowadząca – nauczycielka historii i WOS G-21 Bogumiła Kogut

sów Południowo-Wschodnich. Tradycja organizowania konkursów wywodzi się z roku 2008, kiedy to szkoła przyjęła imię Orłąt Lwowskich.

Pomysłodawcą konkursu był dyrektor Gimnazjum nr 21 pan Jacek Rudolf. Każdą edycję konkursu organi-

Organizatorzy serdecznie dziękują władzom samorządowym Powiatu i Miasta Świdwin za wsparcie finansowe oraz wsparcie organizacyjne: wójtom Gminy Świdwin, Brzeźno, Szczecinek, Burmistrzowi Miasta i Gminy Borne Sulinowo, Krystynie i Henrykowi Śliwa, Barbarze i Krzysztofowi Głowackim, restauracji „Zamkowa” Anny Kłosińskiej i Romana Talochoy, Andrzejowi Muchowskiemu – dyrektorowi ZSR CKP w Świdwinie oraz Lidii Zychowicz i jej uczniom.

Dziękujemy serdecznie kierownikom zespołów i ich członkom za uświetnienie naszej kresowej imprezy oraz życzymy satysfakcji w popularyzowaniu folkloru kresowego w naszym regionie. Słowa podziękowania kierujemy do: pracowników ŚOK Beaty Górskiej – wspaniale prowadzącej imprezę, Joanny Nowickiej – za oprawę plastyczną, Andrzeja Warianka – akustyka, Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków Oddziału Powiatowego w Świdwinie za zabezpieczenie medyczne, Przedsiębiorstwa Usługowego „Wachta II” Oddział w Świdwinie, a także Tomasza Nowackiego – kierownika muzycznego siedmiu występujących zespołów.

Wolą tak organizatorów, jak i władz samorządowych jest kontynuowanie tej pięknej inicjatywy, wzbogacającej horyzont kulturalny ziemi świdwińskiej, identyfikującej mieszkańców nie tylko z Kresów ze swoją małą Ojczyzną.

Zapraszamy na XVII Dzień Kultury Kresowej 2013. □



Za I miejsce w konkursie dyplom i album „Kresy” dla uczennicy Gimnazjum nr 21 im. Orłąt Lwowskich Izabeli Słomczyńskiej wręcza prezes częstochowskiego oddziału Wacław Baczyński

zowały panie: Bogumiła Kogut i Bożena Policińska. Zakres tematyczny obejmował ogólne wiadomości z historii Lwowa, Orłąt Lwowskie, sławne zabytki i postacie Polaków związanych z Lwowem. W roku 2012 do zagadnień związanych z Lwowem dołączono wiadomości o innym mieście Kresów Wschodnich, Stanisławowie. Do udziału w tegorocznej imprezie zgłosili się uczniowie z sześciu szkół gimnazjalnych. Wymienić należy palcówki, które corocznie startowały, a są to Gimna-

zjum nr 9 i Gimnazjum nr 12 oraz pana Jacka Jędrykę i pana Radosława Budzynowskiego, nauczycieli historii z tych szkół, potrafiących zachęcić uczniów do zdobywania dodatkowej wiedzy z tego zakresu. Rangę powiatu konkursowi nadały gimnazja z Mykanowa i Konopisk wraz z nauczycielkami panią Aniką Wasil i panią Iloną Siemiętowską. W skład komisji konkursowej jako



Dyrektor Gimnazjum nr 21 im. Orłąt Lwowskich w Częstochowie mgr Jacek Rudolf wręcza dyplom uczniowi Gimnazjum nr 16 Adamowi Kaczmarekowi

ekspersi wchodzili zawsze członkowie zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich: pan Zbigniew Fiszczałko, pan Leopold Wętyczko, pan Jerzy Turkiewicz, na czele z prezesem panem Wacławem Baczyńskim. W tegorocznej edycji zwycięzcami zostali: I miejsce Izabela Słomczyńska, II miejsce Natalia Szczypiorowska, II miejsce Rokszana Makowska. Wyróżnienia otrzymali: Paulina Depta, Adam Kaczmarek, Zuzanna Zacharjasz. Nagrody w postaci trzech wspaniałych albumów ufundowało TMLiKPW. Dziękujemy bardzo, bo nagrody książkowe corocznie przygotowywane przez Towarzystwo podnoszą jego rangę i są źródłem ogromnej wiedzy. Organizatorki otrzymały podziękowania od Prezesa TMLiKPW pana Wacława Baczyńskiego „za wieloletnią organizację konkursów wiedzy uczniów szkół gimnazjalnych o miastach na byłych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej”.

Konkurs miał służyć uświetnieniu patrona szkoły Orłąt Lwowskie i zdobywaniu przez młodzież gimnazjalną miasta Częstochowy, a także innych uczestników, wiedzy o przeszłości i dorobku kulturalnym Lwowa i dawnych Kresów Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej, kształtowaniu postaw patriotycznych i poszanowaniu tradycji narodowej.

Fotografie – Paulina Trzepizur

Janusz Sekulski

Pamięci Pomordowanych

Gnieźnieński oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich był organizatorem uroczystości poświęconej 72 Rocznicę Mordu Katyńskiego.

Uroczystość rozpoczęto Mszą w., której przewodniczył JE arcybiskup Henryk Muszyński Prymas Senior przy udziale czterech kanoników członków Kapituły prymasowskiej i kilku innych duchownych. Mszy w. towarzyszyła orkiestra dęta miasta i powiatu oraz chór im. św. Ojca Pio.

W homilii ks. Arcybiskup powiedział m.in.: „My głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest mocą i mądrością Bożą”. Te słowa wersetu mszalnego w dzisiejszej liturgii w sposób niezmiernie trafny streszczają całe przesłanie Ewangelii św. Marka, którego uroczystość dziś obchodzimy. Jednocześnie stanowią one klucz do odczytania orędzia, jakie dla nas żyjących niesie obchodzona dziś rocznica zbrodni katyńskiej. Przypominając tę zbrodnię zakłamywaną przez przeszło pół wieku, pragniemy nie tylko zachować pamięć o tamtych wydarzeniach, ale przede wszystkim oddać hołd ofiarom tej haniebnej zbrodni naszych czasów i szukać Bożego światła dla ocalenia ofiary ich męczeńskiej śmierci. Przez modlitwę włączamy się w Międzynarodowy Dzień Pamięci Ofiar Katynia... Będąc ostatnio w Moskwie w 2008 roku, z okazji Tygodnia Jedności Chrześcijan, przewodniczyłem w imieniu katolickiego biskupa Pado Pezz’ego nabożeństwu ekumenicznemu w Katedrze Katolickiej w Moskwie. Korzystając z



Ks. arcybiskup Henryk Muszyński i ks. Mieczysław Polak przed poświęceniem tablicy śp. Jana Plucińskiego

uprzejmości ks. prałata Andrzeja Steckiewicza... udałem się na cmentarz w Miednoje. Była wtedy piękna rosyjska zima, wspaniała tajga pokryta w całości śniegiem i pogrążona w głębokim milczeniu. Kiedy w zadumie stanęliśmy ze słowami modlitwy nad mogiłą pomordowanych, towarzyszący mi ks. Mirosław rozbił dzwon, znajdujący się pod murem pamiątkowym w ziemi z wypisanymi nań imionami i nazwiskami spoczywających tutaj ofiar. Po raz pierwszy w życiu słyszałem głos dzwonu, który wydobywał się z męczeńskiej ziemi. Brzmiał on jak głęboki jęk bólu i wołania niesprawiedliwie pomordowanych ofiar, których kryje w sobie ta męczeńska ziemia. Łzy cisnęły się same do oczu. Prawie spontanicznie ręce i usta szukały ratunku w cichej modlitwie, jakby nowe światło zabłysło w sercu, zreflektowałem się i po chwili modlitwy uświadomiłem sobie,

że rozpacz i smutek nie może być ostatnim krzykiem pomordowanych ofiar. Przecież Chrystus był we wnętrzu ziemi, a każdy dzwon, niezależnie gdzie się znajduje, głosi Światu: kto żyje i wierzy we mnie, choćby i umarł, żyć będzie. Zostali oni w sposób okrutny zamęczeni i pomordowani, ale sam fakt, że stoję dziś na tym miejscu jest znakiem, że trwa pamięć o nich, a zatem nie zginęli daremnie. Chrystus, który zmartwychwstał, ocalił nie tylko ich pamięć i nadzieję na wolną Polskę, za którą umierali, ale także ich życie... Pomordowani, których ciała spoczywają w tajdze rosyjskiej, oddali swoje życie za wolność Ojczyzny. Historia zna podług zwycięstwa za cenę niewierności, zdrady i upodlenia. Ale zna także wspaniałe klęski ludzi, którzy ginęli z godnością, wierni idei, której służyli, a więc – niepo-



Kwiaty składają starosta Dariusz Pilak i przewodnicząca Rady Miasta Gniezna Maria Kocoń, za nimi dowódcy 8 i 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu

konani... Najwyższa cena, którą zapłacili w służbie Ojczyzny jest dla nas największym zobowiązaniem, by służyć jej ofiarnie i z godnością, na miarę własnych możliwości i sił... Chrystus również zginął jako znak rażącej niesprawiedliwości przemocy i nienawiści, ale zmartwychwstał. Jak głosi św. Paweł, zwyciężył śmierć, która nie ma już nad nim władzy. W tym zwycięstwie uczestniczą także ofiary przemocy, które niewinne zostały zamordowane w służbie idei i wartości... Pomimo że od zbrodni katyńskiej upłynęło przeszło 72 lata, ani ofiary, ani ich rodziny nie doczekały się rehabilitacji... usiłowano wmówić światu, że to dzieło Niemców... Dopiero w najnowszych czasach, w 1990 roku, prezydent Michaił Gorbaczow przyznał, że mord katyński jest dziełem NKWD... nie przeszkadza to jednak temu, że większość obywateli rosyjskich jest ciągle przekonana, że Katyń jest dziełem Niemców. Osobiście boleśnie doświadczyłem tego zakłamania. Niestety komunistyczne władze Polski przez dziesiątki lat podtrzymywały to systemowe zakłamanie, w czasie moich studiów w Rzymie jeden z zarzutów, jaki usłyszałem w ambasadzie PRL, brzmiał: „Byliście na mszy za pomordowanych w Katyniu”. Tak daleko sięgała obłuda i zakłamanie. Udział księdza we Mszy św. za pomordowanych rodaków w Katyniu uznawany był za nieojalność wobec Polski Ludowej... Bogu dzięki, że doczekaliśmy się takich czasów, że możemy głośno mówić o tych wydarzeniach i domagać się ich wyjaśnienia...

Dzisiejsza uroczystość przypomina nam jak wielką ceną została okupiona nasza wolność i niepodległość oraz życie w wolnej ojczyźnie, którym się cieszymy.

Jest to zatem wielkie zobowiązanie, byśmy uczynili jak najlepszy użytek z tych wielkich darów. Krzyż jest zatem wypełnieniem nadziei dla tych, którzy zostali niewinnie zamordowani – a jak wierzymy trwają w pokoju na wieki i są znakiem nadziei i pociechy dla nas żyjących. A Bóg wszelkiej łaski – przypomina św. Paweł – Ten, który nas powołał do wiecznej swojej chwały w Chrystusie, gdy trochę pocierpieć Sam was udoskonalili, utwierdził, umocni i ugruntuje. Jemu chwała i moc na wieki wieków Amen.

Następnie uczestniczący w uroczystości parlamentarzyści, przedstawiciele Prezydenta Miasta, Starosta, przewodniczący rad miasta i powiatu, d-cy 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu, poczty sztandarowe, harcerze, młodzież, mieszkańcy udali się do Miejsca Pamięci i Krzyża Katyńskiego. Do zebranych przemówienie wygłosił prezes oddziału Janusz Sekulski. Powiedział m.in.: „Dzieje nie przekazały nam tak



Miejsce Pamięci po uroczystości

totalnego mordu, dokonanego w sposób tak nikczemny i jeszcze bardziej nikczemny sposób zatajonego... oddajmy hołd naszym bohaterskim rodakom... potwornego mordu dopuszczono się z perfidną premedytacją – bez udowodnienia winy i bez sądu wbrew obowiązującym zasadom międzynarodowego prawa dotyczącego jeńców wojennych... gdy w Polsce upominanie się o sprawiedliwość i składanie hołdu nie było możliwe należą cześć oddawano im w Wolnym Świecie. Pomniki katyńskie, jak i ich inicjatorzy, znalazły się na emigracji. Przybrały postać tablic epitafijnych i monumentów w różnych miejscach polskiego osiedlenia na obszarach obcych. Z kamiennym uporem stały na straży nieprzedawniania się zbrodni i dokumentowania polskiej martyrologii. Nakaz pamięci o ofiarach Katynia znamiennym wierszem z Dziadów Mickiewicza: „Jeśli zapomnę o nich, Ty Boże na niebie zapomnij o mnie” wszczepił w polskich sumieniach Prymas Tysiąclecia Stefan Kardynał Wyszyński. Znaczenie nieustępliwego kordonu zacieśniającego się wokół Związku Sowieckiego podnosił kardynał Władysław Rubin w proroczych słowach – przemówienia z okazji odsłonięcia w 1980 roku pomnika Katyńskiego w Toronto. „Opasaliśmy Ziemię pomnikami, pamiątkowymi tablicami, kamieniami i

plaskorzeźbami wmurowanymi w ściany naszych kaplic, kościołów lub społecznych domów jako widomy znak, że pamiętamy o naszych braciach pomordowanych w Katyniu i innych miejscach podobnej zbrodni. Opasaliśmy Ziemię tymi wyrazami naszej pamięci i naszego wysiłku, by świat o tej zbrodni znał prawdę i by ta prawda był ostrzeżeniem dla ludzkości... Wiemy, że ich ofiara jest obecnie zwiastunem wolności i niepodległości naszego narodu". I dlatego nie mogło nie powstać to miejsce pamięci – ten Krzyż Katyński ku chwale pomordowanych oficerów Wojska Polskiego, policjantów, strażaków pochodzących z ziemi gnieźnieńskiej. Kiedy żadna władza, kombatancki i organizacje nie podjęły tego wysiłku, to wtedy członkowie gnieźnieńskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich postanowili pomimo ogromnych trudności postawić w 2005 roku to Miejsce Pamięci, przy którym corocznie odbywają się prawdziwe lekcje historii również 17 września... Dzisiaj w szczególny sposób czcimy pamięć zamordowanego w Kalininie-Twerze urodzonego w Gnieźnie policjanta więźnia obozu w Ostaszkowie... Jednym z kalinińskich oprawców był major bezpieczeństwa narodowego Wasilij Michajłowicz Błochin... po wojnie Błochin został

awansowany do stopnia generała majora. 3 lutego 1955 roku popełnił samobójstwo...

Dziś Katyń to symbol – obok wielu innych miejsc na nieludzkiej ziemi... Zwracam się do Was nauczyciele-wychowawcy. Wpajajcie swoim uczniom prawdę historyczną. I do Was młodzieży. Ponieście paleczkę sztafety pamięci w następne pokolenia, wy jesteście przyszłością i wy pisacie będziecie karty nowej historii, ale bez fałszu i zakłamania. Te miejsca nie mogą pozostać puste i nieme. Po hejnale wojskowym tablicę ku czci asp. Jana Plucińskiego policjanta komendanta posterunków w Rogoźnie i Pniewach odsłonił starosta gnieźnieński i prezes Stowarzyszenia „Katyń” w Poznaniu Tadeusz Patecki. Tablicę poświęcił i modlitwę odmówił JE Arcybiskup Henryk Muszyński. Tablica ta powstała dzięki składkom złożonym przez członków naszego oddziału.

Uroczystość uświetnił chór im. św. Ojca Pio montażem słowno-muzycznym.

Delegacje złożyły kwiaty i znicze przy Miejsku Pamięci. Odśpiewanie Roty zakończyło uroczystość.

Przez kilka następnych dni odbierałem gratulacje za tak wyjątkowo przygotowaną i przeprowadzoną uroczystość. □

Stanisława Zięcik

Tydzień Kultury Kresowej w Bolesławcu

*Na samym rogu mapy jest Kraj,
do którego tęsknię – Zbigniew Herbert*

Tęsknota za miejscem urodzenia, rodzinną wsią lub miastem rodzi pomysły, które przybierają formę wieloaspektowych PROJEKTÓW, mających na celu poznanie historii Kresów Południowo-Wschodnich, póki żyją jeszcze świadkowie tamtych wydarzeń.

Należą do trzeciego pokolenia Polaków, które po zakończeniu II wojny światowej, w latach 1945–1958 zasiedliło Ziemię Odzyskaną. To z moralnego obowiązku wobec naszych dzieci i wnuków chcemy uczniom gimnazjów i szkół licealnych przekazać wiedzę o tamtych ziemiach, wydarzeniach i kulturze kresowej. Każdy powinien wiedzieć, gdzie sięgają jego rodzinne korzenie i jaka była historia, która przetoczyła się na przestrzeni wieków przez obszary dawnej Rzeczypospolitej.

Z inicjatywy pani Barbary Smoleńskiej – zastępcy dyrektora i pani Barbary Zięciny – nauczycielki historii, siostry katechetki Anny Mikołajewskiej, za zgodą pani dyrektora Laury Przydróżnej w Zespole Szkół Ogólnokształcących im. Henryka Sucharskiego powstał projekt, którego końcowym efektem będzie wyjazd młodzieży na Ukrainę. Projekt Gimnazjum Samorządowego nr 2 im. „Polaków zesłanych na Sybir” dostosowany jest do wieku uczniów gimnazjalnych. Kierują nim dwie nauczycielki pani Katarzyna Silik i pani Ewa Chrobot, a wspiera merytorycznie i organizuje pani dyrektor Maria Subik.

Zadaniem Bolesławieckiego TMLiKPW był udział w realizacji poszczególnych etapów obu projektów.

Pierwszymi założeniami projektu były spotkania z ludźmi przybyłymi z Kresów oraz znawcami tematyki kresowej. Mówiliśmy o naszym wojennym dzieciństwie, o wędrówce na Ziemię Odzyskaną i pierwszych latach po zasiedleniu tych ziem przez Polaków. Prezentowali-



śmy pamiętki, fotografie i filmy. Dla bardziej zainteresowanych odbyły się spotkania indywidualne połączone z wywiadem na określone tematy, a w dniach od 12 do 20 marca 2012 r. w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych im. Henryka Sucharskiego w Bolesławcu prezentowana była wystawa przygotowana przez Dom Spotkań z Historią w Warszawie pt. „Świat Kresów”. Wystawa opracowana została w oparciu o zbiory Pana Tomasza Kuby Kozłowskiego – kolekcjonera i znawcę tematyki kresowej. Przedstawiała ona pięć tematycz-



nych części obejmujących obrazy z życia wsi, miasteczek i dużych miast, fotografie dworców i pałaców z początku XX wieku do zakończenia II wojny światowej. Dopelnieniem wystawy były wykłady:

Helena Kowal – „Ze Skali Podolskiej do Kazachstanu”,

Mieczysław Szustakowski – „500-lecie Zbaraża”,

Stanisław Tokarczuk – „Pomoc Polakom na Ukrainie oraz bardzo interesująca prezentacja w systemie Power Point autora wystawy pana Tomasza Kuby Kozłowskiego obejmująca trzy tematy. Jeden z nich to „Kresy – tygiel narodów, religii i kultur... czyli Unia już była”.

Zakończona w ubiegłym roku Prezydencja w Radzie Unii Europejskiej był doskonałą okazją do przypomnienia prekursorskiego dziedzictwa Rzeczypospolitej w odniesieniu do idei unijnych i federalnych. Do przypomnienia niezwykle ciekawych zapisów zawartych w unii horodelskiej czy unii hadziackiej oraz przywołania fascynującego tygla narodów, religii i kultur jaki przez kilkadziesiąt lat stanowiły Kresy – Ziemię Wschodnią I i II Rzeczypospolitej.

Magnaci z Litwy i arystokraci z Podola, lwowskie batiary i strzelcy siczowi, galicyjscy chasydzi rezydujący u jednego z największych polskich kolekcjonerów sztuki Stanisława Koniecpolskiego. Meandrujący Dniestr, którym spływali Wincenty Pol i Arkady Fidler doprowadził nas do obleganych przez Ietników Zaleszczyk i obłanych wodami Zbrucza Okopów Świętej Trójcy.

To kresowe spotkanie było też okazją do odznaczeń za długoletnią działalność w Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Na wniosek Bolesławieckiego TMLiKPW przedstawiciele Zarządu Głównego wręczyli dyplomy i Złote Odznaki dla następujących osób: Anastazji Sulik, Kazimierze Sowińskiej, Jadwidze Menich-Cichosz z Bolesławca oraz Marii Socha z Zagrodna.

Uczestnicy Dni Kultury Kresowej, zarówno mieszkańcy Bolesławca, jak i nauczyciele, są pełni uznania dla młodzieży ZSOiZ, która zajęła się techniczną organizacją wystawy i jej nagłośnieniem. Przygotowała też występ artystyczny, który swymi strojami, temperamentem lwowskich „batiarów” zachwycił publiczność. To już

piąte pokolenie, którego korzenie wywodzą się z Kresów, doskonale radzi sobie z „bałakaniem”. Następne etapy ujęte w projekcie dotyczą planów wyjazdu młodzieży do Muzeum Kresowego w Węglińcu, na „Kresowiankę” do Białej i na Ukrainę. Bolesławieccy Kresowiaci i młodzież nie chcą, aby czas zatarł ślady polskości na dawnych ziemiach polskich – informuje Barbara Smoleńska zastępcza dyr. ZSOiZ. W związku z tym podjęliśmy już pewne działania takie jak w październiku 2011 r. – uczniowie zebrali ponad 90 zniczy, które przekazano na Cmentarz Orłąt we Lwowie. W listopadzie zorganizowano wystawę z zaniedbanego polskiego cmentarza w Sieniawie koło Zbaraża. Wystawa ta przez trzy miesiące prezentowana był w Starostwie Powiatowym w Bolesławcu, obecnie jest w budynku szkoły.

W ramach współpracy szkoły z TMLiKPW O/Bolesławiec założono w banku specjalne subkonto pod nazwą „Mogile pradiada ocal od zapomnienia”, na którym gromadzone są środki pieniężne na pokrycie kosztów wyjazdu na Ukrainę. Młodzież chce objąć patronatem wybrany polski cmentarz, na którym prace porządkowe trwały będą przez kilka kolejnych lat w okresie wakacji.

Prezes Bolesławieckiego TMLiKPW Michał Wojdyła składa serdeczne podziękowanie i słowa uznania pani dyrektor ZSOiZ Laurze Przydróżnej za pozwolenie na wykorzystanie Sali gimnastycznej i aprobatę wszystkich poczynających nauczycielek-inicjatorek projektu pani Barbarze Smoleńskiej zastępcy dyr. ZSOiZ, pani Barbary Zięciny nauczycielce historii, siostrze katechetce Annie Mikołajewicz oraz wszystkim Kresowianom, którzy spotkali się z młodzieżą na lekcjach historii o dawnej Rzeczypospolitej.

Projekt realizowany w Gimnazjum Samorządowym nr 2 w Bolesławcu wymaga oddzielnego omówienia, za względu na inny zakres działań młodzieży i nauczycieli w zakresie poznawania historii Kresów Południowo-Wschodnich. □

Witold Poczajowiec

Wspominali Kresowiacy

Na zebraniu członków złotowskiego Klubu Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oprócz spraw organizacyjnych, były także wspomnienia z okresu rzezi Ukraińców na polskiej ludności na Wołyniu i Ukrainie. Wspominał głównie Antoni Gajewski.

Złotowski klub organizacyjnie przynależy do Towarzystwa we Wrocławiu działa od 2009 roku. Prezes klubu, Ryszard Kilar, pokrótce przedstawił sprawozdanie z dotychczasowej działalności. Złotowianie zapewne pamiętają inauguracyjne działania klubu, kiedy w mieście zawitał zespół przedstawiający przedwojenne legendarne lwowskie postaci Szczepcia i Tońcia. Urządzono wystawę rodzinnych, kresowych pamiątek. Były wspomnienia o rodzinie prezesa klubu Ryszarda Kilara spod lwowskiej Turynki.

Było też szereg innych działań, jak choćby wyjazdy wycieczkowe na Ukrainę oraz niedawny wypadek kilku członków na Krym. Dla zainteresowanych informacja, iż w przygotowaniu jest następny wypadek w krymskie strony.

Głównym jednak celem jest dokumentacja kresowej pamięci i jej upowszechnianie. Tym razem szerzej o swoich przeżyciach na Wołyniu opowiadał Antoni Gajewski. Miał 13 lat, kiedy w 1945 roku wraz z rodziną opuszczał Wołyń.

Matka pana Antoniego, z domu Podhorecka, miała dwóch braci – Aleksandra i Andrzeja. Obaj walczyli w legionach i po powstaniu II Rzeczypospolitej otrzymali jako osadnicy ziemię na Wołyniu. Tereny te zgodnie zamieszkiwali Rusini, Polacy, Rosjanie i Czesi. Wspólnie się bawiono, powstawały mieszane rodziny, były sąsiedzkie przyjaźnie. Wszystko – wspomina pan Antoni – do czasu, kiedy zaczął mieszać Stalin i Hitler. Dzięki nim mógł podjąć zbrodniczą działalność Stepan Bandera, tworząc na Ukrainie ruch nacjonalistyczny oparty na UPA.

Ale wcześniej, w 1939 roku, na Wołyń wkroczyli Rosjanie. Młody chłopak zapamiętał brudnych, obdarta żołnierzy z karabinami na sznurkach. Większość rodziny wywieziono na Sybir. Tam przy wycince tajgi zginął szwagier i zięć. Nie wróciła siostra, po której ślad zaginął. Część mężczyzn z rodziny trafiła do armii Andersa. Jeden ranny był pod Monte Cassino, inny trafił do brytyjskiej marynarki. Po wojnie został we Francji księdzem i pełnił posługę kapłańską przez 33 lata. Przed śmiercią odwiedził Antoniego. Zmarł rok temu.

Tymczasem na Kresach dla utworzenia „samostijnoji Ukrainy” trzeba było „oczyścić” ją z Polaków. A to oczyszczanie to okrutne mordy na Polakach, wprost nie do wyobrażenia w cywilizowanym świecie. Mordował sąsiad sąsiada. Pierwsze okrutne doświadczenie małego chłopca, to najście nocą ich domu na wsi przez Ukraińców, głównie sąsiadów. Aby ich nie poznano kazali matkę, ojcu i Antoniemu położyć się na podłodze i nakryć kołdrami. Szukano złota i kosztowności. Tym razem zarżnięto tylko świniaka. Następnym razem była to już zbiorowa rzeź całej wioski. Siekierami, pilami, pałkami wymordowano ponad 70 rodzin. Rodzina Antoniego uciekła do pobliskiego miasteczka, gdzie był posterunek niemieckiej żandarmerii i tam nacjonaści ukraińscy nie zaglądali.

Po wojnie, kiedy znaleźli się na Ziemiach Zachodnich, obrachunek był tragiczny – większość członków rodziny nie żyła.

A do czasów wmieszania się Hitlera i Stalina – nawracał we wspomnieniach pan Antoni – było tak dobrze i spokojnie. Na dowód tego zaśpiewał do dziś zapamiętane piosenki – dumki, jakie na wioskach na przemian śpiewał zakochany Kozak i zakochana Polka.

Na najbliższą przyszłość klub planuje wspomnienia i ich dokumentację kolejnych członków. Zarówno tych, którzy urodzili się na Kresach, jak i młodszych – ich synów i córek.

A pamięć nie tylko warto, ale i trzeba z patriotycznego obowiązku pielęgnować. Na 11 lipca, godzina 7 członkowie Towarzystwa zamówili Mszę świętą w kościele WNMP za Polaków poległych na Kresach. Klub prowadzi też zbiórkę pieniędzy na własny sztandar. □

wiony z okazji X Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich we Lwowie. Był współautorem, wydanego w 1913 r., trzutomowego podręcznika rentgenoterapii, dotyczącego wszystkich gałęzi medycyny. W 1926 r. wydał własny podręcznik radiologii stomatologicznej, uważany za jeden z najznakomitszych.



Źródło: Wikipedia

Antoni Cieszyński – dziekan

W 1913 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym i założył na Uniwersytecie Lwowskim drugi w Polsce, po Uniwersytecie Jagiellońskim, Instytut Dentystyczny. Jako znakomity organizator zapoczątkował rozbudowę Katedry Stomatologii i zaproponował utworzenie na Uniwersytecie Lwowskim Katedry Radiologii.

W 1914 r. prof. Antoni Cieszyński został wybrany przewodniczącym Związku Stomatologów Lwowskiej Izby Lekarskiej i stanowisko to piastował do roku 1922.

Po wybuchu I wojny światowej zorganizował w Instytucie Dentystycznym we Lwowie placówkę Polskiego Czerwonego Krzyża. Po zajęciu Lwowa przez Rosjan we wrześniu 1914 r. ewakuował się najpierw do Tarnowa, a później do Wiednia, gdzie prowadził oddział chirurgii i traumatologii szczękowej dla rannych żołnierzy oraz poliklinikę dla uchodźców z Polski.

W Wiedniu 13 marca 1915 r. zawarł związek małżeński z Różą z domu Troczyńską, z którą miał troje dzieci: Janinę, Tomasza i Hannę.

W czasie zamachu ukraińskiego na Lwów (1–22 listopada 1918 r.) przebywał we Lwowie, gdzie zorganizował Polską Służbę Sanitarną i punkty opatrunkowe dla rannych w części miasta zajętej przez Ukraińców. Za zasługi w Obronie Lwowa został odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa 1918 oraz Medalem Niepodległości.

W ciągu swojego życia prof. Antoni Cieszyński piastował liczne i odpowiedzialne funkcje. Od 1918 r. do wybuchu II wojny światowej był kierownikiem Instytutu Dentystycznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Był również kierownikiem Katedry Dentystyki UJK i Lwowskiego Państwowego Instytutu Medycyny.



Źródło: Wikipedia

Antoni Cieszyński



Fot. Ryszard Kaluźny

Burmistrz Oleśnicy Jan Bronś i prezes Klubu TMLiKPW Leszek Mulka na oleśnickim Rynku w trakcie grania hejnału, obok w prawo dr B. Bruziewicz, Dziekani i Rektor AM

W roku akademickim 1925/1926 pełnił funkcję dziekana Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza. Piastował stanowisko przewodniczącego Komitetu Narodowego Międzynarodowego Związku Dentystycznego. Był członkiem honorowym wielu towarzystw stomatologicznych na świecie, w tym honorowym przewodniczącym Związku Słowiańskich Stomatologów.

Prof. Antoni Cieszyński posiadał ogromny dorobek naukowy i cieszył się wielkim autorytetem. Ogłosił drukiem 378 prac opublikowanych w 70 czasopismach naukowych na całym świecie w 7 językach. Jego prace obejmowały wszystkie dziedziny stomatologii. Z jego inicjatywy rozpoczęto wydawanie w 1923 r. miesięcznika „Polska Dentystyka” (od 1930 r. pod nazwą „Polska Stomatologia”). Był redaktorem naczelnym „Kwartalnika Stomatologicznego” i „Słowiańskiej Stomatologii”.

W 1936 r. na międzynarodowej konferencji w Brukseli uzyskał Złoty Medal im. Millera za pionierskie zasługi dla światowej stomatologii.

30 czerwca 1941 r. wojska niemieckie wkroczyły do Lwowa. Tuż po wkroczeniu Niemców w nocy z 3 na 4

(Ciąg dalszy na str. 32)

Leszek Mulka

130. rocznica urodzin prof. Antoniego Cieszyńskiego

130 lat temu 31 maja 1882 r. urodził się w Oleśnicy wielki polski lekarz i uczyony, twórca nowoczesnej stomatologii polskiej, prof. Antoni Cieszyński. Był synem Emilii z Chiżyńskich i Tomasza – farmaceuty i powstańca styczniowego. Ojciec Antoniego był prawdopodobnie pracownikiem apteki „Pod Orłem”, mieszczącej się w domu na Rynku 11. W niedługim czasie rodzina opuściła Oleśnicę i przeniosła się do Kłodzka. Tam Antoni rozpoczął naukę w szkole średniej, potem uczył się dalej w gimnazjum klasycznym Marii Magdaleny w Poznaniu, a następnie w gimnazjum w Bydgoszczy, w którym uzyskał świadectwo dojrzałości. Następnie studiował w Monachium i w Berlinie i w 1905 r. uzyskał dyplom lekarza dentysty. W latach 1906–1908 pracował jako starszy asystent Instytutu Stomatologicznego Uniwersytetu w Monachium na Oddziałach: Chirurgicznym,

Dentystyki Zachowawczej i Protetyki Stomatologicznej.

W latach 1905–1911 studiował medycynę i w 1911 r. uzyskał stopień doktora medycyny z najwyższym odznaczeniem *summa cum laude*.

W 1907 r. po raz pierwszy w rentgenologii stomatologicznej zastosował zasadę izometrii, która stanowiła przewrót w tworzącej się radiologii stomatologicznej, pozwalając na wykonywanie na filmie zdjęć RTG zębów o rzeczywistej długości. Był autorem wielu nowych przyrządów i udoskonaleń technicznych, ułatwiających wykonywanie wewnątrzustnych zdjęć RTG oraz pionierem stosowania telerentgenografii. Wspólnie z prof. Janem Czekanowskim zapoczątkował lwowską szkołę antropologii stomatologicznej.

W 1907 r. opracował pierwszy w świecie „Atlas radiologiczny zdjęć dentystycznych”, który został wysta-

4 lipca 2012 roku we Wrocławiu



Przedstawiciele władz miasta, wyższych uczelni Wrocławia, TMLiKPW i mieszkańcy Wrocławia podczas uroczystości na Placu Grunwaldzkim



Poczty sztandarowe wyższych uczelni Wrocławia

Rektorzy wyższych uczelni Wrocławia przed złożeniem wieńców pod Pomnikiem Pomordowanych Profesorów



Delegacja TMLiKPW przed złożeniem wieńców: Danuta Śliwińska, Barbara Bruziewicz-Mikłaszewska, Jerzy Czyżycki i Andrzej Kaminski



Wieniec składają przedstawiciele Zarządu Głównego TMLiKPW: Danuta Śliwińska, Jerzy Czyżycki i Andrzej Kaminski

Delegacja TMLiKPW składa wieńce w towarzystwie Zdzisława Piwko, Czesława Filipowskiego i Szczepana Siekierki



Fotografie – Adam Zadrzywlski

(Ciąg dalszy ze str. 29)

lipca 1941 r. prof. Antoni Cieszyński został aresztowany przez żołnierzy ukraińskiego batalionu „Nachtigal” razem z innymi 22 polskimi profesorami wyższych uczelni Lwowa i grupą osób najbliższych – łącznie 44 osoby. Zostali oni rozstrzelani o świcie 4 lipca 1941 r. na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Największe straty poniósł Wydział Lekarski Uniwersytetu Jana Kazimierza – zginęło 12 profesorów. Winni tej zbrodni nigdy nie zostali osądzeni, a wszczęte sprawy zostały umorzone „z powodu niewykrycia sprawców”.



Fot. Edward Niczpor

Delegacje z kwiatami. Z prawej rodzina Profesora, obok prezes ZG TMLiKPW Andrzej Kaminski i sekretarz ZG Jerzy Czyżycki



Fot. Edward Niczpor

Tablica poświęcona prof. Antoniemu Cieszyńskiemu na budynku apteki „Pod Orłem”

W 1967 r. staraniem prof. Tadeusza Owińskiego i lekarza stom. Zbigniewa Zielińskiego na kamienicy w Ryńku pod nr 11 w Oleśnicy, gdzie urodził się Profesor Antoni Cieszyński, została umieszczona tablica upamiętniająca zasługi Profesora.

Z okazji 130. rocznicy urodzin prof. Cieszyńskiego odbyły się w Oleśnicy uroczystości poświęcone Jego

pamięci. Patronat Honorowy nad obchodami tej rocznicy objęli: Burmistrz Oleśnicy Jan Bronś i Starosta Powiatu Oleśnickiego Zbigniew Potyrała.

Uroczystości rozpoczęło spotkanie w Sali Rycerskiej Zamku Piastów Oleśnickich z udziałem rodziny



Fot. Edward Niczpor

Sztandary oleśnickich szkół na uroczystości

prof. Cieszyńskiego. W spotkaniu udział wzięli znakomici goście z Wrocławia: JM Rektor Akademii Medycznej prof. Marek Ziętek, dziekan Wydziału Lekarsko-Stomatologicznego prof. Beata Kawala i prodziekan prof. Wiesław Kurlej, wiceprezes Dolnośląskiej Izby Lekarskiej dr Andrzej Wojnar, przewodnicząca Komisji Historycznej DIL dr Barbara Bruziewicz-Mikłaszewska i przewodnicząca Komisji Stomatologicznej Alicja Marczyk-Felba. Także Prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Andrzej Kaminski i Sekretarz Zarządu Głównego Jerzy Czyżycki.

Obecni byli przedstawiciele władz miasta i powiatu: burmistrz Oleśnicy Jan Bronś, wicestarosta Sławomir Pytel, przewodniczący Rady Powiatu Walerian Pietrzak oraz proboszcz parafii św. Jana Apostoła i Ewangelisty ks. inf. Władysław Ozimek.

W spotkaniu uczestniczyli dyrektorzy instytucji kulturalnych i oświatowych Oleśnicy, dyrektorzy oleśnickich szkół i oleśnicy stomatolodzy, a wśród nich nestor oleśnickich stomatologów Zbigniew Zieliński.

Interesującą prelekcję na temat życia i działalności naukowej prof. Antoniego Cieszyńskiego, ilustrowaną mało znanymi zdjęciami z okresu lwowskiej działalności Profesora, wygłosiła dr Barbara Bruziewicz-Mikłaszewska. Wnuczka profesora pani Krystyna Stec podzieliła się rodzinnymi wspomnieniami o Profesorze. Spotkanie zakończył koncert uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej w Oleśnicy. Następnie uczestnicy spotkania udali się na oleśnicki Rynek, aby w otoczeniu pocztów sztandarowych oleśnickich szkół i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Dolnośląskiej Izby Lekarskiej, oleśnickich szkół i instytucji, a także osoby prywatne. Duże wzruszenie wywołały składające kwiaty dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2.

Uroczystości zorganizowali: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Towarzystwo Przyjaciół Oleśnicy, Dolnośląska Izba Lekarska. W skład Komitetu Organizacyjnego wchodził: dr Barbara Bruziewicz-Mikłaszewska, Małgorzata Iwarska prezes Towarzystwa Przyjaciół Oleśnicy, Leszek Mulka członek Zarządu Głównego TMLiKPW i Jacek Wojtkowicz szef oleśnickich stomatologów. Chcieli oni w ten sposób złożyć hołd wielkiemu polskiemu uczonemu, twórcy stomatologii polskiej i jednemu z jej światowych pionierów. Wielkiemu Polakowi i patriocie. Oleśniczanowi z urodzenia, lwowianinowi z wyboru.

Profesor Antoni Cieszyński swoje życie poświęcił pracy badawczej nad nowymi drogami stomatologii w służbie Narodowi Polskiemu i całej ludzkości, a Jego dewizą życiową było *Salus Poloniae suprema lex esto* – *Dobro Polski niech będzie najwyższym prawem*. □

Mieczysław Kowal Święto ułanów w Rzeszowie

W sobotę 23 czerwca 2012 r. w kościele wojskowym, pw. Matki Bożej Królowej Polski w Rzeszowie, odprawiono uroczystą Mszę św. z okazji rozpoczęcia obchodów święta 20 Pułku Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego. Na początku Mszy św. ks. płk Tomasz Anisiewicz – proboszcz parafii Garnizonowej w Rzeszowie i kapłan Garnizonu Rzeszów powitał wszystkich zgromadzonych na tej uroczystości i zaznaczył, że od dawna 20 Pułk Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego, który stacjonował w Rzeszowie i korzystał z tego kościoła przyczyniając się do remontu i upiększając go poprzez ufundowanie pięknego witraża.



Przed tablicą – składanie wieńców i zbiórka ułanów z różnych stron województwa podkarpackiego

Dzisiaj pamiętamy o tych ułanach, którzy zmarli i polegli na polach różnych bitew. Dzięki tradycji tych Ułanów pamięć tego pułku trwa po dziś dzień, bo inaczej po tych ludziach pozostałyby tylko pamiątkowe tablice – powiedział ks. proboszcz.

W homilii ks. Artur Michalski – wikariusz z parafii pw. Znalezienia Krzyża Świętego z Brzostku przypomniał historię tego pułku i zachęcił zebranych do kultywowania tej pięknej tradycji. Tradycja to nie tylko piękne mundury i piękne uroczystości, ale to przede wszystkim odpowiednia postawa, która zmusza do konkretnego zachowania i kierowania się w życiu tymi najważniejszymi wartościami, jakimi są Bóg, Honor i Ojczyzna – zaznaczył ks. Michalski.

Po Mszy św. odbyły się Apel Pamięci z salwą honorową oraz złożenie kwiatów pod tablicą upamiętniającą żołnierzy, podoficerów i oficerów 20 Pułku Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego. Następnie udano się na teren jednostki wojskowej przy ul. Dąbrowskiego, gdzie

miął miejsce okolicznościowy Apel Wojskowych. Gości prowadziła nasza orkiestra wojskowa Garnizonu Rzeszowskiego. O godz. 14.00 na stadionie Podhalańczyka rozpoczął się Piknik Kawaleryjski z musztrą paradną oraz pokazami koni i jeźdźców. Historia 20 Pułku Ułanów jest rozległa i bardzo ciekawa, w przyszłości należałoby ją ukazać.



Poczet sztandarowy 20 Pułku Ułanów podczas Mszy św. w kościele



W cywilu gen. Czekaj, ks. proboszcz i dowódca 20 Pułku Ułanów

Obecnie tradycje 20 Pułku Ułanów im. Króla Jana III Sobieskiego kultywuje Szwadron Podkarpacie, który skupia miłośników kawalerii z całego województwa podkarpackiego. Dowódca szwadronu Jan Urban podkreślił, że ułanów i kawalerię zawsze otaczał szacunek społeczeństwa. Tradycja kawaleryjska przetrwała trud-

ne czasy, m.in. dzięki rodzinom żołnierzy 20 Pułku Ułanów i pasjonatom, którzy ją kultywowali.

Nieżyjący Michał Zaczekowski ze Szczerzec-Lany koło Lwowa był ułanem i pomocnikiem weterynarza, opowiadał dużo o koniach, ich charakterach. Koń był zawsze niezastąpiony, nie tylko w górach, ale i na równinach ziemi lwowskiej i Podola, ziemi lwowskiej szczególnie wiosną, gdy wody z pól i łąk nie spłynęły cał-

kiem, a ułani musieli się przemieszczać dniem i nocą po kilka kilometrów w lesie, w polu, przez rzeki i po drogach, gdzie żaden pojazd nie będzie się poruszał. Koń i dzisiaj staje się wartościowy i jest bardzo potrzebny, gdy traktory w polu grzęzną, a paliwo jest coraz droższe, że nie opłaca się ziemi uprawiać. Sytuacja w rolnictwie staje się krytyczna – mówią rolnicy. □

Janusz Sekulski

Pamięci pomordowanych profesorów

Z inicjatywy gnieźnieńskiego oddziału TMLiKPW uczczono pamięć lwowskich profesorów w 71. rocznicę ich bestialskiego mordu. Mszy św. koncelebrowanej w kościele rektorskim pw. św. Jana w Gnieźnie w dniu 1 lipca br. przewodniczył kapelan Prymasa Polski ks. Tadeusz Gerlach. Do licznie zebranych członków Towarzystwa, przyjaciół i sympatyków oraz mieszkańców Gniezna homilię wygłosił ks. prałat dr Kazimierz Kociński, który przypomniał wydarzenia tamtych tragicznych dni.

Podczas Mszy św. czytania głosili członkowie oddziału Towarzystwa Marian Kaźmierczak i Janusz Sekulski.

Prezes Janusz Sekulski zwrócił się do władz gnieźnieńskich wyższych uczelni Gniezna, miasta już akademickiego, aby wzorem innych miast akademickich upamiętnili pomordowanych profesorów choćby skromną tablicą w murach którejś z uczelni.

Niechciana pamięć, zakłamaną prawdą

Gnieźnieński oddział TMLiKPW nie zapomniał o zbrodni na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej dokonanej przez banderowską frakcję Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i stworzoną przez nią Ukraińską Powstańczą Armię. Kresowianie spodziewali się, że w III RP nastąpi odsłonięcie przed społeczeństwem wszystkich pomijanych i zakłamanych kart naszej historii. Władze są niechętne pomnikom ofiar i tablicom pamięci, utrudniają upamiętnienia. Nie możemy pozwolić, aby dla społeczeństwa polskiego martyrologia kresowa była okrojona, zawężona. Potrzeba ogromnego zaangażowania społecznego, aby przekonywać, że nie wolno deptać godności ofiar ani przez przemilczanie, ani zakłamywanie. Ofiarom za polskość należy się właściwe miejsce w świadomości polskich obywateli. Nie może przeważać koncepcja polityczna, wedle której Polska, aby skutecznie rywalizować z Rosją o Ukrainę, aby związać ją z Europą, powinna pomijać sprawy drażliwe w polsko-ukraińskiej historii.

Organizując uroczystości doświadczyłem oporów ze strony regionalnych mediów. Poproszony przeze mnie redaktor jednej z gazet odpowiedział, że chętnie przyjdzie, ale nie wie, czy szefowa gazety pozwoli na wydrukowanie artykułu. I nie przyszedł. Dopisała jedynie telewizja regionalna, ale nie jestem pewien, czy nagrany materiał zostanie przedstawiony. Wysyłałem maile do władz powiatu i mediów, uruchomiłem telefony, ale

odzew był znikomy. Obecny na uroczystości złożył kwiaty jedynie przedstawiciel starosty oraz radna miejska, zresztą małżonka członka naszego oddziału.

Podczas wieczornej Mszy św. modliliśmy się za pomordowanych na Wołyniu i w Polsce południowo-wschodniej. Po Mszy św. zebrani przeszli pod Krzyż Pamięci. Do zgromadzonych przemówiłem (zabrakło wprowadzie nagłośnienia, ale mam donośny głos) w spokojnym tonie.



Prezes Janusz Sekulski z wnuczkami Julią i Nadią

„Zebraliśmy się dzisiaj, aby uczcić pamięć ofiar zbrodni popełnionej na ludności Wołynia i Południowo-Wschodnich Kresów II Rzeczypospolitej przed 69 laty przez nacjonalistów spod znaku Organizacji Nacjonalistów Ukraińskich (OUN) i band UPA oraz częściowo z rąk ludności ukraińskiej. W naszym oddziale są świadkowie tamtych tragicznych wydarzeń, którym udało się ocalić z pogromu, łączy nas wszystkich PAMIĘĆ! Na oczach wówczas ośmioletniej Stasi Mogielnickiej zamordowano jej dwie młodsze siostrzyczki i matkę. Jej i ojcu udało się uciec poprzez pola porośnięte zbożem. Kiedy mordowani są bezbronni, niewinni cywile – kobiety, dzieci – rodzi się sprzeciw, nasze sumienia nie mogą pozostawać obojętne. Moralna uczciwość wymaga od nas powiedzenia NIE! – NIE ZGADZAMY SIĘ!

Żadne polityczne racje tego nie usprawiedliwiają, nie mogą usprawiedliwiać. Prawda o tragedii wołyńskiej powinna być ujawniona nie tylko w Polsce, ale przede wszystkim na Ukrainie oraz poddana osądowi moralnemu współczesnego pokolenia. Nie możemy zapomnieć o bólu ludzi, którzy przeżyli straszną tragedię i stracili bliskich.

Dzień 11 lipca 1943 roku zapisał się szczególnie tragicznie, wtedy w ok. 100 miejscowościach mordowano Polaków narzędziami gospodarskimi, siekierami, toporami. W Porycku banderowcy UPA zamordowali podczas Mszy św. dwustu Polaków z księdzem proboszczem Bolesławem Szawłowskim odprawiającym wówczas Mszę św. Kościół spalono.

Apeluję do władz miasta i powiatu, aby uczcić pamięć ofiar ludobójstwa na Wołyniu w przyszłym roku w 70. rocznicę mordu.

Janusz Sekulski

Gloria Victis. Chwała Zwyciężonym

Na drugi dzień po zebraniu sprawozdawczo-wyborczym przypada 1 sierpnia – 68. Rocznica Wybuchu Powstania Warszawskiego. Gnieźnieński Oddział TMLiKPW od kilkunastu lat wspólnie z harcerzami jest organizatorem uroczystości w Gnieźnie. Tak było i w tym roku. Przed godz. 17.00 – godziną „W” – przed Pomnikiem Ku Czcii Poległych i Pomordowanych Harcerzy Ziemi Gnieźnieńskiej na Skwerze Orłąt Lwowskich zebrali się biorący udział w uroczystości. Kiedy ucichł głos syren zebrani odśpiewali Hymn Narodowy. Do zebranych przemówił instruktor harcerski przypominając heroizm powstańców warszawskich. Wśród walczących i poległych w powstaniu było też wielu kresowian. Następnie modlitwę odmówił kapelan harcerzy.

Po modlitwie delegację złożyły kwiaty i zapaliły znicze. Hymn harcerski i krąg „bratnie słowo daję, że pomagać będziemy wzajem” zakończyły krótką uroczystość. Niestety podobnie jak przed laty zabrakło delegacji władz miasta czy starostwa.

Nie oskarżamy narodu ukraińskiego. Postaramy się patrzeć na przeszłość w taki sposób, aby przyszłe pokolenia Polaków i Ukraińców mogły żyć bez wzajemnych uprzedzeń i nieufności.

Nie pozwolimy jednak na to, aby nacjonaści ukraińscy potajemnie stawiali miejsca upamiętniające zbrodniarzy spod znaku UPA i Bandery.

Oddział nasz wystąpi z apelem do Sejmu RP o ustanowienie przez Sejm 11 lipca Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich II RP.” □



Przy Pomniku Harcerskim, na Skwerze Orłąt Lwowskich stoją (od lewej): Stanisław Konieczny, jego wnuk i Janusz Sekulski, członkowie TMLiKPW

Józef Pieluszcak

Lato w gorzowskim Towarzystwie Miłośników Lwowa

Uff, jak gorąco i te burze przechodzące nad krajem. W Gorzowie tymczasem młodzież z Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w dniu 10 lipca pomimo wakacji ustawiła znicze pod tablicami ku czci pomordowanych przez bandy UPA, w kościele pw. Maksymiliana Marii Kolbe. Delegację przewodniczył nauczyciel pan Robert Andrzejewski. To bardzo ważne, że młodzi ludzie pamiętają o tej tragicznej dla naszego narodu rocznicy.

W kilka dni później, 14 lipca wyjechała z Gorzowa 45-osobowa grupa miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w sentymentalną podróż na Kresy. Zaiste, podróż to sentymentalna, bo wśród ludzi starszych byli też bardzo młodzi, zainteresowani miejscami, skąd wywodzili się ich dziadkowie. To bardzo interesująca forma odwiedzin miejscowości, skąd 67 lat temu zmuszeni byli do opuszczenia swych stron rodzinnych dziadkowie i rodzice wycieczkowiczów. Trasa naszej eskapady wiodła przez Drohobycz, Stanisławów, Jaremcze, Kołomyję, Kamieniec Podolski, Trem-

bowłę, Tarnopol, Krzemieniec, Począjów, Olesko i Lwów. Aż cztery rodziny zdecydowały się na odwiedzenie rodzinnych stron swych dziadków. W praktyce wyglądało to w sposób następujący. Kiedy grupa przybywała autokarem do większej miejscowości ludzie ci wynajmowali taksówki, które wiozły ich do często małych miejscowości. Tam robili rozeznanie, dokumentację fotograficzną, rozpytywali miejscowych starszych ludzi, czy pamiętają tamte czasy i tamtych ludzi. Spotykali się zazwyczaj z życzliwością tubylców, którzy udzielali bardzo dokładnych wypowiedzi po polsku. Być może ta forma odnajdywania korzeni swoich przodków zostanie zaakceptowana i stanie się użyteczną w przyszłości dla osób biorących udział w wycieczkach, a przy okazji pragnących odwiedzić miejsce urodzenia babci, czy dziadka. Sama wycieczka to klasyk w gatunku wycieczek na Kresy Południowo-Wschodnie. Program był niezwykle bogaty i co najważniejsze udało się go w całości zrealizować. Na początek, w Drohobyczu spotkanie z dyrektorem Adamem Chłopkiem w Ogólno-

ukraińskim Centrum Koordynacyjno-Metodycznym Nauczania Języka Polskiego i Kultury Polskiej, gdzie nasza grupa zasilila potrzeby Centrum kwotą 607 zł zebranych wśród wycieczkowiczów. Wzruszony pan dyrektor pokazał kilka ciekawych miejsc charakterystycznych dla tego pięknego miasta, przedwojennej stolicy zagłębia ropy naftowej i gazu ziemnego. Stanisławów powitał nas piękną słoneczną pogodą, a oficjalnego przyjęcia nas w gościnnych progach domu noclegowego dokonała pani Wanda Ridosz, która zadbała, aby cała nasza grupa czuła się jak u siebie w domu. Podziwialiśmy więc piękne miasto, robiąc także wypad do Jaremcza i Bukowela, aby z wyciągu krzeselkowego oglądać piękno terenów znanych z piosenki „Czerwony pas”. Rzeczywiście, słyszeliśmy szum rzeki Prut zwiedzając targ huculski. Żal było wyjeżdżać, ale musieliśmy przecież zawitać do Kołomyi, aby do Muzeum Pisane darować nasze polskie pisanki, które kto wie, czy nie były ładniejsze od tych eksponowanych.

Po zwiedzeniu także Muzeum Huculszczyzny udaliśmy się przez Czerniowce do znanych z sienkiewiczowskich opisów miejscowości Chocimia i Kamieńca Podolskiego. Szczególnie ten ostatni urzekł wszystkich swoim pięknym położeniem, a gościnność siostr Urszulanek i niezwykle dobre warunki noclegowe sprawiły, że wypoczęci mogliśmy rano zwiedzać to urokliwe miasto z licznymi śladami polskości. I ponownie szkoda było opuszczać Kamieniec Podolski, ale przed nami daleka droga do Krzemieńca przez Czortków, Trembowłę, Tarnopol, Zbaraż i Wiśniowiec. Oczywiście, aby pokazać piękno odwiedzanych miast, bo jak nie podziwiać urokliwych kamieniczek w Trembowli, pięknej bryły teatru w Tarnopolu, czy zabezpieczonych ruin zamku w Zbarażu. Krzemieniec, miasto Juliusza Słowackiego powitał nas atrakcją w postaci noclegu w polskich rodzi-

nach. Wyglądało to tak, jak „targ niewolników”, bowiem poszczególne rodziny, wyposażone w samochody, deklarowały gotowość goszczenia nas. „Ja biorę trzy pannie, a ja czterech panów”. U mnie też mogą przenocować cztery osoby. Może być małżeństwo i jeszcze dwie pannie”. W ten sposób znaleźliśmy się w prywatnych domach, gdzie czekało nas niezwykle gościnne, serdeczne przyjęcie z obfitą kolacją, smacznym śniadaniem i ogromnymi wrażeniami, których nie dostarczyłby nam żaden hotel. Rano pełni wrażeń przybyliśmy na plac zbiórki przy kościele, gdzie chrzczony był Juliusz Słowacki. Po Krzemieńcu oprowadzał nas wynajęty przewodnik. Oczywiście żelaznym punktem programu było odwiedzenie Muzeum Juliusza Słowackiego. Następnie udaliśmy się do Poczajowa, aby podziwiać piękno architektury sakralnej w odpowiednich ubiorach. Trzeba było bowiem zakryć ramiona i nogi, a u pań także włosy. Przed wjazdem do Lwowa mieliśmy okazję zwiedzenia jeszcze Zamku w Olesku z galerią obrazów i innymi licznymi atrakcjami. Z Oleska w kierunku Lwowa jechaliśmy autostradą. Tak, tak, to nie pomyłka. Dwa pasy ruchu w jedną stronę, pas zieleni oraz dwa pasy ruchu w kierunku przeciwnym. Czy to Ukraina? Im też bardzo dużo dało „Euro 2012”. We Lwowie zamieszkaliśmy w pięknym Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym Archidiecezji Lwowskiej. Stąd wyruszyła pani Jadwiga Walocha w towarzystwie księdza Olka Salomona do kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny na Winnikach z ręcznie wyhaftowanym przez panią Izabelę Kucharską ze Żnina wizerunkiem Jezusa Miłosiernego na kilimie o wymiarach 80 x 50 cm. To kolejna misja pani Jadwigi mająca na celu tym razem wyposażenie kościoła w jej rodzinnej parafii, a członek naszego Towarzystwa pan Antoni Białkowski, pochodzący z parafii na lwowskich Winni-

kach, darował podobnych rozmiarów wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, który pani Jadwiga także dostarczyła na miejsce przeznaczenia.

My wszyscy, pod przewodnictwem zawodowego przewodnika, pani Jadwigi Smirnow, zwiedzaliśmy Lwów. Bogaty program zwiedzania tego pięknego miasta zakończony został uroczystą kolacją z zaproszoną lwowska kapelą „Wesoły Lwów” pod kierunkiem pana

Zbigniewa Jarmilko. Kapela grała tak skocznie i wesoło, że przybył do nas na pewien czas, przebywając we Lwowie, pan Jan Maria Rokita z żoną Nelly. W ostatni dzień pobytu we Lwowie przyroda uroniła kilka łez, pewnie z żalu za tak wspaniałą grupą, której w tym miejscu pragnę podziękować za zdyscyplinowanie i stworzenie niezwykle przyjaznej atmosfery. Z taką grupą warto jeszcze niejednemu raz odwiedzić Lwów i Kresy. □

Janusz Sekulski

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze oddziału w Gnieźnie

We wtorek 31 lipca br. gnieźnieński oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich odbył zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Oceniono działalność zarządu za minioną czteroletnią kadencję i nakreślono zadania na następne cztery lata. Jak już od ponad 18 lat głównym zadaniem Towarzystwa jest pomoc Polakom mieszkającym na Ukrainie w Parafii Rzymskokatolickiej w Strzelczyskach, dla Domu Sióstr Służebniczek Śląskich w Krasowicach oraz dla będących pod opieką gnieźnieńskiego oddziału rodzin we Lwowie.



Prezydium zebrania. Od prawej: Janusz Sekulski, Marian Kaźmierczak, Grzegorz Kamieniarz

Do Towarzystwa należą również Kresowiaczy pochodzący z okolic Wilna i Grodna, dlatego w miarę możliwości oddziału utrzymywany jest kontakt z Polakami z tamtych terenów.

Podkreślono ogromną wagę, jaką przywiązuje oddział do utrwalania pamięci narodowej organizując corocznie uroczystości w rocznice Mordu Katyńskiego, napaści Rosji Sowieckiej na Polskę, rocznice Obrony Lwowa, Mordu na Wołyniu i Kresach II Rzeczypospolitej, czy Mordu Profesorów Lwowskich. Członkowie Towarzystwa pamiętają również o rocznicach Powstania Warszawskiego 1 sierpnia, Powstań Śląskich oraz Powstania Wielkopolskiego 1918/1919 jako drugiego zrywu Polaków.

W dyskusji podkreślono coraz większe kłopoty z pozyskaniem darczyńców, chociaż od wielu lat są firmy czy osoby, które nie odmawiają pomocy.

Corocznie duży kłopot nasuwa wypożyczenie pojazdu (busa) niezbędnego dla dowozu na Ukrainę zebranych darów.

W głosowaniu jawnym dokonano wyboru zarządu oddziału i komisji rewizyjnej. Skład zarządu został zmieniony w ok. 60%. Na kolejną już piątą kadencję funkcję prezesa powierzono Januszowi Sekulskiemu. Wiceprezesem został Marian Kaźmierczak. Przewodniczącą Komisji Rewizyjnej została Grażyna Jankowska, a delegatem na Zjazd Krajowy Towarzystwa Marian Kaźmierczak.

Zarząd Oddziału składa podziękowania panu Arturowi Babikowi szefowi „LARGO” za przygotowanie sali obrad, szczególnie dekoracji z elementami herbu Lwowa i napisem „Semper Fidelis”.

Na koniec uczestnicy zebrania podjęli uchwałę skierowaną do Sejmu, Senatu i partii reprezentowanych w Sejmie o ustanowienie dnia 11 lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian. □

Jan Tomaszewski

Wspomnienia kresowe

Wielu starszych Kresowiaków często wraca myślami do swoich rodzinnych miejscowości na Kresach Wschodnich. Realia II wojny światowej tak zrzuciły, że Polacy z Kresów Wschodnich musieli opuścić swoje rodzinne miejscowości i zostali przesiedleni na Ziemię Odzyskane. Często swoje domostwa opuszczali w wielkim strachu, bo groziła im śmierć ze strony ukraińskich nacjonalistów. Uciekali ukradkiem ze swoich domów, czasem tylko z podręcznym bagażem. Mniej zagrożonym Polakom udawało się zabrać ze sobą trochę więcej ocalałego dorobku.

Przesiedleńcy z wielkim bólem rozstawali się ze swoim dorobkiem materialnym i kulturowym, a szczególnie z pozostawionymi kościołami i innymi świętościami, z którymi byli tak mocno zżyci. Mimo różnych trudności związanych z przesiedleniem zabierali ze sobą przedmioty kultu religijnego z miejscowych kościołów. W ten sposób do Polski w granicach powojennych przedostało się ponad 140 łaskami słynących obrazów Matki Bożej, wiele figur świętych oraz innego mienia kościelnego. Nieraz z wielkim trudem i niebezpieczeństwem trzeba było przechowywać te świętości i przewieźć do Polski. Nic też dziwnego, że te świętości mają nadal tak wielkie znaczenie dla przesiedlonych i ich potomków.

Obrazy święte i figury spełniają nadal wielką misję kultową, ale też są motywem łączności przesiedlonych,



którzy znaleźli się w różnych miejscowościach naszego kraju, a także poza jego granicami. Spotkania takie odbywają się w miejscowościach, gdzie znajdują się obecnie cudowne obrazy kresowe Matki Bożej. Najczęściej spotkania takie odbywają się w dni patronalne lub święta odpustowe. Spotkania te są już tradycyjne i odbywają się nadal, chociaż zmniejsza się ilość Kresowian, którzy tak szybko odchodzą, ale pocieszające jest, że ich potomkowie spotkania te kontynuują.

Wielu Kresowian swoje przeżycia przekazuje potomnym, a niektórzy słuchacze bardzo je przeżywają. Tak np. babcia rodem z Buszcze, woj. tarnopolskie, opowiedziała historię cudownego Obrazu Matki Bożej Buszczackiej swojej wnuczce, która po głębokim przeżyciu tej opowieści napisała poniższy wiersz:

Kresowe Madonny

Nie mają dziś swoich domów
Schronienia użyczyła im inna ziemia
Tak jak matki z domu wygnane
Poniewierane, zapomniane
Pod kurzem historii, gdzieś odnalezione
Dziełem przypadku ocalone

Bez pereł, rubinów, złotej korony
Dobrytek życia ograbiony
Zamiast złotej szaty
Nieraz nędzne łachmany
Kawałek tekstury nieco poszarpany

Nasze królowe bez ziemi
Bez drogocennych kamieni
Potajemnie zmieniły adresy
Opuściły swoje kresy

Nieraz upokorzone
W nędznym wagonie skulone
Nasze Kresowe Królowe
W płaszcach z łez ludzkich utkanych
W ikonach czasu schowanych

Dzięką dziś los swoich dzieci
Gdzieś rozproszone po świecie

Na dnie kresowych serc schowane
W babcinym modlitewniku przechowane

Synku nieraz zapytasz:

– Kimże ta królowa?

– Gdzie jej złota korona?

– Bogate ołtarze, barokowe witraże?

Odpowiem ci innym razem

Kiedyś pojedziemy na Kresy

Uklękniemy przed starym kościołem

Przed Kresowej Madonny domem...

Monika Żołnowska Bujak

Madonny Kresowe w nowych miejscach bardzo uroczyscie czczono. Wiele Madonn Kresowych ma już tutaj swoje sanktuaria. W Polsce Zachodniej znalazła się znaczna ilość Madonn Kresowych, gdzie odbywają się uroczyste obchody Dni Madonn Kresowych.

W dniu 11 września 2011 r. odbyła się uroczystość I Opolskie Dni Madonn Kresowych w Wójcicach. Uroczystość ta obok charakteru religijnego nawiązywała także do folkloru kresowego. Główną organizatorką tej uroczystości była pani Anna Ludwa ze Stowarzyszenia Odnowienia Kościoła w Łopatynie im. Jana Cichewicza. Patronat honorowy nad uroczystością objął Marszałek Województwa Opolskiego pan Józef Sebesta.

O Madonnach Kresowych wiele dowiadujemy się z kazań kościelnych, z radia i telewizji oraz literatury na ten temat. Dużym zainteresowaniem cieszą się książki autorstwa Tadeusza Kukiza pt. "Madonny Kresowe i obrazy sakralne". Opisana w siedmiu książkach historia łaskami słynących kresowych obrazów wskazuje jak wielkie przywiązanie żywią do tych świętości przesiedleni Polacy.

Pamięć o kresowych świętościach, ich miejscach pobytu trzeba przekazywać następnym pokoleniom Polaków.

Kresy Wschodnie są nam bliskie, bo tam sięgają korzenie polskości. Tam się Polacy rodzili, pracowali i umierali. Chociaż dzisiaj mieszkają tam inne narodowości, to Polacy tam się rodzili i tam jest ich ojcowizna, o której trzeba pamiętać. □

go bardzo swoją miłością gorącą i impulsywną, a poglaskane w swojej hardej mieszczańskiej dumie przez opis gotowania się do obrony, chciało to miasto, ten lew wśród polskich miast uczcić go tak jak żadne.

Kraków umie czcić zmarłych, Lwów tylko żywych; czyni to takim gestem Wierzyńka, nie trwożąc się królów, z taką serdecznością rycerską i piękną, że tylko serca tego miasta zażądać, a odda swoje serce (...). Przyjęcie Sienkiewicza we Lwowie było urządzone w stylu – sienkiewiczowskim. Nie mógł godniej i wspólnie przyjąć Jana Kazimierza ks. Lubomirski w Lubowli, niż Sienkiewicza przyjął Lwów, lwowskie mieszczaństwo, kolorowe, przy karabelach chodzące, trzęsieniami u kołpaków błyszczące, spinające kontusze guzami wielkich koralu lub turkusów. Gdzie był wówczas taki kontusz w tym arcymieście, wtedy wystąpił do parady razem z niesłychany bogactwem delij i Sobolów arystokracji galicyjskiej. Ale szewc lwowski czy książę Lubomirski, czy Potocki hrabia – byli sobie wtedy równi: miną, gestem i karabelą, a przede wszystkim zupełnie zachłanną miłością do tego, który prostą, uczciwą, a tak cudownie bohaterką duszę tego miasta z kronik wyczytał i na nowo opromienił błyskami armatniego ognia pana Arciszewskiego i słowy swoimi, grzmiącymi jak śpizowa surma Gradywa.

Dzień ten pamiętam jako wielką bajeczną wizję, która mi się na sercu odbija. Byłem sztubakiem, tego dnia jednakże jednym z tysięcznych aktorów wielkiego wspaniałego widowiska, którego bohaterem był Sienkiewicz.

Lwów jest zawsze rojnym ułem, w którym coś się dzieje, bo gorący temperament tego miasta jest zawsze w stanie wrzenia. Cóż się dopiero działo, kiedy miał w gród ten wjechać imć pan Sienkiewicz, hetman bez buławy, wojownik wielki, choć bez miecza! Oszalała na polu dusza Lwowa. Jeśli tak rzecz można: miasto dostało gorączki i wypieków. Ale też urządziło przyjęcie – miły Boże! Kwiaty, dywany, festony, bramy tryumfalne – to nic. To każdy urządzić potrafi. Ale żeby do białości rozpalic duszę miasta, to tylko Lwów potrafi. Życie całe stanęło, właściwie za wyszło na ulicę, w domu zostali chyba tylko ciężko chorzy. Sienkiewicz miał przyjechać o ósmej wieczorem – od trzeciej zaś wzdłuż ulic stał tłum, głowa przy głowie. A u brzegu, tworząc szpalery nieskończonej długości, stały najdumniejsze w tej chwili istoty na świecie – my, sztubaki w mundurkach, zde nerwowani, przejęci, a dostojni i marsowi, w trosce wielkiej, aby był porządek, aby nas tłum nie złamał i nie zepsuł linii. Mądrzy ludzie nas tam postavili; niech ujrzysz tych, co temu miastu w sercach chłopięcych przysięgli miłość dożgonną.

O godzinie ósmej padł na miasto głęboki mrok. Tłum szemrał jak spokojne morze. Nagle zakolysał, bo tam w oddali coś się stało. Dreszcz stu tysięcy ludzi zdobył się wreszcie na jedno słowo: „Przyjechał!” Wtedy się stało coś dziwnie pięknego: tysiąc czy dwa tysiące młodzieży zapaliło pochodnie smolne, krwawe, błyskotliwe, migające i syczące: dodawszy do tego ten blask, który bił z młodych rozognionych oczu, można sobie wyobrazić, jak się stało jasno na wielkiej ulicy, wiodącej od dworca kolei. Efekt był jak z bajki, niewidziany. Ale nawet w bajce chór największy olbrzymów nie wydaje takiego grzmotu z gardzieli, jak ten grzmot okrzyków, który wystrzelił piorunem z chmury tłumy, krwawo oświetlonej pochodniami. Głos ten potężny, urodzony gdzieś w oddali, zaczął się toczyć

jak lawina i grzmiał coraz wspanialszy. Gwiazdy poczęły drżeć przerażone. A to Lwów krzyczał: „Niech żyje!”

W ten szal burzy, w ten krzyk radości, w to huczne morze wjechał Sienkiewicz. Siedział w powozie z jakimiś pięknymi Polakami w kontuszach; dwa siwe araby w zaprzęgu wyrzucały dumnie głowami i tańczyły pięknie, jakby wiedząc, kogo wiozą. Sienkiewicz się uśmiechał jakoś dziwnie, rzewnie i tak, jakby się tym uśmiechem ratował od łez. Kłonił wciąż głowę i ręką posyłał pozdrowienia. Kiedy nas mijał powoli, płuca dobyły z siebie ostatka sił. Nikt nikomu za żadną cenę nie chciał się dać przekrzyczeć, bo jakżeż inaczej mógł lichy sztubak okazać mu swą miłość, większą niż miłość Bohuna do Heleny.

Tłum się chwiał, wyl, szalał, wołał, klaskał, huczał i grzmiał; matki podnosiły dzieci na ręce, starcy patrzyli z zachwytem. Dusza Lwowa była szczęśliwa, pyszna, dumna i wniebowzięta.

Miasto huczało tak do późnej nocy; tłumy ludzi, które niedawno machały ręką na szacha perskiego oczekiwanego tylko przez wyrostków przed hotelem, nie ustępowały sprzed okien Sienkiewicza.

Wspaniale się potem odbyły uroczystości, o których nie wiem, gdyż nie potrzeba było przy nich trzymać pochodni; w żakowskiej duszy został na zawsze tylko ten obraz: morze światła, siwe, pyszne araby i uśmiech Sienkiewicza.

Warto było przytoczyć piękny opis pióra Kornela Makuszyńskiego tym bardziej, że pozwala on lepiej wczuć się w atmosferę ówczesnego, tętniącego polskością Lwowa. Teraz zaś pora na przedstawienie faktów związanych z wizytą wielkiego powieściopisarza, mistrza słowa polskiego, w Zawsze Wiernym Mieście, faktów, które jak wspominał Makuszyński, nie były mu wówczas znane, a które poznajemy wertując zachowane gazety z tamtych dni.

Jak wspominałem na wstępie, Henryk Sienkiewicz przybył do Lwowa na zaproszenie Towarzystwa Dziennikarzy Polskich (TDP), aby wygłosić odczyt, z którego dochód miał zasilić budżet Towarzystwa. Autor *Trylogii* przyjechał pociągiem pośpiesznym z Krakowa w niedzielę 29 kwietnia 1900 roku, witany już po drodze ze szczególną atencją na dworcach w Tarnowie, Rzeszowie i Przemyśle. Przyjazd do Lwowa nastąpił wieczorem, o godzinie 21.21. Na peronie oczekiwali dostojnego gościa: prezydent dr Godzimir Małachowski, prezydium TDP w składzie Liberat Zajączkowski, Kazimierz Skrzyński i Stanisław Schnür-Peplowski, przedstawiciel Koła Literacko-Artystycznego prof. Balasits i szereg innych osób. Sienkiewicz wyprowadził z wagonu panowie Skrzyński i Tadeusz Czapelski, po czym przywitał go prezydent, a następnie, wśród owacyjnych okrzyków publiczności „niech żyje!”, udano się do przybranej dywanami i zielenią poczekalni I klasy, gdzie przybytemu wręczono ogromny bukiet kwiatów i nastąpiło przywitanie przez prezesa TDP Zajączkowskiego. Przed dworcem czekał na wielkiego pisarza powóz, którym odjechał do hotelu. Opis przejazdu znamy z pięknej relacji Kornela Makuszyńskiego. Henryk Sienkiewicz zatrzymał się we Lwowie w pierwszorzędnym, jak wtedy mówiono, Hotelu Europejskim przy placu Mariackim 4. Warto wspomnieć, że właściciel hotelu, Szkowron, uważając za wielki dla siebie zaszczyt goszczenie tak znakomitego powieściopisarza, nie przyjął żadnej opłaty za pokój i świadczone usługi.

Iwo Werschler

Henryk Sienkiewicz we Lwowie

W dziejach Lwowa miało miejsce wiele podniosłych wydarzeń. Dziś stopniowo odchodzą one w niepamięć, w miarę jak o polskim Lwowie pisze się coraz mniej, a młode pokolenia pogodziły się z faktem, że leży on poza granicą III RP i już nie pamiętają o roli, jaką to miasto odgrywało w polskiej historii i kulturze. Warto zatem przypominać zdarzenia, które jakże wymownie uzmysławiają nam charakter tego przez wieki z Polską związanego grodu.

Jedno z takich wydarzeń chciałbym przypomnieć. Łączy się ono w szczególny sposób z osobą wybitnego, i zwłaszcza ongiś przez młodzież kochanego autora, którego sześćdziesiąt rocznicę śmierci będziemy wkrótce wspominać. Myślę o Kornelu Makuszyńskim, który w swoich czarujących *Bezgrzesznych latach* po-

zostawił opis powitania, jakie społeczeństwo miasta Lwowa zgotowało swego czasu wielkiemu pisarzowi narodowemu, Henrykowi Sienkiewiczowi.

A było to w 1900 roku, kiedy wielki i podziwiany przez cały nasz naród powieściopisarz przybył do Lwowa na zaproszenie Towarzystwa Dziennikarzy Polskich. Przypomnienie pobytu autora *Trylogii* we Lwowie zaczniemy zatem od przytoczenia opisu jego powitania, jaki wyszedł spod pióra Kornela Makuszyńskiego. Późniejszy autor *Uśmiechu Lwowa*, podówczas szesnastoletni gimnazjalista, tak wspominał po latach tamto wydarzenie:

Tego roku po raz pierwszy w życiu ujrzałem Henryka Sienkiewicza, kiedy zjechał do Lwowa. Lwów bowiem, miasto jak brylant wprawione w *Trylogię*, miłował

Pierwszy dzień pobytu autora *Trylogii* we Lwowie rozpoczął się śniadaniem u namiestnika Galicji hrabiego Leona Pinińskiego, skąd następnie udał się do Ratusza, gdzie w wypełnionej po brzegi sali wygłosił odczyt pt. „Bitwa pod Grunwaldem”. Odczyt ten stanowił punkt kulminacyjny pobytu Henryka Sienkiewicza we Lwowie. Jak zanotowano w Kronice *Gazety Lwowskiej* „Już od kilku dni oczekiwano tej uczty duchowej z niezwykłą niecierpliwością (...). Wchodzącego prelegenta powitano długotrwałymi oklaskami, a po trwającym ponad godzinę odczycie, zaledwie przebrzmiało ostatnie słowo z ust Sienkiewicza, rozległ się huragan gorących, entuzjastycznych oklasków, posypały się na mównicę ze wszystkich stron Sali kwiaty”. Dochód z odczytu przeznaczony był na cele Towarzystwa Dziennikarzy Polskich. Ponieważ zainteresowanie wystąpieniem wielkiego pisarza było ogromne, Sienkiewicz powtórzył swoją prelekcję w piątek 4 maja, a uzyskany z niej przychód, tysiąc kilkaset koron, zasilił fundusze gromadzone na budowę pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie, odsłoniętego w 1905 roku.

Po odczycie i obiedzie spożytym w kółku przyjaciół u państwa Adamostwa Krechowickich, gdzie wysłuchano też recitalu fortepianowego „wybornej artystki-amatorki” Marii Jokiszówny, udał się Sienkiewicz na raut urządzony w Kole Literacko-Artystycznym mieszczącym się w budynku przy ulicy Kopernika 1. Wielką salę oraz przyległe pomieszczenia pięknie udekorowano. Na głównej ścianie Sali umieszczono płaskorzeźbę z podobizną autora *Krzyżaków* otoczoną wieńcem laurowym. W trzech bocznych pokojach urządzono „gustowny bufet i cukiernię”, a na werandzie grała orkiestra 30 pp – pułku „Lwowskich Dzieci”, pod batutą kapełmistrza Rolla. Sienkiewicza powitał wiceprezes Koła Balasits wraz z całym wydziałem, a jego córka wręczyła pisarzowi piękny bukiet kwiatów. Wśród wielu distinguished gości rautu wymienić trzeba: Leonarda Pięta – ministra do spraw Królestwa Galicji przy rządzie wiedeńskim, namiestnika Pinińskiego, marszałka krajowego Stanisława hr. Badeniego, prezydenta Wyższego Sądu Krajowego Aleksandra Tchorznickiego, wiceprezydenta Dyrekcji Skarbu Witolda Korytowskiego, prezydenta miasta Lwowa Godzimira Małachowskiego i jego zastępcę – Michała Michalskiego, oraz rektora Uniwersytetu Lwowskiego – Władysława Abrahama, któremu towarzyszyło grono wybitnych uczonych. Obecni byli także: dyrektor teatru lwowskiego Tadeusz Pawlikowski i dyrektor Konserwatorium, muzyk i kompozytor – Mieczysław Sołtys. Ponadto w rauce uczestniczyli posłowie Sejmu Galicyjskiego, a także literaci, artyści, dziennikarze, lekarze, adwokaci oraz przedstawiciele „innych zawodów i stanów”. Tak liczne grono wybitnych osobistości dowodzi, jak wielką sławą i uznaniem Polaków cieszył się już wówczas nasz genialny mistrz pióra. Podczas rautu wręczono Sienkiewiczowi autograf wiersza nieżyjącego już Jana Lama – powieściopisarza i satyryka galicyjskiego, poświęcony autorowi *Trylogii*, a napisany przed dwudziestu kilku laty. Wiersz ten był dotąd własnością publicysty i posła sejmowego Tadeusza Romanowicza. Sienkiewicz opuścił raut po północy, ale w salonach Koła „gwarno było i rojno do białego dnia”.

We wtorek 1 maja udał się Sienkiewicz do gmachu Sejmu Galicyjskiego, aby złożyć przysłuchiwać się jego obradom, po czym wziął udział w urządzonym na jego cześć obiedzie u namiestnika hr. L. Pinińskiego. Tam także witało go znakomite grono distinguished osobisto-

ści, a wśród nich książę Eustachy Sanguszko, prezes Akademii Umiejętności hr. Stanisław Tarnowski, wiceprezes Rady Szkolnej Krajowej, historyk Michał Bobrzyński, oraz filolog i znawca dziejów literatury, autor popularnego podręcznika „Gramatyka języka polskiego” – Antoni Małecki.

W środę natomiast, po śniadaniu u państwa Czapelskich (Tadeusz Czapelski był dziennikarzem współpracującym z pismami lwowskimi i warszawskimi), odwiedził Sienkiewicz marszałka Stanisława hr. Badeniego, u którego podejmowano go obiadem, a wieczorem udał się na kolejny raut, tym razem do lwowskiego Ratusza. Gospodarzem rautu był prezydent Lwowa, dr Małachowski. Na raut „przybyła cała Rada Miejska, dziennikarze, wielu posłów sejmowych i piękny świat lwowski. (...) Znakomity autor stał się punktem środkowym około którego skupiała się cała uwaga zebranych. Sienkiewicz rozmawiał długo z członkami Reprezentacji miejskiej, a następnie zwrócił się w stronę pań, mając dla każdej uprzejme i miłe słowo. Uroczy wieńiec pańien otoczył kołem twórcę tylu poetycznych i świetlanych postaci niewieścich. Był to hold piękności, złożony geniuszowi” – napisał autor Kroniki w *Gazecie Lwowskiej*.

Kolejny dzień pobytu H. Sienkiewicza we Lwowie, czwartek 3 maja, miał także bogaty program. Najpierw wielki pisarz zwiedzał Ossolineum, a następnie złożył wizytę metropolicie obrządku ormiańskiego, słynnemu lwowskiemu krasomówcy i wielkiemu patriocie polskiemu, arcybiskupowi Izaakowi Mikołajowi Issakowiczowi, liczącemu wówczas 76 lat. O godzinie 18.00 przybył do Kasy Narodowego zwanego Szlacheckim, a mieszczącym się w pięknym, zbudowanym w 1898 roku w stylu francuskiego baroku, gmachu przy ulicy Mickiewicza 6. Tam podejmowano go obiadem, w którym wzięło udział około 100 osób. Po obiedzie udał się Sienkiewicz do Teatru Skarbka, gdzie zajmując miejsce w łożu nr 3 na I piętrze przystrojonej dywanami i świeżo przystrojonej dywanami i świeżymi kwiatami, był obserwatorem opery Stanisława Moniuszki „Halka”. Jak zanotowano w Kronice, „amfiteatr był przepelniony od góry do dołu, (...) panował nastrój weselny, świąteczny i podniosły”, a autor *Bez dogmatu*, znów spotkał się z aplauzem publiczności.

W piątek 4 maja pisarz składał wizyty pożegnalne, ponieważ w dniu następnym miał opuścić Lwów. Odwiedził m.in. powieściopisarza, historyka kultury i dziennikarza Władysława Łozińskiego, autora m.in. cennego dzieła *Prawem i lewem*, traktującego o obyczajach na Rusi Czerwonej w XVII wieku. Był też ponownie w Kasynie Narodowym, gdzie podejmował go śniadaniem wiceprezes TDP Kazimierz Skrzyński. Jak wiemy, w dniu tym powtórzył też swój odczyt „Bitwa pod Grunwaldem”. Po odczycie udał się jeszcze do Czytelni Akademickiej, na spotkanie z młodzieżą. Tam rozmawiał z kierownikiem katedry filozofii na Uniwersytecie Lwowskim, wielkim filozofem polskim profesorem Kazimierzem Twardowskim. Wpisał się również do Księgi Pamiątkowej. Dzień zakończył obiadem w domu wiceprezydenta Dyrekcji Skarbu dra Witolda Korytowskiego.

Ostatni dzień pobytu Henryka Sienkiewicza we Lwowie wypełniły znów wizyty pożegnalne: u profesora Balasitsa, u pp. Krechowickich i wreszcie u prezesa TDP Liberata Zajączkowskiego. U tego ostatniego powitał Sienkiewicza „cały świat dziennikarski lwowski”. Podczas spotkania publicysta Stanisław Woynarowski

wygłosił podniosłe przemówienie, w którym zaliczył Sienkiewicza – obok Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza i Jana Matejki – do grona czterech najwybitniejszych postaci „w porzeczowym stuleciu dziejów naszych, jakie dają nam pełne prawo do stąpania z podniesionym czołem obok najwyższej oświeconych ludów w Europie”. Nestor zaś dziennikarzy polskich, poeta i literat Platon Kostecki, dziękując wielkiemu pisarzowi w imieniu członków Towarzystwa Dziennikarzy Polskich za przybycie do Lwowa, „w dowód gorącej wdzięczności prasy lwowskiej” wręczył autorowi *Trylogii* złote pióro z napisem: „Towarzystwo Dziennikarzy Polskich we Lwowie Henrykowi Sienkiewiczowi”.

O godzinie 14.30 Sienkiewicz wsiadł do powozu w towarzystwie panów A. Krechowickiego, L. Zajączkowskiego i K. Skrzyńskiego udając się na lwowski dworzec kolejowy. Tam, w pięknie udekorowanej poczekalni I klasy odbyło się uroczyste pożegnanie wielkiego pisarza, w którym uczestniczył prezydent Lwowa oraz liczne grono literatów i dziennikarzy. Prezydent Małachowski dziękując Sienkiewiczowi za odwiedzenie Lwowa, zaprosił go na mające w niedalekiej przyszłości

nastąpić otwarcie nowego teatru wzniesionego według projektu Zygmunta Gorgolewskiego, dyrektora Szkoły Przemysłowej we Lwowie i konserwatora zabytków w Galicji. Na peronie zgromadziła się licznie młodzież gimnazjalna z orkiestrą szkoły św. Anny oraz tłumy publiczności. Wołano: „niech żyje!”, a orkiestra grała poloneza. Sienkiewicz z odkrytą głową dziękował wszystkim i wznosił okrzyk „niech żyją Lwowianie!” Do wagonu I klasy został odprowadzony przez żegnających go przedstawicieli nauki i kultury oraz prezydenta miasta i rektora uniwersytetu. „Przed samym ruszeniem pociągu odśpiewały chóry młodzieży szkolnej i akademickiej *Niech żyje nam*, raz jeszcze wzbił się w górę entuzjastyczny okrzyk, orkiestra uczniowska zagrała marsza, a Sienkiewicz ze łzą w oku, kłaniał się na wszystkie strony”.

Wizyta wielkiego pisarza we Lwowie, wkrótce uhonorowanego literacką Nagrodą Nobla, stanowi niewątpliwie ważny fakt w dziejach Zawsze Wiernego Miasta. Dlatego my, członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa, winniśmy o niej pamiętać, przypominać ją młodzieży interesującej się historią ojczystą. □

Kazimierz Kulas Święta Wielkanocne w wojsku

Poeta, Józef Baranowski, pisał:

*Chrystus Zmartwychwstał dzisiaj,
radością w sercu króluje...
pąkowie zielonym rozkwitła
wiosenna pieśń – Alleluja...*

Pamiętam doskonale swoją służbę zasadniczą w Ludowym Wojsku Polskim. Z dniem 1 grudnia 1955 roku zostałem wcielony do jednostki wojskowej w Pikulicach koło Przemyśla nad Sanem. Miałem wówczas 21 lat. Był to Batalion Szkoleniowy dla żołnierzy z całej Polski, m.in. Szczecina, Koszalina, Kielc, Warszawy, Wrocławia, Zielonej przygotowujący dowódców dla drużyn, plutonów i kompanii.

Było to na przełomie jesieni, zimy, wiosny. Ziemia była pokryta śniegiem, rzeka San skuta grubym lodem, noce bardzo mroźne, gdzie temperatura powietrza w nocy dochodził do minus 30 stopni Celsjusza.

Wraz z żołnierzami-rekrutami obchodziliśmy Święta Wielkanocne w wojsku. Jak wyglądała wówczas Wielkanoc? Nic się w koszarach nie mówiło. Każdy dzień był jak co dzień – robiło się coraz cieplej, słońce wyżej, wiosna bliżej, drzewa owocowe miały pąki, kwiaty, oziminy się zieleniły.

Od pobudki na okrągło zajęcia: apel poranny, wykłady na kompanii z oficerem politycznym na temat obronności kraju, sojuszków, sprawy gospodarcze i światopoglądowe. Była też musztra i zajęcia ogniowe nad Sanem w traszjach austriackich z czasów pierwszej wojny światowej.

Każdy dzień wypełniony „po brzegi”. Nie było nudy, a zajęcia na okrągło. Na terenie koszar, gdzie odbywały się zajęcia i apele, było hasło: „Im więcej ćwiczę w terenie tym mniej krwi w boju”.

Pamiętam, że rodzice w liście przysłali kartkę świąteczną: „Wesołych Świąt Wielkanocnych – Alleluja”.



Od lewej stoją: Stanisław Stachnik, kpr. Wiktor Markier, kpr. Krzysztof Czerwonka, kpr. Marian Złotnik, Ryszard Wilczyński. Siedzą: Ryszard Kamiński, Kazimierz Kulas, Eugeniusz Kowalczyk. Leżą: Jan Głowacki, Stanisław Diduch.

Kto się rozpozna, proszę o kontakt ze mną:
tel. (95) 742-06-76

lub na adres:
Kazimierz Kulas
ul. Krasińskiego 12 A/9
66-300 Międzyrzecz.

W koszarach nie było dekoracji wielkanocnej, a po- siłki jak co dzień: grochówka, kasza, śledzie, bigos i czarny razowy chleb. Na sali 40 żołnierzy, łóżka piętro- we, śloma w siennikach i poduszkach...

Gdzieś między piętroowymi łózkami, pod strachem wspominaliśmy święta w naszych domach, parafiach. Przywoływaliśmy kwiecień – to najczęściej miesiąc przeżywania Wielkiego Postu i radosnych Świąt Wielkanocnych. Pobożność ludu objawia się w różnych na-

bożeństwach tego okresu, w atmosferze niezwykłego współczucia Boleściwemu Jezusowi i Jego Matce.

Jednymi z takich nabożeństw są Droga Krzyżowa i Gorzkie Żale odprawiane po kościołach czy parafiach, kiedy człowiek idzie za cierpiącym Chrystusem, chcąc

użyć Mu w Jego cierpieniu, chcąc stać się Szymonem Cyrenejczykiem, by przez to dostąpić zbawienia.

Każdy z żołnierzy w myślach miał swój dom rodzinny. Przywoływał w myślach, w pamięci Mszę świętą – Rezurekcję, która łączy ludzi, a nie dzieli. □

Kazimierz Kulas

Dźwinogród mojej pamięci... (VI)

Dom pod lasem...

Dom Rodzinny. W środku była komora, po lewej kuchnia, a po prawej niewykończony pokój. W głównej roli bambetel, czyli rodzaj tapczanu. Spałem na „piecu”, bo takie było łóżko. Wieczory spędzaliśmy przy lampie naftowej albo czasem paliła się świeca, gdy nie było nafty.

Na ścianach obrazy: Święta Rodzina, św. Antoni, który chronił przed nieszczęściem, przedstawienie Ostatniej Wieczerzy, szkaplerz z Niepokalanowa. Rodzice byli bardzo religijni, prenumerowali „Rycerza Niepokalanego”, który zawsze leżał na poczesnym miejscu. Mama często modliła się z różańcem. Dom znajdował się pod lasem, blisko płynęła Strypa, było widać panoramę Buczacza, jego Zamek, blisko też były miejscowości: Gaje Buczackie, Podzameczek, Grotę Rukomysza.

Niedaleko znajdowała się szkoła, z której okoliczni mieszkańcy pozyskiwali budulec. Z drugiej strony rozciągał się las grabowy, był też cmentarz.

W lipcu 2012 r. pojechałem z wycieczką z Bolesławca do swego domu rodzinnego. Wraz ze mną pojechali synowie mojej siostry Anastazji: Kazimierz i Tadeusz Wacków oraz mój kolega Jan Adamczuk, który mieszkał w Dźwinogrodzie, a dziś tu mieszka Stefka z rodziną, ja z nią chodziłem do szkoły w Dźwinogrodzie.



Spotkanie w domu rodzinnym

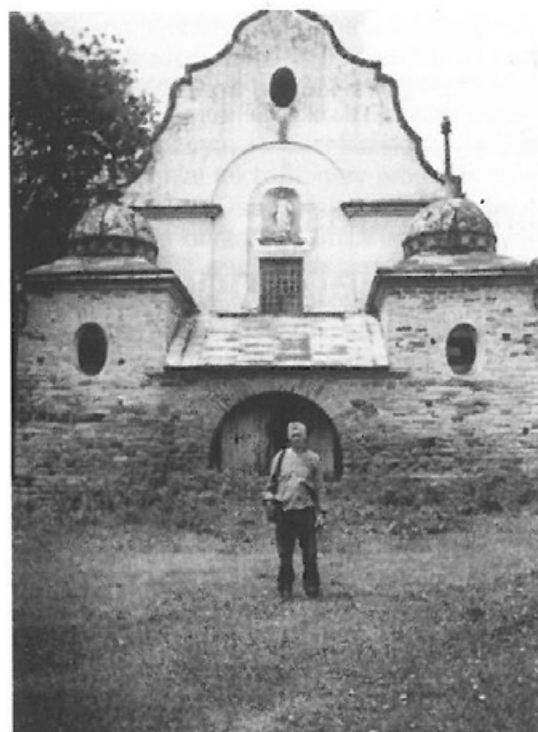
Kościół...

W środku wsi stał kościół zbudowany z kamienia łupanego w 1934 r. Było ogrodzenie, przy kościele rosły lipy, czeremcha, kalina, blisko była studnia. Wewnątrz był duży dzwon, w czasie wojny Niemcy go zabrali.

Aktualnie w Dźwinogrodzie mieszka około 70 rodzin, miejscowych i przybyłych z rzeszowskiego i nowosądeckiego.

W Dźwinogrodzie jest piękna cerkiew. Podziwiałem ikony. Byliśmy w środku. Zostawiliśmy pieniądze przy

ołtarzu na ofiarę. Teren bardzo zadbane. Natomiast kościół w rozsypce. Za komuny był tu magazyn nawozów. Jest strasznie zniszczony, ołtarz bardzo zdewastowany, zacieka dach i niszczące mury. Przed kościołem figurka Matki Bożej Dźwinogrodzkiej.



Kościół, w którym przyjmowałem I Komunię Świętą

Nasza pielgrzymka była bardzo udana. Pogoda nam dopisała, nie było gorąco ani deszczowo.

Smutny obraz przyrody: degradacja środowiska, drzewa umierają stojąc, rzeki brudne, panuje też deficyt wody.

Jeżdżę tam, by się przytulić do mojej chaty, opowiadając, że tutaj mieszkali moi rodzice i dali mi życie.

Moja Strypa

... lewy dopływ Dniestru, o długości 147 km i powierzchni dorzecza 1610 km². Od Buczacza płynie głębokim, wąskim jarem. W latach 1915–1916 rzeka stanowiła linię frontu pomiędzy wojskami rosyjskimi i austro-węgierskimi, w wojnie polsko-bolszewickiej linię obrony armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, sojusznika Wojska Polskiego, pod dowództwem gen. Omelianowicza-Pawlenki przed nacierającą Armią Czerwoną (sierpień 1920 r.).

Wzdłuż jej dolnego biegu (od ujścia do Dniestru do okolic Jazłowca) biegła zachodnia dolina Podola. □

Tomasz Cieszyński

Męczeńska śmierć profesorów medycyny we Lwowie na tle programu zagłady narodu polskiego

Zbrodnia dokonana w lipcu 1941 r. we Lwowie na profesorach polskich uczelni akademickich (UJK, PL, AHZ i AMW), zamordowanych z uprowadzonymi wraz z nimi członkami rodzin, budzi na jej wspomnienie uczucie grozy i przypomina dręczące pytanie, dlaczego została dokonana? Jakże były motywy, jaki cel krwawej kazi?

Dziś, z perspektywy czasu daje się odnaleźć źródło tej zbrodni w podstawach ideologii politycznych, które rozszalały się w przebiegu II wojny światowej, przede wszystkim zaś ideologii hitlerizmu, który za cel wstępny w osiągnięciu władzy nad światem postawił sobie zniszczenie narodu polskiego i zamieszkałych w Polsce Żydów. Drugą siłą ideologiczną był komunizm sowiecki, dążący ze swej strony do władzy nad światem, który przez zawarcie z Niemcami hitlerowskimi w dniu 23 sierpnia 1939 r. układu dotyczącego rozbioru Polski stworzył sobie podstawę do realizowania polityki zniszczenia narodu polskiego. O ile polityka prowadzona przez Niemcy hitlerowskie opierała się prawie wyłącznie na metodzie biologicznej eksterminacji, o tyle polityka unicestwiania prowadzona przez Związek Sowiecki opierała na szerszym programie. Obejmował on nie tylko metodę eksterminacji biologicznej, jak to miało miejsce w Katyniu i w innych miejscach masowej zagłady, ale także metodę demoralizacji duchowej naszego narodu, zmierzającej do odebrania nam poczucia tożsamości narodowej i naszej kultury chrześcijańskiej. Ponadto na terenie tzw. Dystryktu Galicja, rozwinęły się z kolaborantów ukraińskich na służbie Gestapo i SS Galizien uzbrojone oddziały UPA złożone ze zwyrodniałych nacjonalistów, które oderwawszy się od niemieckiego dowództwa, na własną rękę dokonywały masowych mordów na polskiej ludności cywilnej. Te trzy czynniki masowej zagłady mogą być postawione na równi, ze względu na podobny rząd wielkości ofiar ludzkich, którym odebrały życie.

Wspominając te tragiczne fakty, pragnę wyrazić przekonanie, że niewolno nakładać bezpośredniej odpowiedzialności za zbrodnię masowego ludobójstwa na wszystkie trzy wymienione narody w całości. Przeciwnie, należy stwierdzić, że naród niemiecki jako całość nie inicjował ani nie wykonywał masowych zbrodni, lecz czynili to wywodzący się z niego oprawcy hitlerowscy. Podobnie, naród rosyjski jako całość nie inspirował i nie aprobował zbrodni sowieckiego NKWD i NKGB. Tak samo naród ukraiński jako całość nie uczestniczył w masowych zbrodniach na Polakach, którymi trudniły się specjalne oddziały zwyrodniałych nacjonalistów.

Piętno grzechu spoczywa jednak na wszystkich tych trzech narodach, gdyż wszystkie trzy wyszły z kultury chrześcijańskiej, którą generalnie podeptały przyjmując nieludzkie ideologie oparte na nienawiści: albo rasowej, albo klasowej, albo narodowościowej, najczęściej mieszanej. Tym samym stworzyły one programowy klimat dla zbrodni, które wykonywała najbardziej zdemoralizowana część ich wielkiej, moralnie bierniej całości.

I wreszcie trzeba zauważyć, że pomimo tego upiornego klimatu bierności moralnej, w każdym z tych

trzech narodów znalazły się odważne jednostki, które umiały okazać swą chrześcijańską postawę.

W metodzie biologicznej eksterminacji zarówno Niemcy hitlerowskie jak i Związek Sowiecki założyły racjonalnie, że najbardziej skuteczne i najszybsze zniszczenie narodu polskiego uzyskają przez jego omdlenie, by potem, bez istotnych już trudności, dopełnić jego zagłady przez wynarodowienie. Zdawali sobie sprawę z tego, że mózg i morale narodu kształtowało nauczycielstwo Rzeczypospolitej Polskiej okresu międzywojennego. Ono bowiem wpajało dzieciom i młodzieży umiejętności rzeczowe oraz wartości moralne, jak również świadomość naszej tożsamości narodowej. W ogromnym dziele wychowania narodu polskiego brali udział nauczyciele szkół powszechnych, nauczycielstwo gimnazjalne szkół średnich i nauczyciele szkół akademickich tj. przede wszystkim profesoria tych uczelni. Profesoria szkół akademickich kształcili najwyższe umiejętności intelektualne naszego narodu i stanowili wzór moralnego zachowania się.

Eksterminacja profesorów wyższych uczelni rozpoczęta została przez Niemcy hitlerowskie w jesieni 1939 r. w Krakowie i została doprowadzona do perfekcji w momencie zajęcia przez wojska niemieckie Lwowa w lipcu 1941 r., zaraz po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej. Wśród profesorów zamordowanych przez frontową formację SS na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie dnia 4 lipca 1941 r. największą grupę stanowili profesoria medycyny, których było dwunastu.

Jak wynika z rozważenia faktów, lista ofiar została przygotowana w pierwszym okresie wojny, kiedy tzw. Linia Curzona przedzieliła Polskę na dwie części, przerywając kontakt między wschodnim a zachodnim obszarem naszej ojczyzny. Dowodzi tego fakt, że formacja SS, która w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. aresztowała profesorów lwowskich, poszukiwała również zmarłych w okresie przerwanej łączności – profesora okulistyki Adama Bednarskiego i profesora dermatologii Romana Leszczyńskiego. Obydwaj byli już wówczas poza zasięgiem władzy SS. Niestety, inni profesoria byli osiągalni. Zostali aresztowani i zaraz potem straceni profesoria medycyny, których wymienię w porządku alfabetycznym:

1) Antoni Cieszyński, stomatolog, laureat międzynarodowej nagrody Williama Daytona Millera, pierwszy lekarz polski mający tak wysokie odznaczenie naukowe. Kiedy na drugi dzień po aresztowaniu żona jego, a moja matka, nieświadoma faktu, że mąż jej już nie żyje, udała się do metropolity greckokatolickiego Romana Andrzeja Szeptyckiego, do jego rezydencji obok cerkwi św. Jura, z błaganiami o interwencję u władz niemieckich, ten, patrząc z kamienną twarzą na klęczącą przed nim kobietę, powiedział po polsku: Kościół nie miesza się do spraw świeckich. Jakże żalosne i niechrześcijańskie słowa!

2) Władysław Dobrzaniecki, chirurg, obrońca Lwowa z listopada roku 1918, prekursor chirurgii plastycznej w Polsce.

3) Jan Grek, internista, znakomity diagnosta i terapeuta, zamordowany wraz z żoną Marią, z domu Pareńską, którą uwiecznił na pięknym portrecie Stanisław Wyspiański. Wraz z profesorem Grekiem zginął jego szwagier, ożeniony z drugą panną Pareńską. Obie siostry umieścił w swoim dramacie pt. „Wesele” Stanisław Wyspiański. Szwagier profesora Greka to uchodźca z Krakowa, znakomity literat, krytyk i tłumacz literatury francuskiej Tadeusz Żeleński-Boy, mianowany przez władze sowieckie profesorem literatury francuskiej na Uniwersytecie Lwowskim.

4) Jerzy Grzędziński, liczący lat czterdzieści, kierownik Kliniki Okulistycznej UJK, utalentowany badacz i klinicysta.

5) Henryk Hilarowicz, chirurg, wybitny farmakodermatolog i patofizjolog kliniczny.

6) Stanisław Mączewski, położnik i ginekolog, ordynator Państwowego Szpitala Powszechnego.

7) Witold Nowicki, kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej UJK, znakomity wykładowca, zamordowany wraz z synem drem Jerzym Nowickim, bakteriologiem.

8) Tadeusz Ostrowski, chirurg, świetny operator, kierownik Kliniki Chirurgicznej UJK, zamordowany wraz z żoną Jadwigą z domu Szczuka. Wraz z nimi został aresztowany i zamordowany członek rodziny pani Ostrowskiej ks. dr Władysław Komornicki, lat 29, wychowanek Akademii Papieskiej w Rzymie.

9) Andrzej Progulski, profesor przy Klinice Chorób Dziecięcych UJK, zamordowany wraz z synem inż. Andrzejem Progulskim.

10) Roman Renski, internista, kierownik Kliniki chorób Wewnętrznych UJK. Profesor Renski w pierwszym okresie wojny przebywał, aresztowany przez władze sowieckie, w więzieniu przy ul. Kazimierzowskiej, z którego uratowany został cudem w czasie rzezi 7 000 więźniów we Lwowie, dokonanej przez NKWD zaraz po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej. W kilka dni później zginął zamordowany przez formację frontową SS wraz z innymi kolegami – profesorami.

11) Włodzimierz Sieradzki, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej UJK, niezapomniany wykładowca prope-deutyki lekarskiej dla studentów medycyny, dziekan Wydziału Lekarskiego UJK w kilku kadencjach, rektor UJK w latach 1924/1925.

12) Adam Sołowij, sędziwy położnik-ginekolog, emerytowany prymariusz Państwowego Szpitala Powszechnego we Lwowie, zamordowany wraz z wnukiem Adamem Mięśowiczem, lat 19.

Wkrótce po zamordowaniu wielkiej grupy 24 profesorów UJK, Politechniki Lwowskiej, Akademii Handlu Zagranicznego i Akademii Medycyny Weterynaryjnej, Ukrainiec, dr Marian Pańczyszyn, mianowany uprzednio przez władze sowieckie profesorem Medycznego Instytutu we Lwowie napisał do Generalnego Gubernatora dr. Hansa Franka wniosek o zezwolenie na otwarcie wydziału lekarskiego we Lwowie, motywując go słowami: „Nach dem Entfernung der deutschen Nation gegendüber feindlich gesinnten jüdischen und polnischen Elemente...” tzn. „Po usunięciu wrogo nastawionych do narodu niemieckiego elementów żydowskich i polskich...” Smutny i zastanawiający argument!

Istotnie, wydział lekarski, w składzie częściowo za-improvizowany przez Ukraińców został wkrótce otwarty pod nazwą „Staatliche Medizinische Fachkurse zu Lemberg”. W sierpniu 1943 r. Ukrainiec dr Andrzej Łastowiecki, były asystent UJK, mianowany przez wła-

dze sowieckie profesorem fizyki Lwowskiego Medycznego Instytutu, został zamordowany w bramie domu przy ulicy Wronowskich. Zabójstwo miało cechy porachunku osobistego między Ukraińcami, a jak stwierdza prof. Albert AK nie wydała wyroku śmierci na dr. Łastowieckiego. Tym bardziej jest niejasne, na jakiej podstawie prof. Albert sugeruje, że morderstwa dokonali Polacy.

1 października tego samego roku na ul. Teatyńskiej został zastrzelony kulą z pistoletu prof. dr Bolesław Jałowy, kierownik Zakładu Histologii UJK przez syna wspomnianego dr. Pańczyszyna. Zabójcę rozpoznał towarzyszący Jałowemu student medycyny, Polak Jan Chmiel. Na wiadomość o tej zbrodni ukrywający się w pałacu metropolity Szeptyckiego dr Marian Pańczyszyn zmarł na skutek zawału serca. Jak widać dr Pańczyszyn gotów był aprobować zbrodnię zamordowania profesorów polskich dla sprawy otwarcia studiów lekarskich, ale nie mógł znieść świadomości, że jego własny syn splamił się zbrodnią. Tragiczny spłot wydarzeń.

Druga okupacja sowiecka, po wyparciu Niemców, przyniosła nową falę represji na pozostałych przy życiu profesorach Polakach w Lwowie. Bezpośrednim powodem była chęć skrajnego sterroryzowania ludności polskiej w celu zmuszenia jej do emigracji na Zachód. Ludność miasta Lwowa nie wykazywała bowiem przez długi czas zamiaru rejestrowania się w tzw. Urzędzie Repatriacyjnym. Aresztowani wówczas profesorowie zostali w większości wywiezieni na wschód do Donbasu, gdzie na skutek katorżniczych warunków pracy w kopalni zmarli – prof. Tadeusz Kuczyński, kierownik Katedry Elektrochemii Politechniki Lwowskiej, następcą na tej katedrze prof. Ignacego Mościckiego oraz prof. Emil Łazoryk, statyk budowlany, dziekan Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej.

Te tragiczne wydarzenia ilustrują konsekwentny proces ogoławania narodu polskiego z jego wychowawców akademickich. Procesu tego nie zatrzymał nawet koniec II wojny światowej. Przez pierwszych 10 lat powojennych trwała utajniona masowa eksterminacja Polaków prowadzona przez Urząd Bezpieczeństwa. Ofiarą tego okresu jest m.in. profesor dermatologii Uniwersytetu Warszawskiego dr Marian Grzybowski. Ogółem przez 45 lat rządów komunistycznych była prowadzona nadal polityka obniżania morale Polaków w celu osłabienia poczucia odpowiedzialności oraz poczucia naszej tożsamości narodowej. Jedyną siłą moralną, która przeciwstawiała się akcji demoralizacyjnej był Kościół katolicki w Polsce, który zapłacił za to m.in. cenę utraty wolności fizycznej przez kardynała ks. Stefana Wyszyńskiego, prymasa, Polski oraz życiem szeregu księży.

Dopiero obalenie komunizmu w Polsce w roku 1989 otworzyło możliwość, ale jeszcze nie stworzyło warunków dla odrodzenia biologicznego i duchowego naszego narodu. Intellect narodu został bowiem poważnie uszkodzony indoktrynacją komunistyczną, poczucie odpowiedzialności głęboko naruszone, a substancja biologiczna narodu niebezpiecznie nadwątlona metodą samounicestwienia uchwaloną przez Sejm PRL w roku 1956 i udoskonaloną rozporządzeniem wykonawczym Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z roku 1960.

Kiedy patrzymy na czasy II wojny światowej w aspekcie moralnym, wyjaśnia się nam w pełni, dlaczego doszło do tak perfidnych a gigantycznych ilości zbrodni na naszym narodzie. Stało się tak dlatego, że trzy wspomniane uprzednio narody, choć chrześci-

jańskie od wieków, wyparty ze swych serc i umysłów Chrystusa i Jego naukę.

Ale patrząc na siebie samych, musimy z bólem stwierdzić, że naród polski, niezłomny w okresie II wojny światowej, w okresie powojennych rządów komunistycznych stracił w dużej mierze rozeznanie moralne, dając się porwać praktykom egoizmu, hedonizmu i alkoholizmu. Środki przekazu systematycznie zatruwały nasze umysły lansując styl konsumpcji i nieodpowiedzialności. Działanie ustawy sejmowej PRL i rozporządzenia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z lat 1956 i 1960 zaprowadziło nas na drogę samounicestwienia. Około 12 milionów istnień ludzkich, naszych polskich dzieci padło ofiarą zagłady. W imię prawdy możemy

Bolesław Broś

Ofiary wśród profesorów Akademii Handlu Zagranicznego we Lwowie

Ziemie Kresowe Rzeczypospolitej, zaporą osłaniającą od wieków Europę przed najazdami hord Azjatów, dały Polsce nie tylko królów i wielkich hetmanów, nie tylko wybitnych polityków oraz bohaterskich wodzów i żołnierzy, dały również wspaniałych twórców polskiej kultury: wieszczów, wielkich pisarzy i artystów oraz znakomych uczonych.

U schyłku okresu zaborów Lwów stał się stolicą Polskiej Nauki, a po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. zasilili szczyt w kadrę naukową nieomal wszystkie ośrodki uniwersyteckie w kraju.

Gdy w tragicznym roku 1939 Hitler i Stalin, dwóch największych zbrodniarzy jakich zna historia, podali sobie ręce, jednym z głównych ich celów było całkowite zniszczenie polskiego narodu i wymazanie Polski z mapy świata.

Zamysł swój realizowali przede wszystkim poprzez unicestwienie polskiej elity umysłowej, celując w mózg Narodu. Ginęła polska inteligencja w obozach koncentracyjnych Oświęcimiu, Majdanku, Stutthofu, Sachsenhausen i wielu innych, w katowniach gestapo, w egzekucjach publicznych, w więzieniach i katowniach NKWD, w łagrach sowieckich rozsiadanych po całym archipelagu GUŁAG, w Katyniu i wielu innych do dzisiaj skrycie zatajanych miejscach zagłady.

Ginęli tylko dlatego, że byli polskimi duchownymi, uczonymi, nauczycielami, lekarzami, prawnikami, inżynierami, pisarzami, artystami.

Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy hitlerowskie zaatakowały nieoczekiwanie swojego dotychczasowego sowieckiego sojusznika, to pomimo zaskoczenia i powstałej paniki NKWD zdołało w bestialski sposób wymordować kilka tysięcy Polaków więzionych w lwowskich więzieniach. Byli wśród pomordowanych liczni przedstawiciele lwowskiej inteligencji, w tym pracownicy nauki wyższych uczelni Lwowa. Nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć krew pomordowanych ofiar NKWD, gdy w trzecim dniu po zajęciu Lwowa przez hitlerowców, w nocy z 3 lipca 1941 r. na 4, kilkusobowe grupy gestapowców dokonały aresztowań wybitnych profes-

jednak powiedzieć, że nie cały naród polski, lecz tylko jego część uległa doktrynie antychrześcijańskiej. Dzięki postawie Kościoła katolickiego w Polsce opieramy się ideologii śmierci i ufam, że ją obalimy.

Nigdy bowiem w naszej historii nie byliśmy generalnie pozbawieni poczucia odpowiedzialności i świadomości zła. Pomimo ogromu niebezpieczeństwa, nie tracę wiary, że możemy wywyższyć się do normalnego życia moralnego i ekonomicznego. „Wolność została nam dana i zadana” – powiedział papież Jan Paweł II. Mamy jej użyć mądrze i mamy ją rozwijać nie dla osobistej korzyści, ale dla dobra narodu polskiego, a następnie dla dobra wszystkich narodów europejskich i dla dobra całej ludzkości. □

rów lwowskich uczelni, często z ich rodzinami i bliskimi, na podstawie wcześniej przygotowanych list, by w parę godzin później, o świcie 4 lipca dokonać kaźni na zboczu Wzgórz Wuleckich, rozstrzelując wszystkich bez sądu i bez żadnego oskarżenia. Wśród uczelni lwowskich, dotkniętych tą lipcową zbrodnią, znalazła się również Akademia Handlu Zagranicznego. Utworzona w 1896 r. jako Państwowa Wyższa Szkoła Handlowa przyciągała od początku wybitnych specjalistów.

Pracowali w niej podówczas m.in.: prof. Antoni Pawłowski – matematyk, wybitny geograf doc. Eugeniusz Romer z Uniwersytetu Lwowskiego, Roman Załoziecki – docent Szkoły Politechnicznej, książę Adam Sapieha, późniejszy kardynał krakowski i wielu innych. W Polsce niepodległej przekształca się w Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego, jedyną uczelnię w kraju ukierunkowującą studia na organizację handlu zagranicznego i służbę konsularną.

Organizatorem tej uczelni i jej pierwszym rektorem jest prof. Pawłowski. Drugim z kolei rektorem zostaje prof. Henryk Korowicz, ekonomista. Dzięki jego staraniom i staraniom prof. Stanisława Ruziewicz, wybitnego matematyka, późniejszego trzeciego i ostatniego rektora oraz przy współdziałaniu całego zespołu profesorskiego uczelnia ta zostaje przekształcona w 1937 r. w Akademię Handlu Zagranicznego, uzyskuje pełne prawa akademickie i przenosi się do nowego, nowoczesnego gmachu przy ul. Sakramentek. Obaj ostatni rektorzy prof. Korowicz i prof. Ruziewicz, synowie Ziemi Czerwińskiej, na tej ziemi urodzeni, wychowani i wykształceni oraz dla tej ziemi zasłużeni, współtwórcy nauki polskiej we Lwowie, w tydzień po masakrze na Wzgórzach Wuleckich zostają 11 lipca 1941 r. w upalne, letnie popołudnie aresztowani przez hitlerowców w swoich mieszkaniach, a następnie prawdopodobnie 12 lipca 1941 r. w po dziś dzień nieznanymi okolicznościami zamordowani.

Profesor Henryk Korowicz, ekonomista, ożeniony z córką pierwszego rektora prof. Pawłowskiego, całą swoją karierę naukową, od asystenta do profesora zwy-

czajnego i rektora, związał z Akademią Handlu Zagranicznego.

Przed I wojną światową zajmował się głównie historią gospodarczą Galicji. W okresie międzywojennym poświęcił się badaniom nad zagadnieniami polityki gospodarczej państwa. Reprezentował pogląd o konieczności poszerzenia rynku wewnętrznego w Polsce, o potrzebie intensyfikacji rolnictwa i rozwoju przemysłu opartego na wykorzystaniu surowców krajowych. Był zwolennikiem koncentracji kapitału, kontrolowanej przez państwo. Wskazywał na potrzebę protekcjonizmu celnego, uzasadniając to upowszechnieniem polityki protekcyjnej w świecie.

W roku 1927 został profesorem nadzwyczajnym i kierownikiem Katedry Ekonomii, a w roku 1931 – profesorem zwyczajnym. W latach 1931–1939 piastował stanowisko rektora AHZ.

Profesor Stanisław Ruziewicz studiował matematykę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego w latach 1908–1912 i uzyskał stopień doktora filozofii w 1913 r., pod kierunkiem prof. Józefa Pużyny. Jeszcze w okresie studiów nawiązał bliską współpracę z prof. Wacławem Sierpińskim, która przetrwała lata.

W roku akademickim 1913/14 pogłębia studia matematyczne w Getyndze, korzystając z przyznanego mu stypendium Akademii Umiejętności w Krakowie.

W roku 1921 zostaje profesorem nadzwyczajnym, w 1924 – profesorem zwyczajnym Wydziału Filozoficznego, a po jego reorganizacji – Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

W latach 1921–1933 był kierownikiem III Katedry Matematyki UJK. Pozostałe trzy Katedry Matematyki UJK były kierowane w tym okresie przez profesorów: Eustachego Żylińskiego, Hugona Steinhausa i Stefana Banacha. W roku akademickim 1932/33 piastował prof.

Ruziewicz godność dziekana Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego.

Równoległe z zajęciami na UJK prowadził prof. Ruziewicz w latach 1926–1933 wykłady na Politechnice Lwowskiej, kierując III Katedrą Matematyki na Wydziale Ogólnym, aż do likwidacji tego wydziału w 1933 r.

Po niezbyt chlubnych reformach Jędrzejewicza w 1933 r., w wyniku których m.in. uległo likwidacji wiele jednostek naukowych, prof. Ruziewicz wiąże się na stałe z Akademią Handlu Zagranicznego.

W roku 1939 zostaje wybrany rektorem AHZ i zatwierdzony na tym stanowisku przez prezydenta Mościckiego. Wypadki wojenne uniemożliwiły mu pełnienie tej funkcji.

Domeną działalności naukowej prof. Ruziewicza była teoria mnogości, teoria funkcji analitycznych i rzeczywistych oraz struktury algebraiczne. Zainicjował w Polsce badania nad problemem rozkładu zbioru na rozłączne podzbiory. Historycy nauki krajowi i zagraniczni wymieniają Stanisława Ruziewicza – obok Wacława Sierpińskiego, Zygmunta Janiszewskiego i Stefana Mazurkiewicza – jako współzałożyciela polskiej szkoły matematycznej, która powstała jeszcze przed I wojną światową we Lwowie.

Po odzyskaniu niepodległości Ruziewicz razem z Banachem, Steinhausem i innymi tworzą słynną lwowską szkołę matematyczną.

W lipcowe popołudnie, 11 lipca 1941 r., profesor Korowicz i prof. Ruziewicz zostają aresztowani i wkrótce potem zgładzeni w nieznanym miejscu i niewiadomych okolicznościach.

Zbrodniarze uniknęli sądu. Nie możemy jednak dopuścić, by sylwetki i dzieło tych wielkich uczonych poszły w niepamięć i by o nich i innych uczonych lwowskich zapomniała historia. □

Elżbieta Woszczyńska

Rajd Śladami Pamięci Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Oddział Wrocławski TMLIKPW już po raz osiemnasty zorganizował konkurs pod nazwą „Rajd Śladami Pamięci Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”. Celem Rajdu było przybliżenie wiedzy o Lwowie i Kresach, ujawnienie związków Lwowa z Wrocławiem oraz przypomnienie i udokumentowanie losów ludzi pochodzących z Kresów Wschodnich. Zadaniem młodzieży było odszukanie na terenie Wrocławia i Dolnego Śląska zabytków, pamiątek, dokumentów związanych z życiem ludzi pochodzących z Kresów.

W konkursie uczestniczyło: 17 uczniów pod opieką 8 nauczycieli z 8 szkół podstawowych, 10 uczniów pod opieką 8 nauczycieli z 8 gimnazjów, 11 uczniów pod opieką 3 nauczycieli z 3 szkół średnich.

Komisja przyznała nagrody i wyróżnienia:

1. W grupie szkół podstawowych:
dwa równorzędne I miejsca:

2. W grupie gimnazjów:

Dwa równorzędne I miejsca:

„Wywiad z Eugeniuszem Pomarańskim” – autorka Katarzyna Boczar z Gimnazjum nr 7 – opiekun p. Adam Franiuk;

„Kronika rodzinna Kresy” – autorka Karolina Ponikowska z Gimnazjum nr 1 – opiekunka p. Marzena Biezuńska;

II miejsce: „W ramionach miasta Lwowa” – autorka Izabela Frąckowiak z Gimnazjum nr 5 – opiekunka p. Jolanta Maniak;

III miejsce: „Każdy człowiek ma swoją historię” – autor Jonatan Fraszczak vel Jószzak z Gimnazjum nr 1 – opiekunka p. Marzena Biezuńska.

Ponadto wyróżniono prace:

„Boso przez Sybir” – autorka Maria Kłęk z Gimnazjum nr 13 – opiekun Leszek Tymosiewicz;

„Co pewnego wieczoru opowiedział mi Dziadek” – autorka Barbara Kamińska z Gimnazjum nr 14 – opiekunka p. Anna Masłowska.

3. W grupie szkół średnich:

I miejsce: „Przeżyć jeszcze raz” – autorka Paulina

Kostrzewska z VII LO – opiekunka p. Grażyna Przybycień;

II miejsce: „Dla tych, którzy powrócili” – autorka Kamila Korona z VII LO – opiekunka p. Grażyna Przybycień;

III miejsce: „Podróż po Lwowie z Andrzejem Bartyńskim” – autorka Marlena Ślęzak z Technikum nr 12 – opiekunka p. Marzena Krzempek.

Ponadto wyróżniono prace:

„Tułacze losy kresowian Michała” – autorka Dorota Stachowicz z VII LO – opiekunka p. Grażyna Przybycień;

„Tyle uczuć między jednym uderzeniem serca, a drugim” – autorka Marta Golińska z IV LO – opiekunka p. Katarzyna Cieplińska-Olejek.

Finał XVIII Rajdu odbył się w dniu 14.06.2012 r. w siedzibie Zakładu Naukowego im. Ossolińskich, gdzie uroczysto wręczono wszystkim uczestnikom dyplomy, a zwycięzcom cenne nagrody.

Wszystkim uczniom i ich opiekunom gratulujemy i życzymy dalszych sukcesów.

XVII Konkurs Wiedzy o Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich

Zarząd Oddziału Wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich po raz kolejny zorganizował Konkurs Wiedzy o Lwowie i Kresach Płd.-Wsch.

Do półfinału, który odbył się 12 maja 2012 r. przystąpiło 73 uczniów z 28 szkół – zwycięzców etapu szkolnego. Zadaniem uczestników było wskazanie prawidłowych odpowiedzi na 30 pytań testu, w tym „przetłumaczenie” 6 wyrazów w „bałaku”.

Do finału zakwalifikowało się: 6 uczniów ze szkół podstawowych, 5 uczniów z gimnazjów i 5 uczniów ze szkół średnich. Finał konkursu odbył się 12 czerwca.

Ostateczne wyniki finału:

1. W grupie szkół podstawowych:

I miejsce – Jakub Piznal ze SP nr 50 – opiekun p. Zbigniew Marzec;

II miejsce – Krzysztof Bałenkowski ze SP nr 1 – opiekun p. Barbara Wołek;

III miejsce – Agata Boczar ze SP nr 91 – opiekun p. Katarzyna Laskowska-Boczar

2. W grupie gimnazjów:

I miejsce – Alicja Chomik z Gimnazjum nr 29;

II miejsce – Patrycja Ignasiak z Gimnazjum nr 3 w Oleśnicy – opiekun p. Grażyna Żołędziowska;

III miejsce – Weronika Jagodzińska z Gimnazjum nr 3 w Oleśnicy.

3. W grupie szkół średnich:

I miejsce – Mateusz Zrałka z III LO – opiekun p. Krzysztof Mazur;

II miejsce – Mateusz Bogacz z IV LO – opiekun p. Katarzyna Cieplińska-Olejek;

III miejsce – Paulina Bała z IV LO.

Uroczyste wręczenie nagród i dyplomów zwycięzcom odbyło się 14 czerwca 2012 r. W uroczystości uczestniczyli laureaci – uczniowie i ich opiekunowie oraz rodzice i honorowi goście. Fundatorami pięknych nagród byli: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo „Europa”, Zarząd Oddziału Wrocławskiego TMLIKPW.

Dziękujemy wszystkim, którzy zaangażowali się w te działania kosztem swego wolnego czasu, a przede wszystkim nauczycielom i rodzicom wspierającym nie tylko merytorycznie, ale i emocjonalnie dzieci uczestniczące w konkursach, które wykazały się ogromem wiedzy o Lwowie i Kresach, Dyrekcji SP nr 91 za stworzenie przyjaznej, milej atmosfery.

Serdecznie gratulujemy uczniom i ich opiekunom, a rodzicom dziękujemy za wsparcie i pomoc. □

Mieczysław Kowal Stefan M. Żarów

Stefan M. Żarów, poeta, wiceprezes Zarządu Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie, członek mieleckiej grupy literackiej „Słowo”, członek Zespołu Redakcyjnego Informatora Kulturalno-Społecznego RSTK „Kultura i Pieśń” – dwumiesięcznik.

Urodził się w 1959 r. Studiował na Uniwersytecie Wrocławskim (filozofia), studia podyplomowe ukończył na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej (filia w Rzeszowie) i Uniwersytecie Paris Nord (europeistyka). Długoletni wychowawca młodzieży i pracownik samorządowy, obecnie od 2003 roku pracuje w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie.

Współtworzył Wrocławski Klub Myśli Politycznej „Rzeczywistość” (1980), uczestnik strajków studenckich we Wrocławiu (1981).

Animator kultury, w latach 70. członek chórów: „Mieleckie Słowiki” pod dyr. St. Steczkowskiego i Kameralnego Mieszanego w I LO w Mielcu pod dyr. P. Lisa, a w latach 80. członek Stowarzyszenia Twórców Kultury „Sęka” oraz współtwórca Mieleckiego Klubu Młodych Pisarzy wchodzącego w skład KKMP, w kadencji 2003–2007 członek Zarządu Klubu Środowisk Twórczych przy Towarzystwie Miłośników Ziemi Mieleckiej im. prof. Wł. Szafera.

Debiutował w 1984 r. wierszem „Nokturn”. Wiersze drukuje w prasie regionalnej i ogólnopolskiej oraz wy-



dawnictwach książkowych: „Zapiski Mieleckie”, tom 5–6 (2005), „Mosty ponad czasem”, Katalog TMZM (2006), „Utrwalić siebie”, Almanach z okazji 25-lecia RSTK w Rzeszowie (2006), „Z podróży na wyspy słowa” (2007) i „W rytmie słowa” (2009), „Zanurzeni w słowie” (2011), „W dalszej i bliższej perspektywie”, „So fern wie nah” (2011), „XVII Doroczne Spotkania Poetów” (2011), „Szepty duszy” (2011), „A duch wieje kędy chce” (2012), w wydawnictwach elektronicznych „Odkrywanie Krajobrazów Słowa”, wybór wierszy autora, album CD Rzeszów (2011).

Wiersze tłumaczono na język niemiecki i rosyjski. Jego biogram zamieszczony został w Leksykonie Who is Who w Polsce, Encyklopedii Miasta Mielca oraz w Katalogu Twórców i Animatorów Kultury Ziemi Mieleckiej „Pędzłem, piórem i pasją”.

Stefan M. Żarów

Nie wiem jak ją nazwać

Jakaż cicha melodia
Rozpacz
Uciska moje wnętrze
Przytłaczają wieki
Wspomnienia pobratymców
Jakaż pustka teraźniejszości
Gna liście po bruku ulic
Odgłos przebrzmiałych kroków
Tuli wybrańców
Rozpierzchłych po kątach kamienic
Jakaż to była ojczyzna nacji
Narodów
Wypełniała misję współzycia
Codziennosc
Rywalizujące wzrastanie
Jakiż diament Europy
Zapisany w tych kamienicach
Credo

Wspomnienie wzlotów
Piękno wolności
Jakaż siła pozbawiona duszy
Zrównała życie w wyobraźnię
Despoty
Wzniosła zmumifikowanego
Tyrana
Jakaż siła odrodzi to miasto
Pozbawione kwiatostanu
Zniewoli żądze
Upór
Pokona fobie i jałowość mózgów
Jakaż siła rozwieje gęstwiny
Mroczność lat
Oświecenie
Zmiażdży upiory dziejów
Tchnie płomień w lampę nadziei

Lwów 2003

Stefan M. Żarów

Dom Jana

W popołudniowych umizgach
Majowego słońca
Ciche szemranie zamkniętej bramy
Powraca do rodowej twierdzy
Jan
Obywatel Europy
Wyniesiony na szczyty Rzeczypospolitej
Dumnie unosi głowę
By dojrzeć Chocim
Wzgórze Kahlenberg

Dziś Janie
Stojąc w miejscu twojego wzrastania
Z wysokości zamkowego wzgórza
Nasłuchuję chłopięcego głosu
Zachodzenia kumaków w moczarach
Wspominam ogrody Marysieńki
Lśniący pancerz zbroi
Rycerza poświęconemu Rzeczypospolitej

Olecko 2003 r.

Julian Ataman

Zofia Tołoczyńska



Fot. Mieczysław Kowal

Urodzona w Boryslawiu. Nauczycielka w Studium Nauczycielskim i WSP w Rzeszowie. Przez dwadzieścia lat uczyła wychowania plastycznego w rzeszowskich szkołach. Uprawia malarstwo olejne, rysunek i akwarelę, które jak sama mówi „to moja przyjemność, to mój świat ucieczki w obcowanie z pięknem, to wkładanie mojej duszy i serca na płótno”.

O nieprzebrane źródło najczystszej słodyczy!
O ty ziemi naddziadów wdzięku czarownicy!
Jak silnemi ogniwami twa święta potęga
Z ojczyzną ukochaną dusze nasze sprzęga!

Franciszek Wężyk (1847 r.)

Wiersz Franciszka Wężyka jest najlepszym wprowadzeniem w atmosferę wystawy malarstwa Zofii Tołoczyńskiej. Naiwny wdzięk rymów sprzed przeszło 150 lat harmonijnie łączy się z nazwami Lwów, Wilno, Nowogródek, Zbaraż, Krzemieniec, Drohobycz, Boryslaw, Czerniowce, Słonim. Bo przecież zarówno autorce urodzonej w Boryslawiu i jej mężowi urodzonemu w Słonimiu zależy, aby nazwy te wypełniły treścią. Właściwy każdemu sentyment do stron rodzinnych, dla ich pokolenia miał przez przeszło pięćdziesiąt lat smak owocu zakazanego. I może dlatego sposób myślenia, odczuwania, który dla wszystkich innych teraz pod koniec XX

wieku wydaje się anachroniczny, dla nich urodzonych na Kresach Wschodnich jest naturalny i oczywisty.

Prezentowane na wystawie obrazy charakterystycznych widoków i zabytków świadczących o dawnej świetności, świetności związanej przecież nierozdzielnie z naszą kulturą i historią, tkwią głęboko w bogatej tradycji artystycznej i literackiej okresu porozbiorowego. Celem bowiem przekazów artystycznych w postaci cykli malarskich, relacji podróżniczych, była potrzeba łączenia w świadomości Polaków rozdzielonych barie-



Fot. Mieczysław Kowal

rami granicznymi ziem Polski. Wystarczy przypomnieć tekę rysunków historycznych miast i zabytków całej Polski Napoleona Ordy czy „Okolice Galicji Macieja Bogusza Stęczyńskiego” wydane we Lwowie w 1847 r. Osobnego opracowania wymagałyby relacje podróżnicze z krain geograficznych i historycznych dawnej Rzeczypospolitej od Stanisława Staszica i Wincentego Pola poczynając na wydanej w okresie międzywojennym serii „Cuda Polski” kończąc.

W jednej z książek tej serii „Między Niemnem a Dźwiną” Tadeusz Łopalewski pisze: „Słonim dzisiejszy (1936 r. – przyp. autora) ucichły i przygasły, jest jednak pełen czaru. O ósmej rano i o tejże godzinie wieczorem nad uliczkami miasta nad głowami przechodniów nielicznych rozlega się hejnał strażacki – pierwsze takti słynnego poloneza Ogińskiego. Ta melancholijna melodia to jakby ukłon współczesnych – skierowany w stronę jej znakomitego autora, któremu swój największy blask historyczny Słonim zawdzięcza”. Niech słowa te wprowadzą w czas miniony, któremu przecież poświęcona jest ta wystawa. □

Polski Ruch Oporu w Nadwórnej w latach 1939–1945 (c.d.)

Zdrada i odrodzenie

Działanie polskich organizacji podziemnych w województwie stanisławowskim, podobnie jak w całej Galicji, było bardzo utrudnione na skutek:

- wrogiego nastawienia nacjonalistów ukraińskich,
- działalności rodzimych zdrajców.

W warunkach, gdy każda działalność polska była pilnie obserwowana przez Ukraińców, w warunkach, gdy istniała Milicja Ukraińska na usługach Gestapo, gdy propaganda niemiecka umiejętnie podsycala animozje między Polakami a Ukraińcami – zachodzi pytanie, jak mógł działać jakikolwiek ruch oporu?

Trzeba sobie również powiedzieć, że pod wpływem strachu u panującej nędzy część „Polaków” przyjęła obywatelstwo niemieckie, podpisując tzw. Volkslisty i Reichslisty. Był to wprawdzie niewielki odsetek ludności polskiej, ale... był. Sprawa bolesna, wstydliva, lecz trudno o niej nie wspomnieć. W niektórych rodzinach była to nawet sprawa tragiczna. Były rodziny, w których jej głowa – ojciec – podpisał volkslistę, a jeden z jego synów w tym czasie walczył pod Tobrukiem lub później pod Monte Cassino, a drugi syn musiał założyć mundur niemiecki. Trudno dziś w czambuł potępić wszystkich volks- i reichsdeutsche. Jedni uczynili ten haniebnny krok zniechęceni zwiększonymi przydziałami żywności i innymi przywilejami. Inni, pochodzenia niemieckiego, uczynili to pod naciskiem władz niemieckich i ze strachu. Chociaż trzeba podkreślić, że byli i tacy, którzy mimo niemieckiego pochodzenia nigdy żadnej listy nie podpisali. Nie ulękli się i zachowali obywatelstwo polskie. Ale, byli też Polacy „czystej krwi”, którzy stali się „volksdeutscheami”, kierując się niskimi pobudkami. Z ich grona wywodziła się grupa „Judasów”, którzy zdradzili struktury organizacyjne Ruchu Oporu i współpracowali z okupantem. Nazwiska „volksdeutsche” i „reichsdeutsche” nadworniańskich są na ogół znane wśród społeczności wywodzącej się z tego miasta. Nie ma sensu wymieniać ich tutaj. Ucierpieliby ich potomkowie. Gwoli prawdy trzeba też powiedzieć, że działalność tych odszczepieńców nie była szkodliwa. Byli jednak i tacy, którzy swoim okrucieństwem zapisali się w pamięci nadwornian. Niektórzy z nich, już tutaj na Ziemiach Odzyskanych, musieli stanąć przed polską sprawiedliwością i odpokutować swoje odstępstwo. Zostali osądzeni, zasądzeni i w końcu zrehabilitowani. Jest jednak rzeczą gorszą, gdy dziś potomkowie byłych volksdeutsche odgrzebuja stare dokumenty i na ich podstawie uzyskują obywatelstwo RFN oraz materialne korzyści.

Nic więc dziwnego, że w takich warunkach w listopadzie 1942 r. miała miejsce „wsypa”. Gestapo rozpracowuje organizację Okręgu AK Stanisławów. Następują liczne aresztowania. Niektórzy z aresztowanych nie wytrzymują tortur i „sypią”. Część z aresztowanych członków AK zostaje rozstrzelana w Stanisławowie, część zaś w pierwszych dniach lutego 1943 r. we Lwowie. Aresztowano wtedy między innymi: Wiesławę Warchałowską, Marię Chudiową, Stanisława Ochrymowi-

cza, Romana Śliwę, Antoniego Pikulskiego i Tadeusza Nowotarskiego – wszystkich ze Stanisławowa. Wiesława Warchałowska przeżyła obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Wyszła za mąż za uczestnika Powstania Warszawskiego, rannego w tym powstaniu, Jerzego Rowińskiego z Delatyna. Zmarła w Piasecznie koło Warszawy w 1992 r.

W wyniku tej „wsypy” od 1 października 1943 r. struktura Okręgu AK Stanisławów ulega modyfikacji.

Powstają dwa inspektoraty AK: inspektorat Stanisławów oraz inspektorat Kołomyja.

Inspektorat AK Stanisławów obejmuje obwody: Stanisławów – powiat, Tłumacz, Rohatyn.

Inspektorat Kołomyja obejmuje obwody AK: Kołomyja – Kosów, Horodenka – Śniatyn i Nadwórna.

Powoli organizacja odradza się.

W Nadwórnej z końcem 1943 powstaje konspiracyjna organizacja nosząca nazwę „Polska”. Jej komendantem zostaje dotychczasowy komendant tajnego hufca harcerskiego Grzegorz Andryjowicz „Grzesio”. W kilka tygodni po utworzeniu tej organizacji Grzesio zostaje zamordowany wraz z matką w ich własnym domu przez członków skrajnie nacjonalistycznej organizacji ukraińskiej „Czarna Ręka”.

Po śmierci Grzesia komendę nad „Polską” przejął Karol Bidziński.

„Orły Podkarpackie” – „Lotny Batalion”

W 1943 roku zaczęła działać w powiecie nadworniańskim Ukraińska Powstańcza Armia (UPA). Znajdowała się w lesie między Zieloną a Rafajłową (dziś Bystrzyca) o około 20 km od Nadwórnej. Natomiast największe zgrupowanie UPA znajdowało się w Czarnym Lesie pod Stanisławowem. Watahy UPA napadały na Polaków i dokonywały mordów całych rodzin polskich. Słowa „banderowiec” i „bulbak” są do dziś synonimem okrucieństwa. Mordów na Polakach dokonała UPA w takich wsiach powiatu nadworniańskiego jak: Pasieczna, Majdan, Przerośl, Wisniowce, Zarzecze, Worochoła i Pniów, który był przedmieściem Nadwórnej.

Okrucieństwa te spowodowały konieczność samoobrony ludności polskiej. Podjął się jej oddział bojowy AK noszący nazwę Orły Podkarpackie. Trzon tego oddziału stanowili członkowie konspiracyjnej organizacji „Polska”, której komendantem był, jak już wspomniano, Karol Bidziński, po zamordowaniu Grzegorza Andryjowicza. Karol Bidziński został też komendantem „Orłów Podkarpackich”. Zastępcą komendanta mianowano Ryszarda Skale („Ryska”). Stworzenie takiego oddziału stało się możliwe z końcem 1943 r., gdyż w międzyczasie dorosły dzieci z lat 1939–1941. Mają one obecnie już 17, 18 i 19 lat.

Oddział „Orłów Podkarpackich” był jednym z najliczniejszych oddziałów partyzanckich AK. Liczył około 160 członków z powiatu nadworniańskiego, a dzisiaj przede wszystkim w Okolicach Nadwórnej i Bitkowa. Oddział ten miał stworzyć człon 49 huculskiego pułku strzelców AK (49 p.p.). Jednak bieg wypadków zmienił jego los.

W pierwszych bowiem dniach marca 1944 pojawił się w Nadwórnej radziecki desant czołgowy. Była to grupa szybkiego działania I Frontu Ukraińskiego, która z Kołomyi przez Delatyn przedarła się do Nadwórnej na tyły niemieckie. Grupa ta liczyła 16 czołgów pod dowództwem płk. Umirowa i płk. Stachewicza. Pisz o tym płk mgr Mieczysław Juchniewicz w artykule zamieszczonym w „Wojskowym Przeglądzie historycznym” nr 4 z 1968 r. Wiadomości na ten temat znajdujemy też w artykule o Ryśku Skale, noszącym znamienity tytuł „Skala”, pióra nadwornianina Tadeusza Burzyńskiego, umieszczonym w nr. 1/107 miesięcznika „Odra”, wydanego we Wrocławiu w styczniu 1970 r.

A oto co pisze na ten temat uczestnik tych wydarzeń, major Wojska Polskiego na emeryturze Benedykt Skrzyszewski z Wrocławia:

„Radziecki desant czołgowy pojawił się w Nadwórnej w pierwszych dniach marca 1944 r. Do miasta wjechały (od strony Delatyna) czołgi radzieckie bez walki. Został jedynie zastrzelony serią z czołgowego ckm szef żandarmerii niemieckiej Schlütter, który będąc pijany, biegł z pistoletem w rękę w kierunku radzieckich czołgów”.

Dowództwo „Orłów Podkarpackich” nawiązało kontakt z dowództwem desantu radzieckiego i został stworzony „Istriebitielnyj Batalion”, czyli „Lotny Batalion”. Oddajemy znowu głos mjr. Benedyktowi Skrzyszewskiemu, który pisze:

„nasze zbrojne ugrupowanie było od chwili jego powstania, tj. od pierwszej dekady marca 1944 r. typowy, oddziałem samoobrony, działającym jawnie na terenie miasta, a także okolicy, za aprobatą dowództwa radzieckiego desantu pancernego, który zajął Nadwornę. Zostaliśmy przez tę jednostkę uzbrojeni i otrzymaliśmy nazwę „Istriebitielnyj Batalion”.

Batalion ten po sformowaniu liczył 120 Polaków z terenu powiatu nadworniańskiego. Jego dowództwo przejęli dotychczasowi dowódcy „Orłów Podkarpackich” – dowódcą został Karol Bidziński, jego zastępcą Ryszard Skala, a dowódcą jednego z plutonów był Franciszek Rucido. O ile życiorys Ryśka Skale, późniejszego redaktora „Słowa Polskiego” i założyciela „Wieczoru Wrocławia”, gazet popularnych w stolicy Dolnego Śląska jest szerzej znany, o tyle życiorys Karola Bidzińskiego był dotychczas przemilczany – nawet w tej chwili nie znamy pełnego obrazu jego życia. Publikujemy więc w tym miejscu życiorys tego cichego bohatera nakreślony ręką cytowanego już wielokrotnie mjr. Benedykta Skrzyszewskiego – żołnierza „Lotnego Batalionu”. Oto co on pisze:

„Karol Bidziński, komendant naszego Lotnego Batalionu z zawodu był rzemieślnikiem i mieszkał zbudowanym przez siebie domu, daleko za stacją kolejową, pod lasem, przy drodze prowadzącej do miejscowości Krasne-Lanczyn, a także do Majdanu Średniego. Był on zaprzyjaźniony z moimi rodzicami i po drodze często wswtępował do naszego domu, na rozmowy, pogawędki. Był wysokim mężczyzną (około 180 cm wzrostu) o regularnych, wręcz posagowych rysach twarzy. Szary, oczy szaroniebieskie, stalowego koloru, głos spokojny, niski. Był energicznym, stanowczym, człowiekiem o stałych, niezmiennych zasadach. Późniejsze wypadki pokazały, iż posiadał rozwinięte cechy przy-

wódcze. Tylko on, taki człowiek, mógł być naszym komendantem”.

Niestety, nie znamy przebiegu jego walk i losów żołnierskich. Wiemy tylko, że w latach 60. mieszkał w Kłodzku. Umarł w latach 70. W Długopolu (względnie w Domaszowie) koło Kłodzka. Bylibyśmy wdzięczni za uzupełnienie losów tego bohaterskiego syna Ziemi Nadworniańskiej. Liczymy na listy od żyjących członków Orłów Podkarpackich i Lotnego Batalionu.

Lotny Batalion przez trzy tygodnie ochraniał ludność polską przed rzezią band ukraińskich nacjonalistów. Stoczył z nimi kilka potyczek w okolicznych wsiach i pośpieszył na pomoc Polakom napadniętym w Bitkowie, którzy jednak sami zdołali się obronić. W dniu 28 marca 1944 r. nastąpił kontratak sił niemieckich, nadciągających od strony wsi Sołotwina. Przewaga Niemców była znaczna. Po krótkiej walce ugrupowanie radzieckie, a z nim i Lotny Batalion, zostali zmuszeni do opuszczenia Nadwórnej. Wycofali się do Kołomyi, podpalając uprzednio na stacji nadworniańskiej wagony z parafiną, co stworzyło skuteczną zasłonę dymną.

Żołnierze Lotnego Batalionu z Kołomyi trafili do Wojska Polskiego. W maju 1944 r. znaleźli się w obozie w Żytomierzu. Oto co na ten temat napisał cytowany już Tadeusz Burzyński („Odra”, nr 1/107 z 1970 r.):

„W obozie w Żytomierzu sam Świerczewski zainteresował się grupką chwatów i ścisnął im dłonie: Ryszardowi Skale, Kazimierzowi Sobierajskiemu (mieszka w Nowej Rudzie), Benedyktowi Skrzyszewskiemu (wrocławianin), jego bratu Tadeuszowi (też dzisiaj Dolnoślązak, oficer WP), Tadeuszowi Niemieszowi (sędzia w Szczecinie), Ryszardowi Nowickiemu (docent Politechniki Gdańskiej) i innym. Prawie wszystkich skierowano do szkół oficerskich. Skala trafił najpierw do Łucka, później do Mińska, gdzie jednym z jego wykładowców był Lucjan Szenwald”.

Żołnierzami Lotnego Batalionu byli też Adam Wilczyk (poległ pod Budziszynem), January Hanus, Stanisław Moczorodnyński, Bolesław Langheinig, Stanisław Winnik, Franciszek Pawluk i jego syn Zdzisław, Karol Rowiński, Marian Pasternak (obecnie generał dywizji), Romuald Czerniatowicz, Szopa, Rerutkiewicz, Krupa, Bronisław Kostyk i inni.

Nie wszyscy żołnierze Lotnego Batalionu wycofali się z jednostką radziecką. W Nadwórnej pozostali: January Hanus, Stanisław Moczorodnyński oraz Franciszek Pawluk z synem Zdzisławem. Po powrocie Niemców do Nadwórnej wszyscy wyżej wymienieni zostali aresztowani przez Gestapo za to, że byli członkami AK i Lotnego Batalionu. Rozstrzelano ich w więzieniu w Stanisławowie. Pozostali, którzy uniknęli aresztowania, stworzyli lokalne grupy samoobrony w Bitkowie i Nadwórnej. Jednak po wymarszu Lotnego Batalionu z Nadwórnej w mieście i okolicy zostało bardzo mało Polaków zdolnych do noszenia broni.

(c.d.n.)

Wspomnienie o Gródeckiej ulicy we Lwowie

Jak się w Mościskach szło naszą najważniejszą ulicą do samego końca i jeszcze dalej, to doszłoby się do Gródeckiej ulicy, która była już we Lwowie. U nas był to deptak śródmiejski, pełniący rolę miejscowej promenady. Szczególnie w niedzielne popołudnia zapelniony był spacerującymi i chcącymi się pokazać na widok publiczny. Wówczas samochody jeszcze nie przeszkadzały idącym środkiem ulicy. A we Lwowie ulicą Gródecką można było dojść prostą drogą z dalekiego gródeckiego przedmieścia aż do samego centrum i dojechać właściwie wszędzie „tramwajem elektrycznym” z nowoczesnego Dworca Głównego – pierwszego w Polsce z tunelami podziemnymi i krytymi przeszklonymi peronami. Po drodze mijano się też słynny lwowski bazar za Teatrem Wielkim. A jak się wyszło z tego targowiska, co się Krakidalami tutaj nazywało, na Gródecką ulicę w kierunku zachodnim, to idąc przez cały czas prosto i nie zbaczając z tej drogi, można by dojść właśnie do Krakowa, przez Mościska oczywiście.

Podobało mi się na Gródeckiej ulicy, chociaż może i nie najładniejszej, ale nie mniej lwowskiej niż inne, a nawet bardziej od nich mościskiej, bo stąd i do Mościsk było bliżej, i moja przyszywana ciocia – koleżanka mojej Mamy – tutaj mieszkała, której nazwiska już nie pamiętam, ale wiem, gdzie to było. Gdzieś w pobliżu, gdzie i Szczepcio – ten od Tońcia Tytyłyty z Wesołej Lwowskiej Fali – mieszkał; i Kurtycz – ten z nieodłączną swoją pudłową gitarą – co „Cichą wodę” śpiewał; gdzie pod obecnym numerem 197 i Kazimierz Górski – ten, który mówił, że bramki są dwie – zamieszkiwał oraz szmaciankę kopał; gdzie, jak co niektórzy mówią, Stanisław Jopek – ten Pierwszy Furman Rzeczypospolitej – przebywał, a nawet do szkoły tu chodził, chociaż w Zimnej Wodzie się urodził, która leży na przedłużeniu Gródeckiej, tak jak Mościska, prawie we Lwowie. „A lwowiaki wszystkie niegorsze, od stóp do głów z nich byli”.

Czasem bywałem na Gródeckiej ulicy u „mojej” cioci i dobrze „poobzierałem” sobie to jej typowo lwowskie mieszkanie. Składało się z dwóch czy trzech pokoi i obszernej kuchni, gdzie koncentrowało się całe życie towarzyskie. Było zatłoczone jak wszystkie lwowskie mieszkania chyba dla utrapienia mieszkańców, którzy się jednak doskonale w nim czuli. Dość małe pokoje mieszkalne wyglądały raczej jak magazyny mniej lub bardziej niepotrzebnych przedmiotów, które rodzina gromadziła przez dziesiątki lat, a sowioci nie zdążyli jeszcze zabrać. Ściany były mało widoczne, bo je zakrywały prawie od sufitu, znaczy się od powały aż do podłogi dywany, kilimy, makaty. Wisiały tam i kicze przedstawiające różnego rodzaju zwierzęta, z jeleniem na czele oczywiście. Było też kilka rzeźb. W każdym pokoju po kilka zegarów źle chodzących, a wśród nich jeden największy, taki z wyskakującą co godzinę kukłą. Na półkach, we wnękach, na stolikach, gzymsach kafflowego pieca, wszędzie gdzie można było coś postawić, powtykano wazy, wazon, tace, jakieś pudełka, szkatułki, dzbanki; ustawiono też niezliczoną ilość figurek porcelanowych oraz sztuczne owoce. Wszystko to znajdowało się wśród nadmiernej ilości mebli, wiel-

kich luster i stołów, taboretów, krzesel, fotelików, sof, kanap i tapczanów. A w kuchni na ścianach widniały haftowane napisy: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”, albo tylko „Smacznego”.

Była to ulica, gdzie i moja Mama za sowieckiej władzy w kiosku za rogiem pasztetówkę – co się to wtedy „liwierną kolbasą” nazywało – kupowała i swoim dzieciom do Mościsk wiozła, czyli – po naszymu mówiąc „wiezła”, bo do nas nawet czegoś takiego nie dowozili, gdzie w końcu i ja się z „moim” Lwowem żegnałem, bo dosięgła mnie repatriacja i zbliżał się czas odjazdu.

Wybrałem się „z tej okazji” na samotny spacer najdłuższą, ale niestety nie najpiękniejszą z lwowskich ulic, Gródecką ulicą, bo to jakby przedłużenie naszej mościskiej promenady, biegnącej prosto przez Sądową Wisznę, Gródek Jagielloński, Zimną Wodę, niedaleko od słynnego kolejowego Dworca Głównego ze szklanym dachem i pierwszym w Polsce przejściem podziemnym, który w chwili jego powstania był najokazalszym dworcem na ziemiach polskich, obok kościoła Świętej Elżbiety z trzema strzelistymi wieżami, w pobliżu soboru Świętego Jura oraz położonego nieco niżej ogromnego pawilonu cyrku, obok kościoła Świętej Anny i kończącej swój bieg przy Teatrze Opery i Baletu. To główna ulica lwowskiej Dzielnicy Gródeckiej, nazywanej kiedyś krótko: Gródek. Stąd było najbliżej do Mościsk.

Nazwę swą bierze ta najbardziej mościska lwowska ulica z kierunku, z jakiego biegnie, to jest ze strony Gródka Jagiellońskiego, gdzie król Władysław Jagiełło życie zakończył. A Jagiełło to po ichniemu „Jagajło”. Jak się łatwo domyślić, nazwisko to zostało wyrugowane z nowej nazwy królewskiego miasta – pozostał tylko „Gorodok”. Taką polsko-królewską nazwę ulicy we Lwowie też należało szybko zmienić.

Przemianowano więc tę ulicę na „1 Maja” lub na „1 Trawnia”. Już dokładnie nie pamiętam, ale tym zamazywaczom polskości i prawdy historycznej chodziło chyba o coś, co byłoby związane z majem. Tak czy inaczej, okazało się, że to ulica „1 Maja”. Przy okazji przedłużono ją aż do Teatru Wielkiego, likwidując w ten sposób z nazwy niewygodną ulicę Kazimierzowską, czyli Kazimierza Wielkiego. Na szczęście obecnie przywrócono jej nazwę, ale brzmiącą już po ukraińsku. Dobrze i to chociaż. Teraz ta „wulycia” z powiększoną swoją długością sięga teatru, a nawet trochę dalej, bo do Krakidaliów. Kazimierzowskiej wciąż nie ma. Po ciachu przepadła.

Jak już wspominałem, ulica ta „biegła” z Mościsk do Lwowa, ale można było nią dojść lub dojechać ze Lwowa aż do samych Mościsk. Będąc traktem wylotowym, ulica Gródecka zmusza do pożegnań. Tutaj i ja żegnałem się z miastem mojej młodości... Widać było jeszcze „... z dala już niestety / wieże kościoła Elżbiety / oto zbliża się odjazd czas...” Opuszczałem więc Gródecką ulicę, patrząc – tak jak wszyscy to miasto opuszczający – na oddalające się wieże kościoła Świętej Elżbiety, tej pięknej neogotyckiej świątyni lwowskich kolejarzy.

Kościół Świętej Elżbiety przypomina mi wciąż pozostawione miasto, z którym ostatecznie żegnałem się na słynnym lwowskim Dworcu Głównym. Wsiadłem do

pociągu – jak zwykle – na czwartym peronie i pojechałem do domu. Widziałem z okna pociągu, skręcającego z dworca w prawo – już z oddali – całą zachodnią jego część; z jedną z dwóch mniejszych kopuł i z dwoma łukami żelaznych przeszklonych dachów nad peronami. Popatrzyłem jeszcze na oddalający się już napis „Lwów”, umieszczony na budynku dworca, spojrzałem na powiewającą ukraińską flagę nad kopułą tego budynku i powiedziałem sobie: „proszczaj Lwów”. Pożegnałem to miasto na długie 45 lat, nie myśląc nawet, że „może uda się, że powrócę znów i zobaczę miasto Lwów”. A po lwowsku to brzmi: „Może uda si, ży powrócy zdrów / I zobaczy miasto Lwów”...

Tym potężnym i wspaniałym cytatem lwowiacy rozrzućeni po całym świecie przez lata podtrzymywali się na duchu, mając nadzieję na powrót do swojego miasta.

W moim przypadku prorocze słowa piosenki częściowo ziściły się po 45 latach, bo dopiero po takim okresie znalazłem się, chociaż na krótko, we Lwowie. „Wróciłem zdrów, by zobaczyć miasto Lwów”. Poszedłem oczywiście tam, na tę naszą mościską Gródecką. Niby ta sama, ale jakaś zupełnie inna. Przede wszystkim zapamiętałem ją jako szeroką arterię, która teraz „przybrała” nagle rozmiary dość wąskiej zatłoczonej ulicy, gdzie dwa mijające się tramwaje ocierają się prawie o siebie. Pozostały tu jeszcze te osławione przedwojenne kocie łby, które tworzą w wielu miejscach jezdni wielkie dziury i doły. To dobrze wybrukowana nawierzchnia ulicy – jeszcze za dobrych czasów najjaśniejszego pana cesarza Franciszka Józefa – teraz zapadła się, pozostawiając tory tramwajowe wysoko w górze. Ale ludzie przyzwyczaili się, jakoś jeżdżą i chodzą mimo braku oznakowanych przejść. Właściwie, to tych przejść w ogóle tutaj nie ma. Znaki drogowe prawie niewidoczne albo wcale ich tu nie było, każdy tam jeździ jak chce, a ludziska wciskają się między sznur samochodów w każdym miejscu. W tej sytuacji na drugą stronę ulicy aż strach przechodzić po tych dawniejszych „kociach łbach”, dolinach, pagórkach i wystających szynach oraz między na osłep pędzącymi samochodami i innymi pojazdami kołowymi.

Władze sowieckie ściągały do Lwowa ludność z dalekich zakątków ZSRR, obcą nierzadko mentalnie i

kulturowo nawet Ukraińcom. Ci przybysze mówili bardzo różnie: przeważnie po wsiowo-lwowsku, a lwowski język potoczny stawał się coraz bardziej prymitywnym bo zasiedlali to miasto tacy „ni pysaty ni czytaty”.

A teraz na ulicy Gródeckiej widzę ten tłum przepychających się współczesnych tubylców, ale tych wspomnianych wcześniej głośników – z których płynęła przodująca nauka o bezpiecznym przechodzeniu na drugą stronę ulicy – już tu nie zauważyłem. Za to po bokach widać obdrapane, od przed wojny nie odnawiane budynki z powybijanymi szybami, a na chodnikach tłum tambylców, potomków tych, co ich tu kiedyś nazywano kałmukami. Same prostackie twarze. Przejście całkowicie tarasuje blaszany beczkowóz z napisem „Kwas chlebowy”. Wszyscy muszą go omijać, wychodząc na jezdnię wprost pod samochody. Nikt nie protestuje – idą wszyscy wyćwiczeni w posłuszeństwie oraz w niepodskakiwaniu władzy. Przeżywa się tu szok inności, nie tylko dotyczący szarości budynków, stanu dróg i ulic, ale również i wyglądu ludzi na tych ulicach, którzy – według relacji młodych Polaków odwiedzających Lwów – „dziwnie jakoś się na siebie patrzą, tłoczą się okutane w chusty baby z bańkami mleka, chłopcy w cerowanych kufajkach rozglądają się jakimś mętnym wzrokiem nie wiadomo za czym. A później te same baby z pustymi już bańkami od mleka i workami na plecach stoją w dużych kolejkach przed sklepami po jakieś zakupy za pieniądze „uzyskane z mleka”. Jeśli to tak ich teraz nasza młodzież widzi, to nie ma tym obecnym lwowianom czego zazdrościć, a i żałować ich nie można i nie trzeba, bo sami sobie taki los zafundowali.

Nie sposób nie odczuwać tu rozczarowania, pomieszania z niezadowoleniem i niedowierzaniem, że do takiego stanu można było doprowadzić Lwów i tę naszą ulicę gródecko-mościską. Można sobie tylko wyobrazić, że gdyby ten nasz Lwów był teraz w Polsce, to i ta nasza ulica, prowadząca do Mościsk, wyglądałaby inaczej i oni tu żyliby inaczej. Chociaż nie. Nie byłoby ich wtedy we Lwowie i na mojej ulicy.

Dla mnie jednak – jak mi się wciąż wydaje – metr na ulicy Gródeckiej był i jest dłuższy, a mieszkam teraz przy ulicy Orłąt Lwowskich w Warszawie. □

Tadeusz Skrzyp

„Pokłon złożyliśmy ludziom minionym”

(Cz. Miłosz – „Legenda”)

„W domu”, „u nas”, „na Wschodzie”... Przez wiele lat słychać było te słowa w domach „tych z za Buga” na co dzień, w czasie świąt, spotkań rodzinnych i sąsiedzkich i innych ważnych wydarzeń. Czuło się wtedy, że myśli biegną gdzieś daleko... I smutne wspomnienia, które w wyobraźni dziecięcej zaczęły z czasem układać się w obrazy wspaniałego świata. Ziemi – piękniejszej od innych, ludzi nadzwyczajnych, zdarzeń niepowtarzalnych – ciągle pulsujących życiem... trwających. Takie obrazy mogła tworzyć tylko głęboka miłość i wszechogarniająca tęsknota.

W ten arkadyjski świat wkraczały często obrazy grozy... ludzie paleni w kościołach, gdzie szukali ratunku, cięci piłami, rąbani siekierami. Pamiętano i wymieniano

nazwiska ofiar. Wracano jednak do tego co było piękne i podtrzymywano nadzieję na powrót. Niektórzy wierzyli do ostatniego tchnienia. Szkoda, że niewielu dożyło czasów, kiedy można zobaczyć to co utracili, chociaż nie wszyscy chcieliby z tej możliwości skorzystać, bojąc się konfrontacji wspomnień z rzeczywistością. Jadą jednak ich potomkowie, pielgrzymują do przeszłości, idąc śladami utraconymi w świadomości. W bieżącym roku już po raz siódmy Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Głubczycach zorganizowało wyjazd na teren dzisiejszej Ukrainy. Głównymi organizatorami byli prezesi Edward Wołoszyn i Kazimierz Naumczyk.

Wyjazd z Głubczyc nastąpił w czwartek 30 czerwca o godz. 19.00. Siedzących w autokarze powitał prezes Edward Wołoszyn, sprawdził obecność, przedstawił uczestników, kierowców Zbigniewa Burzyńskiego i Dariusza Kraśnickiego. I w drogę... Kapelan Kresowiaków ks. Adam Szubka odmówił z uczestnikami modlitwę o szczęśliwą podróż... Głośnie początkowo rozmowy stopniowo cichły, a w ich miejsce wchodziły odgłosy śniadającego o zasypianiu. Ożywienie nastąpiło około północy, gdy autokar wjechał na parking przed zajazdem w Piłźnie. „Rozprostowanie” kości i późna kolacja. Największym powodzeniem cieszyła się specjalność zakładu – golonka po podkarpaccu.

1 lipca – piątek

O świcie docieramy na przejście graniczne Korczowa – Krakowiec. Po ukraińskiej stronie problemy z dokumentami autokaru. Czy będziemy mogli przekroczyć granicę? Kierowcy, prezes Kazimierz wsparci przez panią Lubę (obywatelkę Ukrainy wracającą z Głubczyc do domu) wyjaśniają problem w kierownictwie przejścia i możemy jechać. Mijamy miejscowości o nazwach brzmiących i swojsko... i obco. I widoki u nas niespotykane – łąki ze stadami krów i koni, na przecinających zielone przestrzenie strugach białe stadka gęsi i kaczek, przed domami ogródki warzywne. Ani śladu krasnoludków. W dawnym Jaworowie opuszcza nas pan Edward Leńczak i udaje się do krewnych w Gródku Jagiellońskim. Z boku mijamy Lwów i zajeżdżamy do Bóbrki przed domem rekolekcyjno-noclegowym przy kościele pw. św. Mikołaja. Wita nas proboszcz ks. Marian Kuc. Przydziela pokoje i zaprasza na pożywne śniadanie. W południe jesteśmy we Lwowie. Jedziemy długą ul. Łyczakowską. Mijamy kamienicę, na której pamiątkowa tablica informuje, że tu 29 października 1924 r. urodził się poeta Zbigniew Herbert, z daleka widzimy kościół pw. św. Antoniego, cały czas czynny i zatrzymujemy się na parkingu przy głównym wejściu na Cmentarz Łyczakowski. Jest jednym z najstarszych w Europie, początkiem sięga roku 1786. Zajmuje ponad 40 ha i jest podzielony na 80 pól. Nagrobki i grobowce wykonano w różnych stylach. Podziwiać można odnowione rzeźby braci Schimserów, T. Dykarskiego, L. Marciniaka, C. Godebskiego, T. Boracza, J. Markowskiego i innych. Spoczywają tu obywatele Lwowa: powstańcy z 1831 r. i 1833 r., świeccy i duchowni, ludzie nauki i sztuki – m.in. Benedykt Dybowski, Karol Szajnocha, Seweryn Goszczyński, Artur Grottger, Stanisław Niewiadomski, Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Luna Drexlerówna. Przy grobie Władysława Bełzy zmarłego 29 stycznia 1913 r. na usta cisną się słowa „Katechizmu dziecka polskiego”:

*Kto Ty jesteś? – Polak mały.
Jaki znak Twój? – Orzeł biały.
Gdzie Ty mieszkasz? – Miedzy swemi.
W jakim kraju? – W polskiej ziemi.
Czym ta ziemia? – Mą ojczyzną.
Czym zdobyta? – Krwią i bliźną.
Czy ją kochasz? – Kocham szczerze.
A w co wierzysz? – W Polskę wierzę.
Coś Ty dla niej? – Wdzięczne dziecię.
Coś jej winien? – Oddać życie.*

Ostatnie słowa „Katechizmu” brzmią w sposób szczególny na Cmentarzu Orląt Lwowskich – autonomicznej części Cmentarza Łyczakowskiego. Spoczywa tu ok. 3 tys. uczestników obrony Lwowa i Małopolski Wschodniej poległych w latach 1918–1920 i zmarłych w latach późniejszych. Cmentarz powstał z inicjatywy

Straży Mogił Polskich Bohaterów założonej przez Marię Ciszową – matkę jednego z poległych gimnazjalistów. W roku 1921 rozpisano konkurs na projekt mauzoleum. Laureatem został student Politechniki Lwowskiej Rudolf Indruch – jeden z obrońców Lwowa. W najwyższym punkcie znajduje się kaplica Luny Drexlerówny z rzeźbą Matki Boskiej z Dzieciątkiem, poniżej kolumny, w której spoczywa 72 obrońców Lwowa, poległych w listopadzie 1918 r. Po lewej stronie pomnik lotników amerykańskich, po prawej żołnierzy francuskich poległych w obronie Polski. Niżej znajdują się mogiły dowódców i ludzi – działaczy zasłużonych dla sprawy polskiej we Lwowie. W największej części spoczywają studenci i gimnazjaliści, czeladnicy i dziewczyny... i dziewięcioletni Jaś Kukowski, który zginął z karabinem w rękach. Na znajdującym się w centrum „Grobie Nieznanego Żołnierza” najmłodszy uczestnik pielgrzymki Kuba składa wiązanek białych-czerwonych kwiatów, przy zapalonych zniczach chwila modlitwy i zadumy...

*Kto Go tak uczył? Kto Go tak skusił?
Jaka muzyka? Do jakich słów?
Kto Go opętał? Kto Go przymusił?
Żeby On zginął? Za co? Za Lwów?*

(Marian Hemar)

I powrót przez starą część cmentarza i odczucie dysharmonii – jakoś nie pasują do starych grobów te bliskie naszym czasom z wyobrażeniami postaci marynarza, tancerki, dziecka... Przed wejściem przyjmuje nas pani Krystyna Adamska, oprowadzająca wycieczki po Lwowie. Przejedźdżamy do centrum miasta. Pomnik Adama Mickiewicza – najpiękniejszy jaki widziałem – zaprojektowany przez Antoniego Popiela został odsłonięty 30 października 1904 r. Przetwał on wszelkie zawirowania historyczne. Idąc nad korytem podziemnej rzeki Pełtew po prawej figura Matki Boskiej i duży krzyż upamiętniający odzyskanie wolności przez Ukrainę. Przechodzący ludzie kreślą znak krzyża jeden lub trzykrotnie. Dalej piękna kompozycja kwiatowa zapowiadająca Euro 2012.

Zza fontann wylania się gmach Teatru Opery. Wybudowany został według projektu Zygmunta Gorgolewskiego i pod jego nadzorem w latach 1897–1900. Gośćmi honorowymi na otwarciu w dniu 30 października byli: H. Sienkiewicz, I. Paderewski i H. Siemiradzki, który podarował teatrowi namalowaną przez siebie kurtynę. Dyrektorem został Tadeusz Pawlikowski. Wewnątrz piękny wystrój secesyjny. Na zewnątrz rześisty deszcz. Wsiadamy do autokaru i wracamy do Bóbrki. Gdy byliśmy we Lwowie ks. Adam Szubka z krewnym Z. Perlakiem odwiedzili Kozową i Lipszce. Najważniejszym dla nich było zapalenie znicza na grobie dziadka Szubki, który za zarobione w Ameryce pieniądze gromadził materiał na budowę kościoła. Realizacji planu przeszkodził wybuch II wojny światowej. Odwiedzili też krewnych. Po wieczornym posiłku udałem się do pobliskiego Wołowego – miejsca mojego urodzenia. Babci na murowanka, o której opowiadała z dumą, wydała mi się jakaś niepokazna... mimo to serce biło szybciej i mocniej. Obecni mieszkańcy – obcy ludzie – ale gościnni.

2 lipca – sobota

Bóbrka. Rano Msza św., śniadanie, znoszenie bagaży do autokaru i wyjazd do Lwowa. Przed pałacem arcybiskupim oczekuje na nas p. Krystyna Adamska. Podjechaliśmy pod Wysoki Zamek i wychodzimy na Kopiec Unii Lubelskiej, z którego roztacza się wspaniały widok na Lwów, na otaczające miasto wzgórza pokryte gęstwiną lasów. Kopiec został usypany w trzech-

setną rocznicę Unii Lubelskiej z inicjatywy Franciszka Smolki i przy znacznym jego wsparciu finansowym. Kim był? To urzędnik austriacki przysłany przez cesarza w celu germanizowania „żywiolu polskiego”. Po kilku latach spolonizował się, a jego potomkowie czuli się już Polakami.

W czasie przejazdu autokarem dowiadujemy się, że Lwów liczy ok. 850 tys. mieszkańców, że Polacy stanowią tylko 1% ogółu i zajmują trzecie miejsce po Ukraińcach i Rosjanach. Miasto ma 11 wyższych uczelni państwowych i wiele prywatnych. Na samej tylko Politechnice Lwowskiej studiuje ok. 25 tysięcy studentów. Mijamy secesyjne kamienice, pałace, między innymi Dzieńszczycki, Bractwa Kurkowego. Spod pałacu arcybiskupiego spacer na Starówkę. Na placu przed Cerkwią Wołoską swoisty targ książki, któremu patronuje kilkumetrowej wysokości pomnik pierwszego drukarza lwowskiego Daniłowicza. Cerkiew Wołoska to świątynia renesansowa ufundowana przez hospodara moldawskiego Aleksandra Łopuszanina należąca do Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Najcenniejszym zabytkiem jest ikona Przemienienia Pańskiego z XVI w. Przylega do niej kaplica Trzech Świętych: Jana Chryzostoma, Bazylego Wielkiego i Grzegorza z Nazjazu i będąca jej miniaturą.

Bardzo blisko stąd do katedry pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Boskiej, najważniejszej świątyni łacińskiej. Została wzniesiona w latach sześćdziesiątych XIV w. Jej pierwszym budowniczym był Niczko pochodzący prawdopodobnie z Opawy. Na początku XV w. M. Gensecke zasklepił prezbiterium. W ciągu następnych wieków dokonywano licznych przeróbek. Zachował się barokowy ołtarz główny ozdobiony czterema kolumnami z posągami św. Augustyna, Grzegorza, Ambrożego i Hieronima wykonanymi przez M. Polejowskiego. Pod koniec XIX wieku wykonano nowe witraże wg projektów J. Matejki, J. Mehofera i T. Axentowicza. W ołtarzu głównym znajduje się czołowy obraz Matki Bożej Łaskawej namalowany w 1598 r. przez J. Szolę-Wolfowicza, przed którym złożył śluby król Jan II Kazimierz w czasie potopu szwedzkiego. Wśród wielu tablic pamiątkowych – poświęcona Włodzimierzowi Dzieduszyckiemu założycielowi Muzeum Przyrodniczego oraz Oldze i Andrzejowi Małkowskim, którzy w 1911 roku założyli pierwszą na ziemiach polskich drużynę harcerską, a umieszczoną dzięki staraniom byłego mieszkańca Głubczyc Wiesława Turzańskiego. Oddajemy cześć relikwii świętych – arcybiskupa Józefa Bilczewskiego i ks. Zygmunta Gorazdowskiego beatyfikowanych we Lwowie przez Jana Pawła II 26 czerwca 2001 r., a kanonizowanych przez Benedykta XVI w 2005 r.

Obok katedry kaplica Boimów z renesansową ścianą frontową. Następną świątynią jest katedra św. Jura – główna świątynia unicka na Ukrainie. Zbudowana w I połowie XVIII wieku w miejscu wyburzonej budowli średniowiecznej z inicjatywy bpa A. Szeptyckiego na planie krzyża o bogatej fasadzie ozdobionej posągami św. Jerzego, św. Anastazego i św. Leona dłuta J. Pinsla. Bogato zdobione ołtarz główny, ikonostas, ściany i sklepienie. Na uwagę zasługuje replika całunu turyńskiego, przed którym modlą się wierni, w krypcie spoczywają metropolici Kościoła greckokatolickiego.

Przejazd na Wzgórze Wuleckie. Mijamy pomnik Stefana Bandery strzeżony przez niewidocznych tajniaków, budynki Politechniki Lwowskiej, wieże kościołów. Wzgórze Wuleckie to miejsce kaźni profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza w dniu 4 lipca 1941 r. Przed skromnym pomnikiem z nazwiskami zamordowanych

przez hitlerowców zapalanie zniczy – światełek pamięci, modlitwa za zmarłych. Widzimy przygotowania do uroczystego odsłonięcia stojącego niżej pomnika przez prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza i mera Lwowa Andreja Sadowy. Listy przygotowali jeszcze przed wojną nacjonałści ukraińscy. Dużą rolę w ujawnieniu zbrodni odegrała hrabina Karolina Lanckorońska profesor historii sztuki na Uniwersytecie Jana Kazimierza, kobieta niezwykle odważna. Żegnamy panią Krystynę, dziękujemy za oprowadzenie po Lwowie. Jeszcze obiad w Puzatej Chacie – z bardzo bogatego jadłospisu każdy może wybrać to co lubi, kawa, deser... i żegnamy Lwów.

Na trasie do Tarnopola Złoczów. Niewielki rynek, z boku kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, zadbany i cały czas czynny. A to dzięki proboszczowi ks. Cienskiemu. To on w czasie przesuwania się frontu znalazł w rowie rannego czerwonoarmistę (wracał wówczas z posługi kapłańskiej). Przywiózł na plebanie, zapewnił opiekę. Uratowany okazał się oficerem NKWD i chciał się odwdziżyć za uratowanie życia. Proboszcz miał tylko jedno życzenie, aby nie zamknąć to kościoła. I tak się stało. Przez wiele lat spełniał posługę kapłańską na bardzo rozległym obszarze obejmującym także grekokatolików i prawosławnych. Często intuicyjnie wyczuwał, gdzie trzeba nieść pomoc i zjawiał się bez wezwania. Opowiadając historię siostra zakonna dodała, że z rąk ks. kardynała S. Wyszyńskiego otrzymał sakrę biskupią, ale tego faktu nie ujawniono. Żegnamy Lwów.

Mijamy wsie. Uwagę zwracają zarośnięte chwastami cmentarze z widocznymi gdzieś tam niebieskimi krzyżami. Zaskakuje nas dlatego jeden zadbany koło miejscowości Lachy – obecnie Czerwone. Okazuje się, że to cmentarz żołnierzy SS Galizien.

Z inicjatywy brata Andrzeja zatrzymujemy się w Jezierze przy cudownym źródleku mającym związek z objawieniami uznanymi przez prawosławie. Piękna oprawa architektoniczna, a na wprost źródła werset z Pisma Świętego w języku ukraińskim „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni jesteście, a ja was pokrzepię”. Nabieramy wodę.

Wieczorem docieramy do Tarnopola. W dużym domu gościnnym przy parafii pw. Miłosierdzia Bożego i Matki Boskiej Nieustającej Pomocy wita nas gospodarz ks. proboszcz Andrzej Malig. Smaczny posiłek obiadokolacja podany przez niezwykle sympatyczne kucharki.

3 lipca – niedziela

Tarnopol. Po śniadaniu kilka osób uczestniczy we Mszy św., inni poznają pobliską część miasta. Państwo Sobczakowie z Głucholaz z ciotką udają się do krewnych w Ihrowicy. O godz. 10.00 wyjeżdżamy do Zbaraża. Zatrzymujemy się przed kościołem pw. św. Antoniego, gdzie oczekuje nas E. Wołoszyn, który od poprzedniego wieczora gości u o. Berarda – proboszcza. Z pobliskiej cerkwi dobiegają śpiewy liturgiczne. Podchodzimy i zauroczeni słuchamy.

Zbaraż to miasto rejonowe w obwodzie tarnopolskim liczące ok. 14 tys. mieszkańców. Pierwsza wzmianka pochodzi z 1211 r. Od XIV w. należał do książąt Zbarskich, później kolejno Wiśniowieckich i Potockich.

Kościół parafialny to imponująca bryła o dwóch wieżach i mocno zniszczonej fasadzie. Wewnątrz świeże tynki, trzy odnowione ołtarze boczne – a było ich trzy naście. Pierwszy kościół i klasztor oo. Bernardynów ufundował książę Jerzy Zbarski, ale został zniszczony w czasie powstania Chmielnickiego. Obecny pochodzi z 1755 r. i otrzymał barokowy wystrój. Przetwał dwie wojny światowe... zdewastowały go władza radziecka i

ukraińska. W latach 1945–1990 w klasztorze był szpital, a w kościele skład soli, później fabryka. Pod ścianami leżą fragmenty ołtarzy – do renowacji, konfesjonał zбитy z tarcicy. Przed o. Berardem Zadojko wiele pracy, a środków finansowych brakuje ciągle. Ubolewa też, że nie udało się uratować pięknych fresków wykonanych przez Śliwińskiego. O godz. 11.30 ks. A. Szubka odprawia nabożeństwo do Najświętszego Serca Pana Jezusa, a o godz. 12.00 w asyście o. Berarda Mszę św. Modlitwy (wybrane) odmawiano w języku polskim i ukraińskim i wtedy czuło się prawdziwą powszechność Kościoła. W czasie kazania ks. Szubka dobitnie mówił o konieczności chrześcijańskiej miłości bliźniego, zamknięciu przeszłości i czuwaniu, aby nie odrodziło się to, co było złe, niszczące ludzką solidarność. Przed ołtarzem 9 ministrantów w różnym wieku. W ławkach ludzie w różnym wieku, dużo młodych śpiewających polskie pieśni, wspierających piękny głos organistki Wiktorii (krewnej pana Zbigniewa Solskiego z Głubczyc) i nauczycielki miejscowej szkoły muzycznej. Po Mszy św. pamiątkowe zdjęcie. I podjeżdżamy na parking przed zamkiem. Mostem nad szeroką 20-metrową fosą – obecnie bez wody – podchodzimy do dwupiętrowej barokowej bramy i jesteśmy na dziedzińcu. Fundatorami byli książęta Jerzy i Krzysztof Zbarascy, zaprojektował Henryk van Peene z Flamandii. Budowę ukończono w 1626 r. Twierdza zbudowana została na planie kwadratu o boku 88 m., ma na rogach 4 baszty o wysokości 23 m. Twierdza zasłynęła z obrony w 1649 r. Przez 43 dni (10 lipca – 22 sierpnia) 14-tysięczna załoga polska pod dowództwem księcia Jeremiego Wiśniowieckiego broniła miasta atakowanego przez ok. 150 tys. połączonych wojsk tatarsko-kozackich B. Chmielnickiego. Po wielu nieudanych próbach udało się w końcu dotrzeć do króla Jana Kazimierza, M. Skrzetuskiego i powiadomić o tragicznym położeniu obrońców. Ten bohater stał się pierwowzorem dla postaci J. Skrzetuskiego z „Ogniem i mieczem” H. Sienkiewicza. Odsiecz królewska położyła kres oblężeniu. Podpisano wówczas ugodę zbaraską. Do tych wydarzeń nawiązuje utwór Henryka Zbierzchowskiego:

... Wskreszona piórem wielkiego pisarza
Dotychczas żyje w każdej polskiej duszy
Cudowna wizja obrony Zbaraża.
Starego zamku ziemicy Podolskiej.
Do dzisiaj każdy z Polaków pamięta
Jak to walczyli Jaremy rycerze:
Husarz Skrzetuski, olbrzym Podbipięta,
Wołodyjowski – żołnierz nad żołnierze.
I jak ten zamek płonął w mrokach nocy
Niby pochodnia wierności i mocy...

(„Obrona Zbaraża”)

Zamek był trzykrotnie niszczone – raz przez Turków w 1675 r., dwa razy przez Rosjan w 1707 r. i 1734 r. Zawsze jednak był odbudowywany. Zwiedzanie zamku odbywamy pod opieką przewodniczki pani Czajki. W holu, na wprost wejścia, stoją popiersia wodzów kozackich, którzy nigdy zamku nie zdobyli. Na piętrze wystawa fotografii innych zamków na Ukrainie, rękodzielnictwa, pamiątek ukraińskich. Z polskich akcentów dostrzegam jedynie portrety książąt Jerzego i Krzysztofa. To przykre. Książę Krzysztof Zbaraski odbył w 1622 r. poselstwo do Turcji, gdzie notyfikował korzystny dla Polski układ, dwa lata wcześniej domagał się uchylenia przez Sejm podatków na utrzymanie 60 tys. żołnierzy dla obrony wschodnich granic Rzeczypospolitej. W kamatach ekspozycja oręża, w tym broni ręcznej,

przedmiotów pochodzących z wykopalisk i codziennego użytku, w lochu narzędzi tortur. Dużo miejsca zajmują w dawnej części gospodarczej rzeźby Włodzimierza Łupijczuka ilustrujące legendy ukraińskie, ale przede wszystkim przedstawiające postaci wojowników kozackich.

W parku poniżej zamku stoi pomnik A. Mickiewicza, który wcześniej stał w centrum miasta. Po usunięciu został wrzucony w bagna, później zdewastowali go radzieccy żołnierze. Dzięki Polakom znalazł swoje miejsce. W miejscu przed Urzędem Miasta stoi obecnie pomnik S. Chmielnickiego. Zbaraż ma także pomnik Dmytra Kłaczewskiego – dowódcy UPA prawdopodobnie inicjatora mordów na ludności polskiej na Wołyniu.

Spacer przez miasto, obiad i wyjazd do Tarnopola. Od grupy odłącza się Józef Pajęczkowski z córką Ewą i jadą do miejscowości Dobrowody – stąd pochodzą ich przodkowie.

W Tarnopolu odwiedzamy parafię unicką, w której pracował o. Eligiusz Sinkowski obecny gwardian Ojców Franciszkanów z Głubczyc. Trwa nabożeństwo, świątynia pełna. Brat Waldemar Czarnocki z Kozłówki pokazuje nam świetlicę dla dzieci z rodzin rozbitych, zagrożonych alkoholizmem i innymi rodzajami patologii, korzystających tu z posiłków i opieki. Przynosi strusie jajo – przy domu parafialnym znajduje się ptaszarnia, a w niej okazy ptactwa domowego i dzikiego; samych bażantów jest sześć gatunków. Na zakończenie dnia atrakcja – rejs stateczkiem wycieczkowym po zbiorniku wodnym.

Związany z Zbarażem i tym, którzy odwiedzili to historyczne miasto dedykuję utwór S. Barańczaka:

Zbereznikom ze Zbaraża
zaraźliwy zez zagraża:
zje zuch zwykły zraz zbaraski –
zaraz zieją zeń zarazki,
zjadacz zrazu, zrazu zdrów –
zezem zarażony znów.
Zdaniem znawców zagadnienia,
ze zwykłego zagapienia
zbarażanin zbaraniały
(znaki zawsze zabraniały
zjadania zrazów) zrazy
zeżre, zdrowe zaś zakazy
"ZRAZ (ZRAZ ZWŁASZCZA ZAWIJANY)
ZASADNICZO ZAKAZANY!"
zlekceważy. Zatem: zaliż
znak zakazu, znowu zwalisz,
zbirze ze Zbaraża, zjesz
zraz złowrogi – (zeżre zwierze)
(Zbereznikom ze Zbaraża)

4 lipca – poniedziałek

Po Mszy św. i śniadaniu wyjazd z Tarnopola w kierunku Wiśniowca. Miejscowość położona nad Horyniem była siedzibą rodową Korybutów Wiśniowieckich, potomków księcia litewskiego Olgierda. Pierwsza wzmianka pochodzi z końca XIV w. i dotyczy zamku wzniesionego przez Dymitra Korybuta. Budowlę wielokrotnie przerabiano i fortyfikowano. Obecny – w stylu klasycyzującego baroku francuskiego – pochodzi z I połowy XVIII w. i jest dziełem ostatniego z rodu Wiśniowieckich hetmana Michała Serwacego. Po jego śmierci w 1744 r. rezydencja przeszła w ręce Mniszchów, którzy sprzedali dobra w połowie XIX w. Zdewastowany w czasie działań wojennych przeszedł w okresie międzywojennym w posiadanie Sejmiu Krzemienieckiego. Dużych zniszczeń dokonała tu II wojna światowa. Odbudowano go w 1950 r., ale z bogatych zbiorów nie

zachowało się nic. Obecnie trwają prace remontowe – wewnątrz kładzione są posadzki, opalona farba olejna na balustradzie schodów. Z balkonu, będącego niejako przedłużeniem ogromnej sali roztacza się wspaniały widok... U stóp wzgórza drewniana cerkiew z bogatą polichromią. W kościele św. Stanisława – będącym w opłakanym stanie – w lutym 1944 r. nacjonaliści ukraińscy spalili ok. 200 osób.

Następny etap to Krzemieniec miasto rodzinne Juliusza Słowackiego. Po latach na obczyźnie je wspomina:

Tam – pod okiem pamięci – pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto, wieżami wytryska
Z doliny wąskim nieba nakrytej błękitem.
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska;
Gdy słońce rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przysnute. (...)
Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem
Większa nad inne – miastu panująca cieniem;
Stary – posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty – chmur łamany wirem,
I w dniu strzelnic błękitnych spogląda oczyma...

Zwiedzanie rozpoczynamy od dziewiętnastowiecznego kościoła pw. św. Stanisława, który nie stracił nic z pierwotnego wystroju. Od momentu konsekracji w 1857 r. był zawsze czynny i służył wiernym nie tylko z Krzemieńca, ale diecezji i Wołynia. Znajduje się tu pomnik J. Słowackiego z 1909 r. – dzieło W. Szymanowskiego. Tu bierze nas pod opiekę przewodnik Aleksander Butyński i prowadzi do dworku Słowackich – muzeum wieszca. Wyposażenie stanowią sprzęty pochodzące z różnych mieszkań zajmowanych przez Słowackich, oryginalne portrety i obrazy, w salonie p. Salomei klawikord, na którym grywała. Czuje się tu obecność autora „Króla – Ducha”.

Po przeciwnej stronie ulicy miejsce, gdzie znajdował się sławny ogród botaniczny, dalej budynki, w którym mieściło się Liceum Krzemienieckie założone przez Tadeusza Czackiego i H. Kollataja. Oprócz ogrodu botanicznego, bardzo dobrze wyposażonych pracowni fizycznej i mineralogicznej miało bogatą bibliotekę, której podstawę stanowił księgozbiór S. Augustyna Poniatowskiego. Wykładali tu między innymi J. Lelewel, A. Feliński, L. Osiański, E. Słowacki. Wśród absolwentów – oprócz najwybitniejszego obywatela – J. Słowackiego, byli J. Korzeniowski, A. Małczewski, S. Worcell. Zlikwidowane w ramach represji popowstaniowych w 1831 zostało reaktywowane w 1922 r. jako zespół szkół obejmujących gimnazjum, seminarium nauczycielskie, szkołę ćwiczeń, szkołę zawodową oraz muzeum J. Słowackiego. Przeszło istnieć w 1939 r.

W imponującym kompleksie pojezuickim mieści się szpital, kościół jest obecnie cerkwią Przemienienia Pańskiego i należy do Patriarchatu Kijowskiego, a położony po drugiej stronie ulicy kościół i klasztor Franciszkanów podlega Patriarchatowi Moskiewskiemu. Przyciąga wzrok pięknym błękitnym kolorem ścian.

Z panującej nad miastem Góry Królowej Bony urzekająca panorama miasta oraz okolice pociągają jarami Wzgórz Krzemienieckich. Przewodnik przedstawia historię miasta. Krzemieniec uznany był za najładniejsze miasto polskie o zabudowie drewnianej z XVIII i XIX w. Wzmiankowany w 1064 r. jako ruski gród obronny. W 1240 r. przetrzymał oblężenie Tatarów, w XIV w. podporządkowany Litwie, ostatecznie w 1366 r. wszedł w posiadanie Kazimierza Wielkiego. Od Zygmunta Starego w 1536 r. otrzymał miejskie prawa magdeburskie i został подарowany królowej Bonie. Ona starostwu nadała wiele przywilejów, a na najwyższym wzniesieniu

zbudowała zamek zniszczony przez Kozaków w 1648 r. Do dziś przetrwały jedynie fragmenty ruin. Przed wojną były tu klasztory oo. Franciszkanów, Reformatorów, Bazylianów i Jezuitów. Zabieramy ten widok i ruszamy dalej, do Poczajowa.

Mijamy wsie, pola uprawne i nieużytki, wiele kęp drzew owocowych rosnących przy domach, po których nie ma już śladu. Po wjeździe na kolejne wzgórze zaskakuje widok wielu błyszczących w słońcu kopuł cerkiewnych – to Poczajów. Miasteczko leży w paśmie Wzgórz Krzemienieckich. Już w XIV w. był miejscem pustelniczego życia mnichów prawosławnych, a do XVI w. stał się jednym z największych sanktuariów i wschodnich miejsc pielgrzymkowych. Według tradycji w tym miejscu ukazała się Matka Boska. Wybudowano więc kompleks klasztoru objęty w 1720 r. przez grekokatolickich bazylianów, za których do słynącego cudami obrazu pielgrzymowali wierni ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej, nazywający to miejsce „ruską Częstochową”. Zespół wiele razy przebudowywano. W latach 1771–1785 dzięki fundacji Mikołaja Bazylego Potockiego wybudowano cerkiew Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny – najwspanialszą świątynię na Kresach. Po III rozbiorze w 1795 r. Poczajów – jak cały Wołyń – znalazł się pod panowaniem Rosji, która w 1832 r. skasowała zgromadzenie bazylianów, a kompleks ponownie objęli mnisi prawosławni. Wybudowano pałac archimandrytów (przełożonych monastynu), a w latach 1906–1912 cerkiew Trójcy Świętej, której car Mikołaj podarował ogromny żyrandol umieszczony pod główną kopułą. Ławra nie uciepiała w czasie II wojny światowej. Władze radzieckie zamieniły ją w muzeum ateizmu, ale dla wyznawców prawosławia była zawsze miejscem świętym, ostoją życia religijnego. Ciekawostką architektoniczną jest kształt cerkwi Wniebowzięcia... lekko wyginająca się przez co dopasowuje się do wzgórza, przy którym została wybudowana oraz poczet świętych prawosławnych w poszczególnych wiekach umieszczonych przy schodach prowadzących do świątyni. Ławra w Poczajowie zwana też Uspienską to obok Kijowsko-Pieczerskiej najważniejsze miejsce pielgrzymkowe na Ukrainie.

Zegnamy przewodnika i wyruszamy do Podkamienia. Asfaltową drogą wchodzimy na Górę Różańcową. Na przełomie XVI i XVII wieku stał tu zamek Cetnerów, a przy nim kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej Podkamieńskiej, znajdującym się obecnie w kościele oo. Dominikanów we Wrocławiu. Obraz koronowano dwukrotnie w 1727 i 1927 r.

Dominikanie przybyli do Podkamienia już w XIII w. W latach 1612–1695 wybudowali klasztor i ufortyfikowali go. W ich rękach pozostał aż do II wojny światowej. Część zabudowań spłonęła w czasie działań wojennych 1915–1916. Pożar strawił cenne zbiory, w tym liczącą 5 tys. tomów bibliotekę z cennymi rękopisami. W czasie II wojny Rosjanie zmusili zakonników do opuszczenia klasztoru i umieścili tu spółdzielnię rzemieślniczą. Miejscowych Polaków aresztowali i deportowali. Niemcy, wykorzystując antagonizmy polsko-ukraińskie, rozprawili się z Żydami. W marcu 1944 r. banderowcy dokonali straszliwej rzezi ok. 300 Polaków z Wołynia, którzy schronili się w murach klasztoru. Po wojnie w istniejących budynkach umieszczono szpital psychiatryczny czynny do dzisiaj. W części kaplicy zamienionej na cerkiew prawosławną rozlegają się głosy mnichów śpiewających modlitwy. Wznosząca się nad wzgórzem wieża częściowo zawałiła się wiosną tego roku, ustawione rusztowania wskazują, że będzie remontowana.

I jeszcze wyprawa do Malenisk – miejscowości rodzinnej p. Heleny Skwarek. Z trudem odnajduje znak szczególny – krzyż i cztery lipy, bo dwie wycięto. Z wielkiej wsi o kilku ulicach prostopadłych do szosy pozostała jedna i kilka domów. W towarzystwie innych uczestników odnajduje miejsce, gdzie stał dom. Teraz ktoś wybudował inny. Ze starego sadu wzięła garść liści. „Chociaż tyle. Szkoda, że nikt nie wyszedł” – mówi z żalem. Zza betonowego ogrodzenia dobiegają słowa świadczące o nienawiści do Lachów. Pani Helena ma w oczach łzy, za którymi kryją się obrazy przeszłości. Po wejściu do autokaru stwierdza: „Jak zdrowie pozwoli, jeszcze tu przyjadę”.

5 lipca – wtorek

Po Mszy św. i śniadaniu pakujemy bagaże do autokaru, żegnamy gościnnego ks. proboszcza i niezwykle sympatyczne kucharki oraz Tarnopol.

Pierwszym etapem są Brody – miasteczko leżące nad Suchowółką. Założył je w 1584 r. wojewoda ruski S. Żółkiewski pod nazwą Lubicz. Pomyślny rozwój zawdzięczało położeniu na skrzyżowaniu szlaków ze Lwowa, Kijowa i Wilna, a w XVII i XVIII w. dzięki produkcji jedwabnych tkanin, kobierców, namiotów oraz pasów kontuszowych. Po pierwszym rozbirozie przeszły pod panowanie Austrii, ale otrzymały bardzo korzystny przywilej bezcłowej wymiany z Polską, później z Rosją i Niemcami. W XIX w. stały się jednym z największych skupisk ludności żydowskiej, w latach osiemdziesiątych Żydzi stanowili 75% ogółu. Pomyślny rozwój zahamowała I wojna światowa. W 1920 r. bolszewicy zniszczyli pałac Potockich wraz z cennymi zbiorami. Odbudowany w okresie międzywojennym, dziś jest prawie ruiną. Zabytków na uwagę zasługuje synagoga z I połowy XVIII w., cerkiew św. Jerzego z XVII w. i kościół greckokatolicki z XVI w. Jeszcze zakupy w sklepach, gdzie kasjerki mówią po polsku i opuszczamy Brody.

W drodze z Tarnopola do Brodów w miejscowości Podkamień odłączyli od grupy państwo Pakulniccy, S. Mendelski, J. W. Samotyj i J. Majcher i udali się do Huty Pieniackiej, aby złożyć hołd przodkom pomordowanym przez bandy UPA 28 lutego 1944 r. Jest to miejsce jednej z największych zbrodni – zginęło wówczas do 1200 osób. Niektóre źródła podają liczbę ok. 1500.

Podhorcie – następny etap naszej wędrowki – to wieś wzmiankowana już w roku 1440. Kolejno należała do rodów Koniecpolskich, Sobieskich, Rzewuskich i Sanguszków. Zamek – zwany niegdyś Wersalem Podola – został zbudowany przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego w latach 1637–1641 według projektu A. dell'Agwa. Za Rzewuskich dobudowano drugie piętro, a Wacław – hetman wielki koronny – zgromadził cenne księgi i manuskrypty, urządził zbrojownię i galerię malarstwa. Gdy w 1767 r. został zesłany przez Rosjan do Kaługi, zamek popadł w ruinę. Prace zabezpieczające i remontowe przeprowadził jego potomek Leon Rzewuski, a następnie Sanguszkowie. W czasie I wojny światowej, walk polsko-ukraińskich oraz wojny polsko-bolszewickiej zamek by pładowany. To co pozostało z cennych zbiorów, ostatni z właścicieli książę Roman Sangusko wywiózł w 1939 r. do Brazylii. Resztę zabrali Rosjanie. Po II wojnie światowej był tu szpital – na jego potrzeby przebudowano wnętrze, resztę zniszczeń dokonał w latach pięćdziesiątych pożar. Budowla, którą mogliśmy oglądać z zewnątrz prezentuje się okazale, mimo widocznych zniszczeń. Ciekawostką jest, że tu kręcono kilka filmów historycznych, między innymi „Potop”. Zamek teraz należy do Lwowskiej Galerii Obrazów, jest więc szansa, że zostanie wyremontowany. Na

linii prostej od wejścia do zamku znajduje się kościół ufundowany przez Wacława Rzewuskiego, a zaprojektowany przez K. Romanusa. Na frontonie łaciński napis: „Niech chwałą Boga wędrujący”. Obecnie jest świątynią prawosławną.

I odjazd od Oleska. Z daleka widać pałac wybudowany na wzniesieniu wśród zieleni. Zatrzymujemy się przed kościołem z I połowy XVIII wieku należącym kiedyś do oo. Kapucynów, dzisiaj do wyznawców prawosławia. Historia miasteczka sięga XIV wieku. W pałacu w 1629 r. przyszedł na świat przyszły król Polski Jan III Sobieski. Wejście na teren parku i do pałacu niestety zamknięte. Jesteśmy zawiedzeni, bo jest to jedna z nielicznych odrestaurowanych polskich rezydencji na Ukrainie. Po powrocie grupy z Huty Pieniackiej wyruszamy w drogę do Żółkwi. Na wysokości Buska wspominamy ks. biskupa A. Adamiuka. Objeżdżamy od lewej Lwów i przystajemy w Kulikowie słynącym niegdyś ze wspaniałego chleba. Kupujemy, próbujemy – jest naprawdę smaczny. Wielu kupuje, aby poczęstować najbliższych. Stąd na groby przodków udają się J. i W. Samotyjowie do Mieźwic i L. Kosik do Kościejowa. Przy kościele św. Mikołaja robotnicy stawiają ogrodzenie. Mają klucze, więc wchodzimy do środka.

Żółkiew – to ostatni etap naszej wędrowki. Leży nad Świną, a nazwę wzięło od założyciela hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego. Prawa miejskie otrzymało w roku 1603, sześć lat po założeniu. Należało później do Daniłowiczów i Sobieskich, a do 1740 r. do Radziwiłłów. Przy czworokątnym rynku stoi okazała kolegiata pw. świętych Wawrzyńca i Stanisława wzniesiona w latach 1606–1618. Odnowiona w I połowie XIX wieku stała się jedną z najwspanialszych świątyń w Polsce z pamiątkami narodowymi, nagrobkami Żółkiewskich i Sobieskich oraz płótnami batalistycznymi, z których kilka znajduje się w Olesku. Chwila relaksu na ławkach w rynku... udajemy się na teren zamku. Jest w opłakanym stanie. Duża budowla składa się z czterech skrzydeł otaczających duży dziedziniec. Budowa rozpoczęta w 1604 r. trwała ponad siedemdziesiąt lat. Było to ulubione miejsce Jana III Sobieskiego, tu odpoczywał po trudach wojennych i gromadził trofea. Do zamku przylegał niegdyś piękny park i zwierzyńiec, w którym było wiele gatunków egzotycznych zwierząt. Zamek otrzymał w spadku Jakub Sobieski, którego śmierć w 1737 r. zakończyła okres świetności rezydencji iście królewskiej. Podjęte na początku XX wieku prace restauratorskie przerwał w 1915 r. pożar, który strawił większą część budowli. Ponowną odbudowę podjęto przez rząd II Rzeczypospolitej Polskiej, którą przerwał wybuch II wojny światowej. Po wyjściu z zamku jeszcze chwila na rynku – spojrzenie na resztki murów obronnych z bramą Zwierzyniecką, na górującą nad miastem kolegiatę... i odjazd do Bóbrki na nocleg. Tu obiadokolacja, spacer po miasteczku i spoczynek we wcześniej zarezerwowanych pokojach.

6 lipca – środa

Dzień powrotu do kraju. Rano Msza św., śniadanie, załadunek. Odjeżdżamy żegnani przez proboszcza ks. M. Kuca i strugi deszczu. Jeszcze jedno spojrzenie na kościół, kratę z przedwojenną nazwą ulicy Mickiewicza 26 i Bóbrkę. Na przejściu granicznym Krakowiec – Korczowa formalności trwają niezwykle krótko – niecałą godzinę – i wjeżdżamy do Polski. Mimo szczyrzych chęci kierowców nie udaje się podjechać pod zamek w Łańcut. Zatrzymujemy się na posiłek w Pilźnie i bez przeszkód docieramy do Głubczyc.

Kronikarz – uczestnik pielgrzymki

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Jerzy Fic (1928–2012)



19 lipca 2012 r. zmarł w Sosnowcu członek naszej lwowskiej społeczności w Katowicach śp. mgr Jerzy Fic. Urodził się 21 czerwca 1928 r. w Brzozowie. Już we wczesnym dzieciństwie przeniósł się do Lwowa i został ochrzczony w kościele św. Antoniego. Mieszkał na Łyczakowie i tam uczęszczał do szkoły powszechnej. W okresie okupacji przebywał na Rzeszowszczyźnie, gdzie ukończył szkołę powszechną oraz podjął naukę na tajnych kompletach. Egzamin dojrzałości zdał w Strzyżowie nad Wisłokiem. Studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Jako prawnik przepracował wiele lat w przemyśle węglowym oraz w ubezpieczeniach społecznych, m.in. jako wieloletni orzecznik, a później przewodniczący rady nadzorczej oddziału ZUS w Sosnowcu. Poprzez swoje nowatorskie orzeczenia i publikacje dał się poznać jako wnikliwy znawca problemów ubezpieczeniowych, zaangażowany w swoją pracę, przyczynił się do wielu zmian w praktyce ubezpieczeń społecznych oraz do niektórych zmian wykładni prawa ubezpieczeniowego. Później przez wiele lat był biegłym sądowym z zakresu rent i emerytur.

Kolega Jerzy był zaangażowany w naszą działalność kresową od samego początku, tj. od 1988 roku jako współzałożyciel naszego katowickiego oddziału Towarzystwa, działacz i przewodniczący sądu koleżeńskiego. Na zawsze zachował w swej pamięci i w swym sercu Lwów. Jeździł do Lwowa co kilka lat, pierwszy raz w 1963 r., kiedy taki wyjazd stał się możliwy. Zawsze bardzo mocno przeżywał spotkania z rodzinnym miastem. Bolał nad zabiegami obecnych władz miasta,

aby zatrzeć jego polski charakter. Jeszcze bardziej boleśnie odczuwał nieporozumienie i błędy naszych polskich polityków wobec naszej kresowej społeczności, brak poparcia dla tych naszych rodaków, którzy na Kresach pozostali, brak starań o zachowanie materialnych śladów polskiej wielowiekowej obecności na tych ziemiach, brak reakcji na stałe, bezprawne łamanie praw ludności polskiej przez nacjonalistów ukraińskich, na bezsensowne, niegodne kokietowanie ich przez nasze władze. Stałe żył problemami Lwowa, był znawcą jego historii, stale wzbogacał swą wiedzę w tym zakresie. Studiował periodyki i inne wydawnictwa poświęcone tematyce lwowskiej i kresowej, niekiedy wypowiadał się na ich łamach. Wypowiedzi te wskazywały na Jego erudycję i głębokie zaangażowanie uczuciowe w poruszanych sprawach.

Był człowiekiem bardzo życzliwym i skromnym, cechowało Go duże poczucie humoru. Właśnie Jego zaangażowanie w sprawy kresowe, wielka erudycja i poczucie humoru sprawiały, że kolega Jerzy był zawsze czynnym i kompetentnym dyskutantem na naszych spotkaniach klubowych, na których bardzo nam Go będzie brakować.

Jerzy Fic był żonaty z Marią z domu Kowalską, z którą miał dwie córki, doczekał się dwójki prawników. W ostatnich latach doznał szczególnie bolesnych przeżyć osobistych. Zmarła na nieuleczalną chorobę Jego kochana piętnastoletnia wnuczka, a niedługo później także Jego żona, z którą był bardzo mocno związany przez wiele lat, począwszy od studiów (wspomnienie w SF nr 2/2006). Ciosy te przeżył bardzo boleśnie.

Z ostatniego pobytu w swoim ukochanym rodzinnym mieście przywiózł garść ziemi z Cmentarza Obrońców Lwowa, którą zgodnie z Jego wolą posypaliśmy Jego prochy żegnając go dnia 23 lipca na cmentarzu przy ulicy Andersa w Sosnowcu.

Cześć Jego pamięci!

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów
Południowo-Wschodnich Oddział w Katowicach

Śp. Jadwiga Kaluscha (1927–2012)



Jadwiga Kaluscha z d. Magiera ur. 30.12.1927 r. we Lwowie, córka Edwarda Magiery pplk. WP, w latach 1931–1933 komendanta Garnizonu Lwów, który brał udział w walkach na Zachodzie. Więziony w PRL w latach 1950–1951. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Wirtuti Militari, czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Obrony Lwowa, odznaką Orłąt i in.

Jadwiga Kaluscha w czasie II wojny światowej brała udział w Szarych Szeregach w harcerstwie. W 1980 r. członek grupy inicjatywnej Związku Zawodowego „Soli-

darność” przy Politechnice Wrocławskiej, członek Prezydium Związku Zawodowego „Solidarność”.

Członek grupy inicjatywnej i założycielskiej Towarzystwa Miłośników Lwowa we Wrocławiu w 1988 r. Członek Zarządu Głównego Towarzystwa I kadencji. Odznaczona w 1990 r. Krzyżem II Obrony Lwowa i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

W sierpniu 1991 r. matka chrzestna statku „Orlęta Lwowskie”, który był wodowany w Kopenhadze.

Autorka wspomnień ze zjazdów ogólnopolskich „tajnego nauczania” we Lwowie (Niepokalanów, Bardo, Trzebnica), które były publikowane w „Semper Fidelis”. Emerytowany pracownik Politechniki Wrocławskiej.

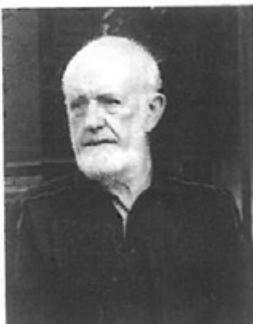
Zmarła 10 lipca 2012 r. we Wrocławiu i została pochowana na cmentarzu we Wrocławiu-Kielczowie.

Człowiek wysokiej kultury osobistej, koleżeńska, inicjująca szereg inicjatyw w Towarzystwie.

Cześć Jej Pamięci!

Andrzej Kaminski

Śp. Tadeusz Kyrzczak – wspomnienie



W tym roku Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich – oddział w Tarnowie pożegnało na zawsze Tadeusza Kyrzczaka. Uroczystości żałobne, które rozpoczęły się Mszą św. w Kaplicy Cmentarnej w Tarnowie-Mościńskich prowadził ksiądz profesor Michał Heller.

Tadeusz urodził się 13 X 1935 r. we Lwowie, zmarł 18 I 2012 r. w Tarnowie. Syn Obrońcy Lwowa 1918 r. Stanisława Kyrzczaka i Marii Kyrzczak z domu Maks. Mieszkał w Tarnowie. Założył rodzinę: żona Alicja, urodzona w Krakowie, z którą przeżył jubileusz 50-lecia szczęśliwego pożycia małżeńskiego, dwóch synów, wnuki. Pozostanie we wspomnieniach jako wspaniały, dobry mąż i ojciec.

Magister prawa, związany z Zakładami Azotowymi. Po ukończeniu szkoły średniej – IV Liceum Ogólnokształcącego – ukończył medyczną szkołę pomaturalną. Pracował w Służbie Zdrowia. W Poradni Przeciwegruźliczej kierował pracownią analityczną.

Prowadził szkolenia BHP, zdobył odpowiednie uprawnienia i otworzył własną firmę usługową Alta.

Był człowiekiem niezwykle aktywnym. Miał różne zainteresowania, pasje: turystyka (miał uprawnienia do prowadzenia wycieczek krajowych), żeglarstwo, narciarstwo, z pasją uprawiał działkę.

Uczestniczył aktywnie w życiu tarnowskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Członek Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, Towarzystwa Przyjaciół Mościc, aktywny członek Solidarności i Koła Emerytów i Rencistów przy Zakładach Azotowych. Odznaczony licznymi medalami i dyplomami, zwłaszcza Medalem za Zasługi dla Miasta Tarnowa i Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Serdeczny przyjaciel, pogodny, miły. Uczciwy i porządny człowiek.

TMLiKPW Tarnów

Śp. Anna Stefanowicz (1912–2012)



Dnia 13 czerwca 2012 r. w Gorlicach odeszła Anna Stefanowiczowa, wierna czytelniczka Semper Fidelis, członkini Związku Wypędzonych z Kresów Wschodnich RP – Koło w Gorlicach. Urodziła się w rodzinie polsko-ormiańskiej w Jezupolu, 19.07.1912 r. We wczesnym dzieciństwie osierocona, zgodnie z prośbą swej matki Katarzyny z Janowiczów Romanowskiej, pozostawała pod troskliwą opieką owdowiałej cioci – Petroneli Donigiewicz w Kutach, gdzie spędziła dzieciństwo i okres szkoły podstawowej. Wzrastała w środowisku, gdzie tradycje ormiańskie były bardzo pieczołowicie kultywowane, ale także przywiązanie do odzyskanej Polski i patriotyzm były treścią każdego dnia. W niedawno udzielonym wywiadzie powiedziała: ... *szacunek i miłość do ojczyzny w owym czasie – tego nikt nie wpajał, ale w tej atmosferze się chowałam i nią nasycalam...* Szkołę średnią – Seminarium Nauczycielskie ukończyła w Gorlicach, następnie w Krakowie poszerzała przygotowanie zawodowe w kierunku nauczania w zakresie gospodarstwa domowego.

W 1935 r. wyszła za mąż za Kazimierza Stefanowicza, lekarza weterynarii (również z rodziny ormiańskiej). Rodzina zamieszkała w Kamionce Strumiłowej, gdzie Kazimierz Stefanowicz pracował jako lekarz-analityk w miejskiej rzeźni i prowadził prywatną praktykę weterynaryjną. Podczas wojny małżeństwu urodziło się troje dzieci. Pogrom polskiej ludności dokonywany przez bandy nacjonalistów w okolicznych polskich wsiach, pojedyncze, ale powodujące obawy co do bezpieczeństwa, morderstwa Polaków w Kamionce Strumi-

lowej i zbliżający się od wschodu front skłoniły rodzinę jeszcze w 1944 r. do wyjazdu do Gorlic, gdzie można było liczyć na pomoc bliskich. W Gorlicach, po wyjeździe dzieci na studia podjęta, zgodnie z przygotowaniem zawodowym, pracę w Liceum Pedagogicznym. Po zawiązaniu w Gorlicach organizacji skupiającej Kresowian wstąpiła do niej. Wspierała szereg fundacji i zawsze dzieliła się z potrzebującymi wsparciem, w tym również z naszymi Rodakami na Wschodzie. Gościła dziennikarzy ponieważ była świadkiem wielu zdarzeń historycznych, a przy tym, mimo poważnego wieku, do końca swoich dni zachowała bystrość umysłu i umiejętność doskonałego operowania literackim językiem. Żyła pełnią życia rodzinnego, interesowała się polityką, na bieżąco śledziła wydarzenia, jako patriotka boleśnie przeżywała ekscesy elit politycznych. Niestety, nie doczekała jubileuszu stulecia, brakło miesiąca i kilku dni. Podczas pogrzebu na cmentarzu parafialnym w Gorlicach pożegnali ją liczni członkowie rodziny i znajomi, a od TMLiKPW Oddziału Tarnów, w którym działa Jej córka, otrzymała grudek ziemi z Cmentarza Orląt. Odeszła Postać niezwykła, pełna ciepła, dobroci i godności.

Związek Wypędzonych z Kresów Wschodnich RP – Koło w Gorlicach

Komunikat

Zarząd Główny TMLiKPW informuje, że wydany został

KALENDARZ LWOWSKI 2013

w cenie 12 zł. Tematem kalendarza są sportowcy związani ze Lwowem i Kresami.

Lista Ofiarodawców za miesiące VI–VII 2012 r. (w zł)

1. Antoni Dwernicki, Francja 82,20 (20 euro)
2. Elżbieta Świątkowska, Wrocław 100.-
3. Jadwiga Borkowska-Dawidowicz, Bytom 100.-
4. Barbara Madej, Bytom 100.-
5. Usługi gastronomiczne Wyszyński Antoni, Tomaszów Lubelski 200.-

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

Remigiusz Węgrzynowicz – "Concordia res parvae crescunt discordia vel maximae dilabuntur..."	1
Maria Rudnicka – Poem	2
Beata Młynarczyk – Wojciech Kilar, one of the most eminent world composers	3
Tadeusz Zbigniew Nowogrodzki – From Lwów to seas and oceans. Part I	4
Maria Rudnicka – Poem	17
Rev. Grzegorz Draus – My hundred days spent in Lwów	18
Piotr Franków – Reconstruction of the Metropolitans Palace of Roman Catholic Church in Lwów	19
Piotr Franków – XXth "Kresoviana 2012" at Gorzów Wlkp.	20
Mieczysław Kostur – XVI Day of Borderland Culture 2012 at Świdwin	22
Bożena Policińska – District Contest "Lwów – always faithful"	23
Janusz Sekulski – In remembrance of the murdered at Katyń	24
Stanisława Zięcik – The Week of Borderland Culture at Bolesławiec	26
Witold Począjowiec – Borderlanders' recollections	28
Leszek Mulka – 130 birthday anniversary of prof. Antoni Cieszyński	28
4 July 2012 in Wrocław	30
Mieczysław Kowal – Uhłans Feast as held at Rzeszów	33
Janusz Sekulski – In remembrance of the Professors murdered in Lwów	34
Janusz Sekulski – Gloria Victis	35
Józef Pieluszcak – Summer in the Gorzów Lwów Lovers Society	35
Janusz Sekulski – Reporting – electoral meeting in Gniezno	37
Jan Tomaszewski – Borderland recollections	37
Iwo Werschler – Henryk Sienkiewicz in Lwów	38
Kazimierz Kulas – Easter feast as having been celebrated in the army	41
Kazimierz Kulas – Dżwinogród of my memory (VI)	42
Tomasz Cieszyński – Martyrs' death of medicine professors in Lwów on the background of planned extermination of the Polish nation	43
Bolesław Broś – Professors' victims of the Foreign Trade Academy in Lwów	45
Elżbieta Woszczyńska – Rally following the Remembrance Traces of Lwów and South-East Borderland	46
Elżbieta Woszczyńska – XVIIth Contest of Lwów and South-East Borderland knowledge	47
Mieczysław Kowal – Stefan M. Żarów as a poet	48
Stefan M. Żarów – Poem	48
Stefan M. Żarów – Poem	49
Julian Ataman – Zofia Tołoczyńska	49
Wiesław Żelisko – Polish Resistance Movement at Nadwórna (cont.)	50
Stanisław Mościskolwowski – My recollection of the Gródecka street in Lwów	52
Tadeusz Skrzyp – "Our prostration before the people of the past"	53
OBITUARY COLUMN	
Obituary notice of the late Jerzy Fic (1928–2012)	59
Obituary notice of the late Jadwiga Kaluscha (1927–2012)	59
Obituary notice of the late Tadeusz Kyrzczak (1935–2012)	60
Obituary notice of the late Anna Stefanowicz (1912–2012)	60
List of Donors	61



Fot. Adam Zadrzyński

*Poczty sztandarowe na uroczystości złożenia wieńców
pod Pomnikiem Pomordowanych Profesorów Lwowskich*